TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK
ZWIĄZKU
LITERATÓW
POLSKICH

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

8

SIERPIEŃ · 1950 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VI ZESZYT 8
WARSZAWA SIERPIEŃ 1950

Okładkę projektował Stefan Bernaciński
Drukarnia nr 5 Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik"
Zamówienie 1286 nakład 7502, 8.VIII. 1950 r. B- 119115

K O M U N I K A T Y

LIST PISARZY RADZIECKICH DO PISARZY POLSKICH

Pisarze radzieccy serdecznie pozdrawiają pisarzy Polski Ludowej z okazji ich Zjazdu i życzą im dalszej owocnej działalności dla dobra narodu oraz nowych sukcesów w pracy nad stworzeniem dzieł o wysokim poziomie ideowym i wysokiej wartości artystycznej, dzieł ilustrujących dokonującą się w kraju przebudowę socjalistyczną.

Literatura polska szczyci się słusznie swoimi wielkimi wieszczami — Adamem Mickiewiczem i Juliuszem Słowackim, szczyci się wybitnymi pisarzami — realistami doby minionej, jak Bolesław Prus i Eliza Orzeszkowa, których utwory, tchnące gorącym patriotyzmem i umiłowaniem człowieka, są dobrze znane daleko za granicami kraju. Naród radziecki zna i ceni te dzieła, w których ujawnia się tak silnie bogactwo duchowe narodu polskiego.

Z uwagą i szczerą sympatią obserwują ludzie radzieccy rozwój nowej literatury polskiej. Ujawniają się w niej rozbudzone siły narodu, który dzięki wielkiemu zwycięstwu Armii Radzieckiej nad hordami faszystowskimi zrzucił jarzmo kapitalistów i obszarników i wkroczył zdecydowanie na drogę budownictwa socjalistycznego.

Każdy nowy sukces Waszego kraju na polu budownictwa gospodarczego i kulturalnego, każde osiągnięcie polskich prozaików, poetów, dramaturgów i krytyków, pracujących nad dziełami, godnymi wielkich czynów Waszego narodu, znajduje żywy oddźwięk w Związku Radzieckim.

W ciągu ostatnich pięciu lat literatura polska wzbogaciła się o szereg wybitnych i ciekawych utworów; ich autorzy odnieśli poważny sukces w swoich usiłowaniach, by odtworzyć dokonujące się w kraju przeobrażenia historyczne, by opanować metodę realizmu socjalistycznego, który staje się zasadniczą metodą nowej literatury polskiej. Zjazd Literatów Polskich w Szczecinie odbył się przecież niedawno, ale czyż nie należy do przeszłości w porównaniu z dzisiejszym poziomem literatury polskiej!

Prócz rozwijającej się pomyślnie twórczości doświadczonych mistrzów słowa polskiego, którzy pracują intensywnie nad nowymi dziełami, literaturę polską zasilają wciąż nowi utalentowani pisarze, przynosząc swe bogate doświadczenie życiowe, zdobyte w walce przeciw faszyzmowi, w walce o zbudowanie społeczeństwa socjalistycznego. Napływ tych talentów zapewnia przyszłość nowej literaturze polskiej.

Gdy literatura polska przezwycięży ostatecznie wpływy burżuazyjnej ideologii, estetyzmu i formalizmu i stanie się literaturą prawdziwie ludową, bliską milionowym rzeszom narodu, odniesie ona niejeden wielki sukces.

Wiele utworów pisarzy polskich przełożono na język rosyjski i inne języki narodów Związku Radzieckiego.

Z każdym rokiem ilość tych przekładów będzie wzrastała, gdyż zainteresowanie ludzi radzieckich literaturą polską jest wyjątkowo wielkie. Jednocześnie dzieła radzieckich prozaików, poetów i dramaturgów, wydawane w przekładzie na język polski, cieszą się wielką popularnością u czytelników polskich. Jest to dla pisarzy radzieckich wielki zaszczyt. W tym wzajemnym zainteresowaniu znalazła swój wyraz wielka historyczna przyjaźń naszych narodów.

Z każdym dniem krzepną więzy przyjaźni, które łączą nasze literatury. I u Was i u nas przekłada się coraz więcej najlepszych dzieł z zakresu naszych literatur. Pisarze polscy są częstymi gośćmi narodu radzieckiego i Związku Pisarzy Radzieckich, a pisarze radzieccy spotykają się z przyjacielskim przyjęciem w Waszym kraju i w Waszym świecie literackim.

W wielkiej walce o pokój, o szczęście i wolność wszystkich narodów świata nasze narody kroczą ramię przy ramieniu, a dzieła radzieckich i polskich pisarzy są potężnym orężem, broniącym pokoju przed zakusami zbrodniczych podżegaczy wojennych.

Pozdrawiając z całego serca Zjazd Literatów Polskich, który ma rozwiązać szereg poważnych zagadnień życia literackiego, dotyczących pracy twórczej i organizacyjnej, pisarze radzieccy życzą swoim polskim przyjaciołom całkowitego sukcesu w ich wszystkich poczynaniach twórczych. Niech dzięki temu Zjazdowi literatura polska, która jest potężnym środkiem wychowania narodu, wzbogaci się o nowe, wspaniałe powieści, nowele, wiersze i utwory dramatyczne, odzwierciedlające w całej pełni bogate życie Polski Ludowej.

Niech krzepnie przyjaźń naszych narodów, które występują wspólnie w obronie trwałego, niezachwianego pokoju na całym świecie! Niech się umacniają bratnie więzy, łączące literaturę radziecką i polską! Niech żyje sławny prezydent Polski Ludowej — Bolesław Bierut!

Niech żyje w zdrowiu długie lata genialny wódz całej postępowej ludzkości, wielki przyjaciel narodu polskiego — Stalin!

Prezydium Związku Pisarzy Radzieckich ZSRR, Kolegium Redakcyjne Czasopisma „Literatura Radziecka".

LIST UCZESTNIKÓW ZJAZDU LITERATÓW POLSKICH DO ZARZĄDU ZWIĄZKU PISARZY RADZIECKICH

Piąty Walny Zjazd Związku Literatów Polskich przesyła wszystkim pisarzom Związku Radzieckiego serdeczne i gorące pozdrowienia.

Zjazd nasz obraduje w odbudowującej się z gruzów Warszawie, która symbolizuje wielki wysiłek całej polskiej klasy robotniczej i narodu polskiego w budowie podstaw ustroju socjalistycznego w naszym kraju. Dzięki tym rewolucyjnym przemianom przed ogółem pisarzy polskich stanęły nowe zadania, otworzyły się nowe wspaniałe perspektywy rozwoju i rozkwitu literatury polskiej. Zjazd nasz, dając świadectwo zdecydowanej woli ogromnej większości pisarzy polskich wkroczenia na tę drogę, widzi w pracy

twórczej pisarzy radzieckich, w przodującej literaturze radzieckiej tę literaturę, która najpełniej wyraża ideały wolności, walki o pokój, o budowę sprawiedliwego ustroju społecznego, o pełnię rozwoju możliwości twórczych człowieka.

W codziennej pracy pisarza polskiego, jak i na naszym obecnym Zjeździe, wspaniałe osiągnięcia literatury radzieckiej, wytężona praca ideologiczna ogółu pisarzy radzieckich nad kształtowaniem nowych dróg twórczości, ideały umiłowania człowieka i międzynarodowej solidarności, jakimi przepojone są Wasze dzieła, są dla nas przykładem i pomocą, a doświadczenie Wasze w pracy twórczej i organizacyjnej stanowi nieocenioną szkołę dla naszej własnej działalności. Jesteśmy dumni z tego, że wiele znakomitych dzieł współczesnych pisarzy radzieckich dociera do najszerszych rzesz czytelników w Polsce, pomagając im w ich codziennej pracy i walce tak samo, jak pomagają czytelnikom radzieckim.

Dołożymy wszystkich sił, by literaturę polską pchnąć na taką drogę rozwoju i rozkwitu, którą kroczy i na której przoduje literatura radziecka.

REZOLUCJA W SPRAWIE APELU SZTOKHOLMSKIEGO

Zebrani na Walnym Zjeździe Literatów Polskich w Warszawie pisarze polscy i zagraniczni wyrażają całkowitą solidarność z kampanią pokojową Światowego Komitetu Obrońców Pokoju, domagają się bezwarunkowego zakazu używania broni atomowej oraz uznania tego rządu, który by pierwszy użył broni atomowej przeciwko jakiemukolwiek krajowi, za zbrodniarza wojennego.

TELEGRAMY DO PROF. JOLIOT-CURIE, LOUIS ARAGONA I PAUL ELUARDA

Pisarze polscy, zgromadzeni na dorocznym Zjeździe Zw. Literatów Polskich w Warszawie oraz biorący udział w obradach przedstawiciele organizacji pisarzy ZSRR, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier, Niemieckiej Republiki Demokratycznej i pisarzy postępowych Francji, Brazylii i Stanów Zjednoczonych A. P., piętnują z najwyższym oburzeniem prześladowania, jakich padacie ofiarą we własnej ojczyźnie i przesyłają Wam wyrazy braterskiej solidarności.

LIST DO PREZYDENTA TRUMANA

Pisarze polscy i zagraniczni, zgromadzeni w Warszawie w dniu 27 czerwca br. na V Zjeździe Literatów Polskich, przesyłają na ręce Pana, Panie Prezydencie kraju, który był ojczyzną Waszyngtona, Lincolna i Whitmana, swój gorący protest przeciwko uwięzieniu Howarda Fasta i 20 przywódców Zjednoczonego Komitetu Antyfaszystowskiego.

W imię wolności literatury, która broni postępu, w imię dziesiątków tysięcy polskich czytelników książek Howarda Fasta, które uczą nas tak, jak uczą obywateli Stanów Zjednoczonych, czym jest prawdziwe braterstwo

i wolność ludów, żądamy od Pana, Panie Prezydencie, skasowania wyroku i uwolnienia z więzienia Howarda Fasta oraz 20 jego towarzyszy, prawdziwych reprezentantów demokratycznych mas narodu amerykańskiego.

TELEGRAM DO HOWARDA FASTA

Drogi Howardzie Fast!

V Zjazd Pisarzy Polskich przesyła Wam i 20 uwięzionym wraz z Wami pisarzom i intelektualistom amerykańskim braterskie pozdrowienia. Dumni jesteśmy, że na naszym Zjeździe zabrzmiał Wasz głos, który silniejszy był niż mury więzienia imperialistycznego, skorumpowanego, wrogiego własnemu narodowi rządu Trumana i Achesona.

Potężny głos wolnej ludzkości demaskuje i izoluje podżegaczy wojennych. Ogromny światowy front pokoju łączy wszystkie narody i wszystkich ludzi dobrej woli jak braci. W Polsce 18 milionów ludzi, a więc praktycznie cały naród, podpisało apel pokoju. Pisarze polscy włączają się czynnie do walki o pokój i postęp. Na naszym Zjeździe walczymy o literaturę, służącą budowie sprawiedliwego świata. Książki Wasze — drogi Howardzie Fast — to głos prawdziwej Ameryki Waszyngtona i Paine'a, Lincolna i Roosevelta.

LIST DO PREZYDENTA TURCJI

Polscy i zagraniczni pisarze, zgromadzeni na V Walnym Zjeździe Związku Literatów Polskich, żądają natychmiastowego uwolnienia Nazima Hikmeta, więzionego od 13 lat przez rząd turecki.

Nazim Hikmet, ciężko chory, ma pozostawać w więzieniu jeszcze lat 15. Łączymy się z całym światem postępu, protestując gorąco przeciwko barbarzyńskim metodom rządu tureckiego i domagamy się sprawiedliwości dla Nazima Hikmeta, wielkiego poety i czołowego bojownika wolności.

(Rząd turecki na skutek presji postępowej opinii całego świata uwolnił Nazima Hikmeta z więzienia).

TELEGRAM DO PABLO NERUDY

V Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich śle braterskie pozdrowienia wielkiemu poecie Ameryki Łacińskiej Pablo Nerudzie, który prześladowany i tropiony we własnej ojczyźnie, stanowi dla nas wspaniały wzór nieulękłej postawy pisarza, walczącego o wyzwolenie narodów spod jarzma imperializmu.

TELEGRAM DO „KONGRESU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA" W NOWYM JORKU

W walce o pokój, jaką wspólnie toczymy, wysiłki wolnych narodów łączą się z wysiłkami mas pracujących kapitalistycznego świata. Niechaj w kraju, który jest siedliskiem imperialistycznych przygotowań do nowej wojny, w kraju, który dla uczciwych obrońców pokoju ma tylko więzienie i prześladowania, jak najmocniej zabrzmi głos w obronie wolności i praw człowieka.

JÓZEF STALIN

Przyczynek do niektórych zagadnień językoznawstwa

Odpowiedź tow. Kraszeninnikowej

Tow. Kraszeninnikowa! Odpowiadam na Wasze pytania.

1. Pytanie: W artykule Waszym dowiedzione zostało w sposób przekonywający, że język nie jest ani bazą, ani nadbudową. Czy prawidłowo byłoby uważać, że język jest zjawiskiem właściwym zarówno bazie jak i nadbudowie, czy też słuszniej byłoby uważać język za zjawisko pośrednie?

Odpowiedź: Oczywiście językowi jako zjawisku społecznemu właściwe jest to, co jest wspólną cechą wszystkich zjawisk społecznych, w tej liczbie bazy i nadbudowy, a mianowicie: obsługuje on społeczeństwo tak samo, jak obsługują je wszystkie inne zjawiska społeczne, w tej liczbie baza i nadbudowa. Ale na tym właściwie wyczerpuje się to wspólne, co właściwe jest wszystkim zjawiskom społecznym. Dalej zaczynają się poważne różnice między zjawiskami społecznymi.

Chodzi o to, że zjawiska społeczne mają, prócz tego, co jest wspólne, swoje cechy specyficzne, które różnią je od siebie i które są dla nauki najważniejsze. Specyficzne cechy bazy polegają na tym, że obsługuje ona społeczeństwo pod względem ekonomicznym. Specyficzne cechy nadbudowy polegają na tym, że obsługuje ona społeczeństwo, dostarczając mu idei politycznych, prawnych, estetycznych i innych, oraz stwarza dla społeczeństwa odpowiednie instytucje polityczne, prawne i inne. Na czym więc polegają specyficzne cechy języka, różniące go od innych zjawisk społecznych? Polegają na tym, że język obsługuje społeczeństwo jako środek komunikowania się ludzi, jako środek wymiany myśli w społeczeństwie, jako środek umożliwiający ludziom wzajemne zrozumienie się i zorganizowanie wspólnej pracy we wszystkich sferach działalności ludzkiej, zarówno w dziedzinie produkcji, jak i w dziedzinie stosunków ekonomicznych, zarówno w dziedzinie polityki, jak i w dziedzinie kultury, zarówno w życiu społecznym, jak i w życiu codziennym. Te cechy charakterystyczne właściwe są tylko językowi i właśnie dlatego, że właściwe są tylko językowi, język jest przedmiotem badania samodzielnej nauki — językoznawstwa. Gdyby język nie miał tych cech

charakterystycznych, językoznawstwo straciłoby prawo do samodzielnego istnienia.

Krócej mówiąc: języka nie można zaliczyć ani do kategorii baz, ani do kategorii nadbudow.

Nie można go również zaliczyć do kategorii zjawisk „pośrednich" między bazą a nadbudową, gdyż takie zjawiska „pośrednie" nie istnieją.

Ale może język można byłoby zaliczyć do kategorii sił produkcyjnych społeczeństwa, do kategorii, powiedzmy, narzędzi produkcji? Istotnie, między językiem a narzędziami produkcji istnieje pewna analogia: narzędzia produkcji, tak samo jak język, wykazują swego rodzaju obojętność wobec klas i mogą jednakowo obsługiwać rozmaite klasy społeczeństwa, zarówno stare jak i nowe. Czy okoliczność ta daje podstawę do tego, by zaliczyć język do kategorii narzędzi produkcji? Nie, nie daje.

W swoim czasie N. J. Marr widząc, że jego sformułowanie — „język jest nadbudową bazy" — wywołuje sprzeciwy, postanowił „zmienić szyki" i ogłosił, że „język jest narzędziem produkcji". Czy miał rację N. J. Marr, zaliczając język do kategorii narzędzi produkcji? Nie, bezwzględnie nie miał racji.

Chodzi o to, że podobieństwo między językiem a narzędziami produkcji kończy się na tej analogii, o której przed chwilą mówiłem. Natomiast między językiem a narzędziami produkcji istnieje zasadnicza różnica. Różnica ta polega na tym, że narzędzia produkcji produkują dobra materialne, język zaś nic nie produkuje, lub też „produkuje" jedynie wyrazy. Ściślej mówiąc, ludzie, którzy posiadają narzędzia produkcji, mogą produkować dobra materialne, ale ci sami ludzie, mając język, lecz nie mając narzędzi produkcji, nie mogą produkować dóbr materialnych. Nie trudno zrozumieć, że gdyby język mógł produkować dobra materialne, gaduły byłyby najbogatszymi ludźmi na świecie..

2. Pytanie: Marks i Engels określają język jako „bezpośrednią rzeczywistość myśli", jako „praktyczną... rzeczywistą świadomość". „Idee — mówi Marks — nie istnieją w oderwaniu od języka". W jakim stopniu, Waszym zdaniem, językoznawstwo winno zajmować się pojęciową stroną języka, semantyką i historyczną semazjologią oraz stylistyką. Czy też przedmiotem językoznawstwa winna być tylko forma?

Odpowiedź: Semantyka (semazjologia) jest jednym z ważnych działów językoznawstwa. Pojęciowa strona słów i wyrażeń ma poważne znaczenie w dziedzinie badania języka. Dlatego też semantyka (semazjologia) winna mieć zapewnione w językoznawstwie należne jej miejsce.

Jednakże opracowując zagadnienia semantyki i wykorzystując jej dane, w żadnym wypadku nie wolno przeceniać jej znaczenia, a tym bardziej — nie wolno jej nadużywać. Mam na myśli niektórych językoznawców, którzy dając się nadmiernie porwać semantyce, lekceważą język jako „bezpośrednią rzeczywistość myśli", nierozerwalnie związaną z myśleniem, odrywają myślenie od języka i utrzymują, że język jest u schyłku swego żywota, że można obejść się również bez języka.

Zwróćcie uwagę na następujące słowa N. J. Marra:

„Język istnieje tylko o tyle, o ile uzewnętrznia się w dźwiękach: czynność myślenia odbywa się również bez uzewnętrznienia... Język (dźwiękowy) obecnie zaczął już ustępować swej funkcji najnowszym wynalazkom, zwyciężającym bezapelacyjnie przestrzeń, a myślenie zyskuje na znaczeniu dzięki nie wykorzystanym jego zasobom przeszłości i nowym zdobyczom oraz ma usunąć i całkowicie zastąpić język. Przyszły język — to myślenie rozwijające się w wolnej od przyrodzonej materii technice. Nie oprze mu się żaden język, nawet dźwiękowy, mimo wszystko związany z normami przyrody" (patrz „Prace wybrane" N. J. Marra).

Jeśli ten „pracomagiczny" galimatias przetłumaczyć na zwykły ludzki język, to można dojść do wniosku, że:

a) N. J. Marr odrywa myślenie od języka;

b) N. J. Marr uważa, że komunikowanie się ludzi może być urzeczywistnione bez języka, przy pomocy samego myślenia, wolnego od „przyrodzonej materii", języka wolnego od „norm przyrody";

c) odrywając myślenie od języka i „wyzwalając" je od językowej „materii przyrodzonej", N. J. Marr grzęźnie w bagnie idealizmu.

Powiadają, że myśli powstają w głowie ludzkiej, zanim zostaną wypowiedziane w mowie, powstają bez materiału językowego, bez szaty językowej, jeśli można się tak wyrazić, w postaci obnażonej. Jest to najzupełniej niesłuszne. Jakiekolwiek powstałyby myśli w głowie ludzkiej, mogą one powstać i istnieć jedynie na bazie materiału językowego, na bazie terminów i zwrotów językowych. Obnażone myśli, wolne od materiału językowego, wolne od językowej „materii przyrodzonej", nie istnieją. „Język jest bezpośrednią rzeczywistością myśli" (Marks). Realność myśli przejawia się w języku. Tylko idealiści mogą mówić o myśleniu nie związanym z „materią przyrodzoną" języka, o myśleniu bez języka.

Krócej mówiąc: przecenianie semantyki i nadużywianie jej doprowadziło N. J. Marra do idealizmu.

Tak więc, jeśli uchroni się semantykę (semazjologię) od przesady i nadużyć w rodzaju tych, jakich dopuszczają się N. J. Marr i niektórzy jego „uczniowie" — może ona przynieść językoznawstwu wielką korzyść.

3. Pytanie. Zupełnie słusznie mówicie, że idee, pojęcia, obyczaje i zasady moralne burżuazji i proletariuszy są wręcz przeciwstawne. Klasowy charakter tych zjawisk bezwzględnie znalazł odbicie w semantycznej stronie języka (niekiedy zaś również w jego formie — w słownictwie — jak słusznie stwierdza Wasz artykuł). Czy można, analizując konkretny materiał językowy a przede wszystkim pojęciową stronę języka mówić o klasowej istocie wyrażonych przezeń pojęć, zwłaszcza w tych wypadkach, gdy mowa o językowym wyrażaniu nie tylko myśli człowieka, lecz i jego stosunku do rzeczywistości, kiedy szczególnie jaskrawo przejawia się jego przynależność klasowa?

Odpowiedź: Krótko mówiąc, chcecie wiedzieć, czy klasy wpływają na język, czy wnoszą one do języka swoje specyficzne słowa i wyraże-

nia, czy zdarzają się wypadki, by ludzie nadawali tym samym słowom i wyrażeniom różne znaczenia pojęciowe, zależnie od swej przynależności klasowej?

Tak jest, klasy wpływają na język, wnoszą do języka swoje specyficzne słowa i wyrażenia, a niekiedy różnie rozumieją te same słowa i wyrażenia. Nie ulega to wątpliwości.

Z tego nie wynika jednak, by specyficzne słowa i wyrażenia, jak również różnice w semantyce, mogły mieć poważne znaczenie dla rozwoju jednego wspólnego języka ogólnonarodowego, by mogły one osłabić jego znaczenie lub zmienić jego charakter.

Po pierwsze — takich specyficznych słów i wyrażeń, podobnie jak i wypadków różnic w semantyce, jest w języku tak mało, że nie stanowią one chyba jednego nawet procentu całego materiału językowego. A zatem cała pozostała przytłaczająca masa słów i wyrażeń, podobnie jak i semantyka, jest **wspólna** dla wszystkich klas społeczeństwa.

Po drugie — specyficzne słowa i wyrażenia, mające odcień klasowy, wykorzystywane są w mowie nie według reguł jakiejś gramatyki „klasowej", która nie istnieje w naturze, lecz według reguł gramatyki istniejącego języka ogólnonarodowego.

A zatem istnienie specyficznych słów i wyrażeń oraz fakty różnic w semantyce języka nie obalają, lecz przeciwnie potwierdzają istnienie i konieczność jednego wspólnego języka ogólnonarodowego.

4. Pytanie. W swoim artykule oceniacie zupełnie słusznie Marra jako wulgaryzatora marksizmu. Czy to znaczy, że lingwiści, a wśród nich również my, młodzież, powinniśmy odrzucić całą lingwistyczną spuściznę Marra, która zawiera, bądź co bądź, szereg cennych badań językowych (pisali o nich w dyskusji tow. tow. Czikobawa, Saniejew i inni)? Czy możemy, podchodząc krytycznie do Marra, brać jednak od niego to, co jest pożyteczne i cenne?

Odpowiedź: Oczywiście, dzieła N. J. Marra składają się nie tylko z błędów. N. J. Marr popełniał bardzo poważne błędy, gdy wnosił do językoznawstwa elementy marksizmu w postaci spaczonej, gdy usiłował stworzyć samodzielną teorię języka. Ale N. J. Marr ma również niektóre dobre, z talentem napisane prace, w których, zapominając o swych aspiracjach teoretycznych, sumiennie i — trzeba stwierdzić — umiejętnie bada poszczególne języki. W takich pracach znaleźć można niemało rzeczy cennych i pouczających. Rozumie się, że te rzeczy cenne i pouczające należy zaczerpnąć od N. J. Marra i wykorzystać je.

5. Pytanie: Wielu lingwistów uważa, że jedną z zasadniczych przyczyn zastoju w językoznawstwie radzieckim jest **formalizm.** Chciałabym bardzo wiedzieć, na czym, Waszym zdaniem, polega formalizm w językoznawstwie i jak można go przezwyciężyć?

Odpowiedź: N. J. Marr i jego „uczniowie" oskarżają o „formalizm" wszystkich językoznawców, którzy nie podzielają „nowej nauki" N. J. Marra. Jest to oczywiście niepoważne i niemądre.

N. J. Marr uważał gramatykę za czczą „formalność", a ludzi, którzy uważali, że budowa gramatyczna jest podstawą języka — za formalistów.

To już jest zupełnie głupie.

Sądzę, że „formalizm" został wymyślony przez autorów „nowej nauki", by ułatwić im walkę z ich przeciwnikami w językoznawstwie.

Przyczyną zastoju w językoznawstwie radzieckim nie jest „formalizm" wynaleziony przez N. J. Marra i jego „uczniów", lecz reżim Arakczejewa i luki teoretyczne w językoznawstwie. Reżim Arakczejewa stworzyli „uczniowie" N. J. Marra. Teoretyczny zamęt do językoznawstwa wniósł N. J. Marr i jego najbliżsi współpracownicy. By nie było zastoju, należy zlikwidować jedno i drugie. Likwidacja tych bolączek uzdrowi językoznawstwo radzieckie, wyprowadzi je na szerokie wody i umożliwi językoznawstwu radzieckiemu zajęcie pierwszego miejsca w językoznawstwie światowym.

Józef Stalin

POKÓJ

O, jasne jutro świata!
Przychodzą i mijają chmury,
Lecz nie rzucają nigdy cienia
Na twe słoneczne serce.
Jeśli coś cięży nadziei
To tyle, ile można powierzyć
Przelatującym ptakom.
Noc jest bezbronna przed świtem
I radość wejdzie w nasz dom,
Zanim otworzy drzwi.

Leopold Staff

MIECZYSŁAW JASTRUN

WŁASNOŚĆ

Zamiast czarnych misjonarzy —
elektrotechnicy.
Zamiast wróżby —
oświatowca wykład w świetlicy.
Pracy dzień jak dzień stworzenia,
kiedy światło
Bije się z zaporą cienia
już ostatnią.
Nowe życie, twarda ścieżka,
moc nieczuła.
Z nadzianego złotem mieszka
wyjrzał kułak.
Własność jak spasiony prosiak
w ziemi ryje.
„Nasze? Wspólne? gdym ja posiał?
Nie! niczyje!"
Własność cudzą krwią zwalana.
Oddać trzeba.
Własność pada na kolana
w gromach nieba.
Słońce skrzynią się wytoczy
za widnokrąg.
Jak chorągiew wyjrzy z nocy
zorzą mokrą.

LIST ANNY ŻYWIOŁ

Ja Anna Żywioł nie umiałam czytać
I nie umiałam pisać. Żyłam ślepa.
Starej kobiecie, dano mi do ręki
Jak dziecku, elementarz, zeszyt, pióro.

Wstydu najadłam się, lecz nie żałuję.
Teraz już czytam dosyć gładko książki,
Gazety. Przeczytałam „Faraona",
„Chama", „Anielkę", „Pana Tadeusza"

I powieść o tym, co się dzisiaj dzieje.
Tytułu nie pamiętam. Goście mili
Wchodzą do izby mojej, bym przy świetle
Naftowej lampy zapragnęła naraz

Żyć życiem innych, być tu i gdzie indziej,
Patrzeć jak rybak sieć zapuszcza w wodę,
Jak słońce pali się w piaskach pustyni,
Płakać nad losem ludzi zmarłych dawno —

Bo choć słyszałam, że oni nie żyją,
Ci ludzie z książek, nigdy nie uwierzę.
Wydaje mi się, że ich dawno znałam,
Niebo nad nimi jak po deszczu świeże...

Ja Anna Żywioł ten list z serca piszę,
Z daleka przesyłając pozdrowienie
Ludowej władzy, która mnie z ciemności
Wyprowadziła na światło, gdzie ludzie

Równi są pracą, gdzie owoce z drzewa
Wspólne są, bydło, rola, traw pokosy
I w bibliotece gminnej książki, które
Są niby kwiaty i są jak owoce.

Mieczysław Jastrun

STANISŁAW STRUMPH-WOJTKIEWICZ

POWRÓT

Na pokładzie „Lanstephen Castle", płynąc z rozkazu gen. Sikorskiego z Anglii do ZSRR.
Reykjavik — Kola, sierpień 1941 r.

Sierpień. W czterdziestym pierwszym roku.
I konwój. I ocean wokół.
Sygnał na maszcie komandora
głosi nowinę. Kursem nowym
skręcają statki ku północy
i po matowych fałdach wód
celują w region biegunowy,
a torpedowców chyża sfora
znika dyskretnie, po angielsku.

*

Za tydzień będę w Archangielsku,
lub — może wcale już nie będę,
wtopiony w wielkość oceanu
zżarty na nicość solą, jodem,
wędrowiec pewnie nie ostatni
z tych, co podjęli trud pielgrzymi
nierozumiany przez rodaka.
Lecz już niejedno polskie imię
wysnuło wątek, później rwany
przez małych ludzi pokolenie,
bo zwykła u nas kolej taka,
że to co jedna myśl zbuduje,
— druga, nie licząc się z faktami,
zmyli, odwlecze i rozwali.
A fakty? Bitwa się ślimaczy
tuż za obręczą widnokręgu.
A ja? Mój statek drży od pędu

i może niesie mnie — do domu
torem okrężnym. Jak wiadomo
jest to ruch ziemi, ruch tułaczy...

*

Nasz dom wędrował po Kaukazie,
ojciec rozsądzał ludzkie sprawy,
matka uczyła mnie i siostrę
— i tak — przez polski i łacinę,
gamy, algebrę i trylogię,
katechizm, szachy i chorały,
przeszedłszy wszystkie semafory,
zapytywany ze sto razy,
kim jestem (jestem „Polak mały"),
wjechałem do uniwersytetu.
(W tym czasie wiersze już pisałem,
wiersze szydercze, gorzkie, ostre...)

*

Zamiarem moim było głównie
budować polskie pancerniki
lub ostatecznie samoloty,
bo już zaczęto właśnie latać.
Lecz matce co innego w głowie:
dla jedynaka przyszłość sławna
(no i pieniądze) w medycynie,
gdzie syn potrzebny będzie ludziom
bardziej, niż oni jemu, chorzy
i ranni. Bo już wojna właśnie
tak zwana „pierwsza" była w pełni...
Grzmiały niepolskie pancerniki,
mknęły niepolskie samoloty,
Polacy kładli się pokotem,
lecz Polska była niczym, niczym
(przynajmniej dla całego świata)
i jej ideał niespełniony
w sercach młodzieży tkwił boleśnie
milionem pytań krwi serdecznej.
(Wstąpiłem więc na medycynę
niechętny, ale jeszcze grzeczny.)

*

I chemia, i osteologia
były tak samo dla mnie łatwe
do nauczenia się na pamięć

i do szybkiego zapomnienia,
jak szkolny kurs literatury,
bo nie dla chleba i rzemiosła,
pieniędzy, sławy i kariery
to wszystko łącznie z modelami
bleriota albo torpedowca
było ciekawe i niezbędne,
lecz dla syntezy o człowieku,
jego polotach i upadkach,
ubóstwie i przeładowaniu
i tym powszechnym zakłamaniu,
które tworzyło już od wieku
świetnych lekarzy lecz złych ludzi
i budowniczych bez idei,
i doskonałych adwokatów
do najczarniejszych nawet spraw...
Na własny studiowałem sposób
i taki własny styl się budził,
więc wzniosła fala poświęcenia
(w ówczesnym moim przekonaniu)
niosła mnie, niosła w szybkim pędzie
ponad detalem, erudycją
i ponad wspólność mej małości
z małością wielu innych osób...

*

Piszę to lekko uśmiechnięty
do czasów tych, jak gdyby z góry
na siebie patrząc. Bo i wolno
według atlasu geografii
tak właśnie patrzeć z tej pozycji
gdzieś w Lodowatym Oceanie
między Islandią a Jan Maen
na niższy region południowy,
źródło zapałów i omamień,
którym na imię jest: Warszawa,
krwawiąca w sercu emigranta.
To stamtąd wysnuł się na świat
mój łańcuch smutku i wygnania,
to do niej płynę — nie w pogoni
za jakimś mętnym ideałem,
lecz raczej jakby już w odwrocie
przed grą podstępną kapitału
i przed banałem Piccadilly,
i przed upiorem bezczynności...
Stąd widzę błędy jak na dłoni
i was — kochani i niemili,

tacy mi obcy, chociaż swoi,
buńczuczni, słabi i kłótliwi,
zajęci bridgem i kabałą,
z której wypłynąć ma dla duszy
zwątlałej w troskach ta nadzieja,
co serca wszystkim zaspokoi
i jakimś cudem przemoc skruszy...

*

Jeszcze niedawno, jeszcze w maju
kumpel mi z wachty tak klarował
pewnie i prosto: „Po powrocie,
jeżeli Hitler nie utopi
tej łajby i niepodległości,
pamiętaj Stachu — nowa Polska,
to już nie tamci dawni ludzie,
lecz robotnicy oraz chłopi!"
I tak wpatrzony w kurs kompasu
(a był to kurs 48)
z podziwu godną cierpliwością
na swym dwudziestym już patrolu
(jak milion jego towarzyszy
przez lat dwadzieścia w znojnym trudzie)
milczał i czekał, i sterował,
i w sercu twardy zamiar nosił.
Zerknąłem do nawigatora:
tam, od pozycji na Biskaju
dało się kurs 48
przedłużyć myślą w prostej linii,
co szła przez Francję, Niemcy, Poczdam
wpadając w morze koło Gdyni...
(To było na okręcie „Sokół"
w maju, w czterdziestym pierwszym roku.)

*

Flagi na masztach komandora
głoszą nowinę. Będzie zmiana.
Płyniemy teraz znów na wschód,
gdzie się wykuje polski żołnierz
nie w manewrowych bałaganach,
nie w zaśniedziałych garnizonach,
i nie w tych czczych melodramatach,
z których tworzyła się kariera
pokojowego oficera.
Tak, wielka zmiana: lud
wolny od sideł dyktatury

wodzów, majorów, pułkowników,
brygad i lóżek, i alkówek,
i ex-sierżantów prowiantury,
starostów z łaski ministrowej
i wszystkich innych, co wołali,
że Polska — to są „oni właśnie":
niezdolni a zarozumiali,
nadęci pychą, wódką kwaśni —
— wprzęgnięte w bractwo ozonowe
„kwiecie narodu"... (każdy z tłumu
miał więcej od nich uczciwości,
serca, odwagi i rozumu).

*

Bez flag i bander konwój orze
pofałdowane równo morze,
szare, głębokie, obojętne,
a szlak twój, chłodny komandorze,
bez śladu zginie wśród odmętów
a dymy statków się rozwieją
i znikną nad polarnym kołem
i nigdy żaden z tych okrętów
nie trafi na swój dawny trop.
Ale ja — dążę znów na wschód
w pragnieniu zmiany i przełomu,
w przeczuciu, że wśród plątaniny
ścieżek sprzed wielu — wielu lat
gdzieś się odnajdzie i wystrzeli
wśród dymnych salw i krwawych flag
droga wyraźna i jedyna,
która opasze cały glob,
którą podąży ludów lud
— robotnik, chłop —
— i którą wraca się do domu...

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz

STANISŁAW ZIELIŃSKI

POCZĄTEK DROGI

Fragment powieści pt. „Ostatnie Ognie"

Kilka minut po jedenastej z przytulnego lokalu mieszczącego się na rogu niewielkiego zaułka i szerokiej avenue wyszedł mężczyzna w mundurze kapitana. Wsiadł do samochodu i ruszył wolno w stronę pobliskiej stacji metro. Ruch na ulicach zamierał. Metro stawało o jedenastej, zamykano więc już drzwi knajpek i wyłączano prąd poruszający elektryczne samochodziki, największą atrakcję Wesołego Miasteczka, ciągnącego się kilometrowym pasem. Zatrzymywano karuzele i zwijano strzelnice. Dziewczyny pominięte przez żołnierzy wędrowały w stronę śródmieścia, gdzie życie trwało dłużej. Amerykańskie ciężarówki ryczały silnikami i oświetlały chodniki ostrym światłem reflektorów. Żandarmi zbierali pijanych „chłopców zza oceanu", którzy zagubieni w obcym mieście, układali się do snu na skraju jezdni. Spoza okiennic szynku dolatywały głośne pokrzykiwania. Kapitan uśmiechnął się pogardliwie: był pewien, że rodacy toczą spory polityczne nad którąś tam z rzędu butelką koniaku.

Na skrzyżowaniu avenue z bulwarem kapitan skręcił w prawo i zatrzymał samochód w pobliżu amerykańskich koszar. W oknie wartowni kiwała się jednostajnie głowa drzemiącego żołnierza. Gdzieś w pobliżu brzęczała znużona orkiestra. Czas upływał wolno. Kapitan spojrzał na zegarek: prawie dwunasta. Z bocznej ulicy wysunęła się ciężarówka i hałasując silnikiem zbliżała się do bramy. Wartownik przeciągnął się i poszedł otwierać. Nagle stuknęły strzały. Kapitan poruszył się niespokojnie. Rozległy się jękliwe uderzenia zegarów. Na podwórzu koszar wciąż warczał motor, więc kapitan ruszył dalej, trzymając się tuż przy chodniku. Wreszcie z cienia wynurzyły się dwie postaci. Mężczyźni w beretach wsiedli w pośpiechu. Samochód zwiększył szybkość.

Sprawa była załatwiona i kapitan nie widział powodu, by dłużej obijać się po pustych ulicach. Jechał szybko do domu. Mieszkał na drugim krańcu miasta w miłej willi otoczonej ogrodem. W pobliżu Placu Bastylii zwolnił. Zaniepokoiło go milczenie siedzących z tyłu mężczyzn.

— No, cóż wy tam, murgi przeklęte! — zaśmiał się. — Szczypać was trzeba? Strzały słyszałem. Który z was?

Odpowiedzieli ciężkim westchnieniem. Kapitan zatrzymał wóz i zapalił papierosa. Ludzie w beretach spoglądali z niepokojem na twarz oświetloną płomieniem zapalniczki. — Noo... — powtórzył kapitan.

— Strzelałem ja — odezwał się jeden. — Ale, niech pan kapitan sam powie, czy to się kiedy może zdarzyć? Bo mnie to pierwszy raz!

Kapitan zaciągnął się dymem i mruknął z lekkim zniecierpliwieniem. — No, dobrze już, mów.

— Żeby — ciągnął tamten — człowiek, do którego się strzela z tyłu, żeby się akurat wtedy potknął! I to taki drań, jak ten właśnie.

— Potknął się, to się potknął. Cóż takiego?

— To takiego, że zamiast w kapelusz, to poszło górą. O, tak... — odetchnął z ulgą. Drugi dodał — Właśnie tak było. Wszystko szło dobrze, aż do ostatniej chwili. Potem raz-dwa się zepsuło. Posterunek żandarmerii był blisko. O, tak.

— Amerykański posterunek, nie bolszewicki, więc trząść portkami nie musieliście! — Kapitan z trudem tłumił wściekłość.

— I z okna ktoś wyjrzał... — bronili się jak umieli. Wydobywali z pamięci każdy szczegół nieudanej wyprawy.

— Zresztą mogliście go zlikwidować w innym miejscu.

— Pan kapitan sam radził... Nie wyszło, ale wyjdzie. Na pewno! — zapewniali chórem.

— A zaliczka już wyszła? Chę? No, śmiało!

— Pan kapitan sam rozumie, to nie były duże pieniądze. Z ręką na sercu — jesteśmy bez grosza.

— No, to won z samochodu!

Umikli zaskoczeni. — Choć parę franków...

— Nie. Przejdziecie się piechotą. To się wam przyda. Przekonacie się, jak to jest z tym potykaniem się na równej drodze. A po pieniądze nie pokazywać się wcześniej, niż będzie o czym mówić. Kazałem wam załatwić go w Lille — nie udało się. Obiecaliście tu — potknął się. Jeszcze jedno potknięcie i nie podniesiecie się więcej. Wysiadać!

— U pana kapitana pieniądze pewne jak w banku. Nie zginą. Przyjdziemy za parę dni... — skamlali pokornie.

— Kto pracuje, ten jeździ samochodem... — dodał kapitan na pożegnanie, po czym odjechał w stronę Vincennes.

— Twardy syn... — mruknął niższy. Zdjął beret i przygładził włosy.

— Zanim franka da zarobić, ostatni pot z człowieka wyciśnie! — odpowiedział ponuro drugi. — A sam, cho-cho! Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. A o panu kapitanie Banko, to już najlepiej. Chodź Gieniek spać. Speckałeś robotę.

Poszli w kierunku mostu na Sekwanie dumając nad utraconym zarobkiem.

*

Pani Żenia przyleciała do Paryża po południu. Zjadła kolację w towarzystwie oficerów amerykańskich i jadąc wieczorem do Vincennes znała już wszystkie nowinki polityczne obiegające Paryż i Londyn. Wiadomości nie były pomyślne. Lada dzień należało oczekiwać uznania przez Aliantów Rządu Jedności Narodowej. Pani Żenia nie bawiła się w zawiłe rozważania. Określała postępek sojuszników krótko: — Ordynarne świństwo. Nóż w naszą pierś.

Pułkownik amerykański odburknął znad kierownicy, że to nie jego wina. Więcej go obchodziło kolano sąsiadki niż cały rząd londyński i jego klęska.

— Misja londyńska ma pozostać i pracować dalej. To przedłuży nasz pobyt we Francji i w Belgii — myślała pani Żenia. — Ale co potem? Przyjdzie walczyć o każdy kęs strawy. Nas bolszewicy nie zostawią w spokoju... — Po odjeździe pułkownika, czekając na kapitana w pustej willi, Żenia przypomniała sobie męża. — Gdzie się obija stary dureń? — Postarała się dla niego o wjazd do Anglii, ale major zniknął z Murnau i nie pokazał się ani w Brukseli, ani w Paryżu. — Zwariował w obozie — powiedziała półgłosem. Stratę męża odczuła tak samo, jakby pokojówka rozbiła brzydki i zawadzający w domu wazon. „Stary dureń" trafił oczywiście do niewoli we wrześniu. Podczas gdy jego koledzy dawno już byli w Rumunii, on zajmował się nie wiadomo czym! Nie potrafił nawet dać się zabić! Pani Żenia wróciła do Warszawy w listopadzie, a już w styczniu 1940 roku wyjechała legalnie do Hiszpanii. Tkliwie wspominała urzędnika placówki południowo-amerykańskiej, który zaopatrzył ją w nieodzowne do podróży papiery. Ów Etienne Danck okazał się dzielnym mężczyzną i uczynnym człowiekiem. Jego rady bardzo dopomogły pani Żeni. Nauczyła się patrzyć na ludzi i odróżniać plewy od ziarna. Jednym z tych ludzi ciekawych i zasługujących na miano ziarna, był właśnie dawny komisarz do spraw politycznych

Banko. Poznała go Żenia w Barcelonie. W tym czasie powróciła do panieńskiego nazwiska, zachowując jednak tytuł majorowej po mężu, „starym, zawodowym durniu". Lecz „majorowa Ceresikowa" brzmiało źle. Pogodziła się pani Żenia ze wspomnieniem męża i jako majorowa Sobierajska wypłynęła na powierzchnię emigracyjnego życia. Przystojny ex policjant okazał się właściwym towarzyszem na obczyźnie. Umiał osiągać wytknięty cel. Wróżono mu polityczną przyszłość, a on nie przebierał w środkach, by jak najprędzej uczynić zadość opinii publicznej.

Po wypadku gibraltarskim, który, powtarzając za innymi, nauczyła się nazywać tragicznym, lecz słusznym zarządzeniem Opatrzności, majorowa przeprawiła się do Londynu przy boku komisarza. „Och, nie była przylepiona sendetikonem do tego boku!"

Podobnie jak w Barcelonie, tak i w Londynie pani Żenia stała się nieodłączną cząstką p o l s k i e g o k r a j o b r a z u. Tkwiła w nim, jak w obrazie polskiej wsi tkwi chata kryta słomą. Ruda czupryna majorowej zdobyła sobie zaszczytną nazwę „polskiej strzechy" i trzeba przyznać, że strzecha ta miała piękny, tycjanowski odcień. Dobrana para spłynęła na kontynent tuż za oddziałami inwazyjnymi. Nie byli lekkomyślni i od razu docenili nowe, wspaniałe możliwości handlowe. Zresztą kapitan nie był już panem własnej osoby: pracował oficjalnie dla „dwójki", a prywatnie wysługiwał się wywiadowi amerykańskiemu.

Majorowa nie zapominała o kraju — Polska była przed wojną. — Podczas wojny wysyłano z polecenia pani Żeni sardynki i herbatę „Mozambik" z Lizbony do brata w Warszawie. Kupiec Ceresik-ojciec przeżywał okupacyjną noc w stanie handlowego podniecenia. Na „gubernialną" rzeczywistość patrzył trzeźwo, bez uniesień zakłócających dochód firmy. — Ten ich Hitler co robi to robi, ale że handel z chwastów czyści, to pewne — mówił Ceresik-ojciec do syna, oglądając pudełko sardynek. Branża metalowa odczuła radośnie o d e j ś c i e Żydów. Cały hurt przechodził w polskie, to jest Ceresików ręce. Gdy Ceresik kupował willę w pięknej miejscowości podstołecznej, czuł się jak żołnierz po zdobyciu nieprzyjacielskiego bunkru. W niedługim czasie willa Ceresika stała się zakonspirowaną przystanią patriotyzmu. Co wieczór, po sutej kolacji, Ceresik-syn grał na skrzypcach niepodległościowe melodie dla grona zaufanych znajomych. Stary burczał, brał krople na serce, ale w gruncie rzeczy dumny był z syna...

Gdy Rosjanie wywalili drzwi do Europy, które z łoskotem chciał zatrzasnąć Goebbels, majorowa dostała ataku histerii i spędziła prawie tydzień w łóżku. Z czasem rozsądek wziął górę nad nerwami, ale nienawiść do nowej Polski utrwaliła się równie silnie, jak niegdyś wstręt do Sikorskiego. Postanowiła poświęcić wszystkie siły i — urodę dla s w o j e j Polski, takiej, którą by rządził komisarz Banko, a komisarzem „Ruda Jadźka". Nie wystarczało obalić rząd rękami leśnych band. Dla świętego spokoju trzeba by również wygnać bolszewików za Ural. Doświadczenia stalingradzkie były co prawda nie zachęcające. Nierzadko, najczęściej w samotności, ogarniała majorową fala zwątpienia. Banko pocieszał przyjaciółkę niedbale: — Wszystko da się zrobić, tylko, Żenieczko, trzeba czasu i pieniędzy...

Żenia spojrzała na zegarek — dwunasta. W Misji powiedzieli, że kapitan wyjechał służbowo i wróci wieczorem. Powinien już być... Poczuła dreszcz niepokoju. Wydało się, że ktoś stoi tuż za nią.

— Nerwy. Nie znoszę podróży samolotem — uspokajała się głośno. Nie zapalając światła podeszła do okna. W stróżówce było już ciemno. Para staruszków opiekująca się willą spała zapewne od dawna. W domu panowała cisza przerywana niemiłym trzeszczeniem mebli. Kilku zapóźnionych przechodniów przemknęło się pomiędzy palącymi się na ulicy latarniami. Majorowa uważnie wpatrywała się w gęsto zarośnięty ogród. Zaniepokoił ją trzask jakby nadepniętej nogą gałązki. Wsunęła rewolwer do kieszeni szlafroka, ale denerwujący odgłos nie powtórzył się więcej. Pokój wypełniał się duszącym zapachem jaśminu.

Wreszcie od strony miasta doleciał szum zbliżającego się samochodu. Ulica rozjaśniła się nagle oświetlona reflektorami. Wóz skręcił, światła oparły się na ścianie domu, wydobywając z mroku stromy wjazd do garażu i krzaki jaśminu rosnące po obu stronach wykopu.

Kapitan wjechał, zamknął bramę garażu i wolno szedł pod górę ku ścieżce wiodącej do drzwi domu. Człowiek, który od kilku godzin czekał tej chwili, wysunął się nieco naprzód i naprężył mięśnie. Banko był o krok od ciemnej plamy krzaków. Ale zanim zrobił ostatni krok — zatrzymał się zaskoczony. Na pierwszym piętrze zabłysły wszystkie okna. Na tarasie pojawiła się kobieta z błyszczącym przedmiotem w dłoni. Krzyknęła dobrze znanym głosem:

— Nareszcie cię mam!

Zanim kapitan Banko wszedł na górę i przywitał się z przyjaciółką czekającą na progu sypialni, człowiek ukryty w jaśminie zdążył opuścić ogród. Osłonięty krzewami dotarł do furtki i skierował się ku nieda-

lekiej kępie drzew. Odnalazł pozostawiony rower i nie zwlekając pojechał w stronę miasta. Po pewnym czasie zatrzymał się, by wypalić papierosa i owinąć szyję długim szalem z mocnego, spadochronowego jedwabiu. Na ulicach dudniły już wozy wiozące warzywa i owoce do Hal Centralnych. Zamiatacze kończyli pracę. Asfalty lśniły od wody. Człowiek na rowerze jechał spokojnie, nie nagabywany przez znużonych nocną służbą policjantów. Nucił pod nosem piosenkę, w której powtarzały się nie dla wszystkich zrozumiałe słowa:

Chi-cha!
Ich bin schon wieder da...!

*

— Nie widzę nic niepokojącego — kapitan Banko odwrócił się do okna. Żenia Sobierajska siedziała w fotelu i rozcierała skronie palcami. Banko obejrzał maleńki pistolecik i wzruszył ramionami. Napełnił kieliszki.

— Wypij. Dobrze ci zrobi. Znowu nerwy.

— Jestem już zupełnie spokojna, ale — wtedy? Coś musiało być w tym. Krzyknęłam odruchowo. Nie pamiętam nawet co? Już przeszło. To wpływ tej okropnej atmosfery, która zaczyna nas otaczać. Czasami przestaję wierzyć w szczęśliwy powrót do Polski. Czy wrócimy? Powiedz!

— Pracować jest trudno, ale się wróci, wróci i weźmie się chamstwo za mordę! Była jedna Bereza, stworzymy dziesięć, dwadzieścia, sto dwadzieścia! Świętej pamięci marszałek miał rację: odbierać broń i łamać kości! Nie bój się, wrócimy. Wtedy za każdym niepewnym draniem będzie stać n a s z człowiek z gumową pałką! — Banko czuł wzbierającą złość. Pił kieliszek za kieliszkiem.

— Co robi biedny Sławoj? — spytała Żenia otulając się szczelniej szlafrokiem.

— Dureń! Pisze pamiętniki, bo chce uprzedzić Churchilla. Co ty masz dla mnie?

— Jak zawsze coś dobrego. Podziękuj... — podeszła do kapitana.

— Noo...? — zapytał po chwili Banko — jakie nowiny?

— Najlepsze! Ludzie! Pamiętasz Mayera?

— Eche. Płotka. Najzdolniejszy człowiek nic sam nie zdziała. Strasznie i c h rozproszyli. Mów, jestem ciekaw.

— Mayer żyje. Jest w Regensburgu. Na pewno pracuje już dla Amerykanów. Oni potrzebują ludzi na Polskę.

Kapitan roześmiał się pogardliwie.

— Nowina! To chyba j a wiem najlepiej, kogo oni potrzebują.

— Poza tym widziałam w Brukseli Bartona. Pamiętasz go? Jedzie do Włoch, przed tym był w Niemczech i zdaje się, że odwiedzał Bohuna. Na pewno montuje sieć w kraju dla Anglików. Bartona nie lekceważ, udaje durnia, ale pomysły ma dobre.

— Bohun żyje z mojej łaski. Uratowałem jego i chłopów od pójścia za druty. Potworzymy z nich kompanie wartownicze w strefie amerykańskiej. Barton, pchi, to nie konkurent. Wszystkie nitki zbiegają się w amerykańskiej ręce. Co jeszcze? — domyślał się, że najlepszą wiadomość zachowała na ostatek.

— Patrz uważnie — położyła na stole gazetę. Kapitan drgnął.

— Szulawka! A kanalia, glisda wszędowścibska... A, to on się nazywa teraz Dahomejski. Pięknie! Tak, oczywiście, to on.

— Lada dzień w ministry może pójść. Zdaje się, że dobrze zamazał stary trop. Wiem, że powrócił do kraju po rozmowie z Mayerem. Spotkali się przypadkowo, ale... Wierzysz w przypadki tego rodzaju?

Roześmieli się oboje. Kapitan wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Myślisz, że warto się tym zająć? — przygryzł wargi.

— Nie tylko warto, ale koniecznie trzeba! To obowiązek! Inaczej będziesz dorabiał innych, a sam latał w podartych portkach. Tak było przed wojną!

— Więc wezmę Mayera pod swoje skrzydełko. Cóż, czasy się zmieniły, inny teraz porządek. Dawniej on mnie dawał zadania, teraz ja mogę mu przydzielać robotę. Grunt, że odnajdują się ludzie, bo — proszę ciebie — ani wojna, ani okupacja nie nauczyły nas zgody narodowej. Weź Paryż. Polaków niby pełno, ale do pracy kogoś znaleźć... — machnął ręką. — Osiwieć można. Do Hiszpanii umieli chodzić przez Pireneje, ale dla własnego kraju coś zrobić, to ich nie ma! Emigracja! — Kapitan zaklął.

— Tam gwałcono zakonnice.. — szepnęła Żenia. Kapitan odwrócił się nagle i wybuchnął:

— Jesteśmy sami, więc nie pleć mi głupstw! Zresztą, czy ja im zabraniam gwałcić w Polsce? A niech gwałcą, byle robili co się im każe! Taki Tański, czort wie kto, łazi po Paryżu, pod samym nosem prawie i człowiek jest bezradny, bo ma durniów za wykonawców. Powiem ci szczerze: w Polsce było łatwiej. Na glinianki i końce w wodę! Trudno, żebym z każdym głupstwem biegał do Amerykanina.

Żenia skrzywiła się.

— Pewnie. Ośmieszać się nie można. Doprawdy nie masz sposobu? Muszę się ja zająć Tańskim.

Kapitan przymrużył oczy i pogroził palcem. Żenia przygryzła wargi. Nie lubiła podobnych żartów.

— Nie zaprzątaj sobie nim głowy... — powiedział wolno kapitan.

— Bardzo ci bruździ?

— Lekko powiedzieć! Jak uznają nowy rząd, od razu mogą ruszyć transporty do Polski. Tański ma posłuch tutaj. Pamiętają go podobno z Hiszpanii. Uderza sprytnie w starą emigrację. A mnie — brak ludzi. Durniów jest pełno, ale i ich trzeba zamykać w koszarach, żeby nie nasiąkali tutejszą atmosferą. We Włoszech jest dużo lepiej. Tak, Mayer, Szulawka... To mnie cieszy. Odnajdują się starzy towarzysze!

— Mnie się zdaje, że ten Dahomejski powinien jak najprędzej otrzymać w prezencie od ciebie najlepszą radiostację, na jaką stać Amerykanów — powiedziała Żenia — Poza tym skierowałam do ciebie młodego chłopca, którym się zaopiekuj. Uczynny i z dobrego domu. Połowa wiadomości pochodzi od niego. Nazywa się Gałandzki i jest ze mną spokrewniony. Dziesiąta woda po kisielu, ale zawsze.

— Jesteś wspaniała! Tak! A Barton niech się trudzi i martwi na własną rękę. Jeżeli weźmie pod opiekę „las", tym lepiej. Każdy strzał przyśpiesza nasz powrót! Twój, żenieczka, i mój! — Banko rozrzewnił się i tkliwie pocałował przyjaciółkę w czoło.

*

Wczesnym rankiem robotnicy idący do pracy czytali na czerwonym murze koszar: „Precz z faszystami!" Napis był duży, litery bieliły się z daleka, widać wymalowano je przed kilkoma zaledwie godzinami. — Słusznie, oni są przecież faszystami! Nie dość im jednej wojny, już krzyczą o drugiej przeciwko Rosji! To są faszyści! — dzielono się uwagami spiesząc do metro. Nieco później, kilku żołnierzy pod kierunkiem kwatermistrza zabrało się do zmywania napisu. Major w binoklach cmokał ze zdumienia:

— Wściekli się, czy co? Gdzież tu faszyści? Alboż my Włosi? Ścierajcie chłopcy prędzej, bo jak pan pułkownik zobaczy, to go szlag może trafić!

Major naprawdę nie rozumiał. Przed wojną ciułał grosz do grosza urywając z porcji żołnierskich, ile się tylko dało. Kupował dla pułku siano i nie patrzył czy suche, czy mokre lub kwaśne. Teraz oszczędzał od nowa. Zamieniał konserwy i papierosy na dolary. Wyprzedawał cich-

cem wełniane koce i trochę interesował się kamieniami. Pogląd na świat zamykał w następującym podziale: dobry, w którym kwatermistrz może coś zarobić i zły, w którym trzeba pracować, a żyć można tylko z pensji.

Major rzucił raz jeszcze okiem na mur i zawrócił do bramy. Mniej więcej w tym samym czasie kapitan Banko oglądał ślady ciągnące się za krzakami jaśminu. Żenia Sobierajska stała znów na tarasie. Kapitan z policyjną wprawą odtwarzał sytuację. Sprawa była jasna: gdyby nie głos przyjaciółki, to... — Kapitan chrząknął i przygładził włosy. — Co tu gadać, byłoby bardzo źle. — Wezwał więc staruszka dozorcę i kazał niezwłocznie wyciąć piękne krzewy. — Tu posadzimy tulipany. Zapach jaśminu przyprawia madame o nieznośny ból głowy. W godzinę później dwaj policjanci roztoczyli opiekę nad willą. Kapitan i Żenia pojechali do Misji na Quai d'Orsay.

Piąty lipca był pogodny, ale mieszkańcom paryskich koszar zdawało się, że trafili wraz z miastem w sam środek nawałnicy. Grom uderzył podczas obiadu. Kwatermistrz odsunął talerz z zupą i powiedział:

— Radio Polskie w Londynie skończyło się.

W głosie majora nie było ani żalu, ani smutku. Rzeczowo stwierdził fakt, podobnie jak kelner odpowiadający na pytanie gościa: Wątróbka się skończyła, matomiast może być sztukamięs. — Po minucie milczenia kwatermistrz wypalił z drugiej rury:

— Należy oczekiwać w najbliższym czasie uznania Rządu Jedności Narodowej przez mocarstwa zachodnie. Rozkazy w tej sprawie jeszcze nie nadeszły — dodał. Po czym zdjął binokle i życząc oficerom „smacznego" opuścił kasyno. Zanim zamknął drzwi, już podniosły się szepty, z początku nieśmiałe i niepewne, później coraz głośniejsze, aż nad stołem rozpętała się krzykliwa awantura.

— Panowie! Koledzy! Czy to możliwe!? — wołał właściciel wędliniarni z Pułtuska. — Dwa rządy teraz będą? Jeden w Londynie, a drugi w Polsce? Jak to ma być?!

— A kolega miał dwa sklepy? No, to czego się dziwić. Jeden rząd dla żony, a drugi dla was. Na pewno w jednym sklepie wyście trzymali kasę, a w drugim żona. I teraz też tak będzie. Wy w jednym interesie, żona w drugim, a dzieci chyba korespondencyjnie będziecie robić.

— Jak będzie — moja sprawa! Wypraszam sobie! Słyszał pan? Wypraszam!

— Panowie, dajcie spokój! Na pewno major żartował! Ej, czy nie prima aprilis?!

— Co panu? Prima aprilis w lipcu?!

— A cóż takiego? Nie ma świąt przechodnich? Zielone Świątki zawsze o tej samej porze wypadają? Dokładniś...!

— A ja panu raz jeszcze mówię: wypraszam sobie! — grzmiał rozsierdzony właściciel dwóch jatek.

— Wcale pańskiej żony nie chciałem urazić. Może pan nie pisać.

— Nie o żonę mi chodzi! Nie porównuj mi pan sklepu do rządu! Puszczałem kiedy klientów bez towaru? A teraz co? Guzik! Pieniądze zapłaciłeś, przychodzisz do lady, a tu — ku-ku! Tak się nie robi, moi panowie! — pogroził w stronę stojącego pod oknem odbiornika.

— Masz pan zupę. Jedzcie, kolego, bo stygnie.

— Panie! Bo ja pana nauczę!

Jeden tylko stołownik kasyna nie wziął udziału we wzajemnym przekrzykiwaniu się. Mężczyzna o rumianej twarzy i szerokich ramionach jadł spokojnie zupę i zagryzał chlebem. Był to kapral z cenzusem, więc nikt się nie dziwił, że milczy i nie wtrąca do politycznej dyskusji nieopatrznego kapralskiego słowa. Wiedziano, że przyleciał samolotem z Brukseli. Kwatermistrz, usłyszawszy nazwisko, cmoknął ze zrozumieniem. Zaprosił kaprala do siebie, podał mu rękę i polecił jadać razem z oficerami.

— Ja wiem, k t o p a n j e s t. Niechże pan sobie naszyje cenzus, bo przepisy są przepisami i w kasynie porządek musi być. Dobrze, dobrze, nikt panu do głowy nie będzie zaglądał, a naramiennik każdy widzi.

Kwatermistrz miał doświadczenie przedwojenne i wiedział, że lepiej czterech zwykłych kaprali posadzić przy stole, niż jednego k u z y n a odpędzić. — Nazwisko... — mruczał do siebie — na pewno kuzyn generała. — I tak zostało. Kaprala nikt do Londynu nie ciągnął, ale z kasyna wyprosić się bano. Oficerowie boczyli się. Porucznik z Pułtuska odzywał się parokrotnie: — Łopata w stojaku na parasole! — Robił przy tym taką minę, jakby sam był parasolem w najlepszym gatunku, z bambusową rączką.

— Posłuchajcie! — Zgiełkliwy tumult zmienił się w milczące osłupienie. Wszyscy patrzyli, czego tam chce kapral — Nie dwa rządy, nie sklepy i nie zupa! Teraz będzie po prostu tak: Towarzysze.

— O-o-o... — Właściciela jatek złapała niespodziewanie czkawka. Kapral podniósł palec:

— Widzi pan? Już pana wspominają w Pułtusku!

Z hałasem odstawiono krzesła. Wszyscy wyszli. Kapral skończył obiad, zapalił papierosa i także powędrował na miasto. — Kłamstwo tu rządzi — rozmyślał idąc. — Gdyby wiedzieli, że jestem piaskarzem znad Wisły! Dałby mi major Paryż! Mieszałbym piach nogami w obozie. A piach, to nie kapusta, więc szkoda nóg. — I szedł popatrzeć na „paryską Wisłę", bo widok rzeki, choć ujętej w kamień, sprawiał mu przyjemność. Tymczasem w niedalekich od koszar knajpkach radzono zawzięcie. Dym wędził głowy, wino plątało języki, panika cichła jak wiatr przed wschodem słońca.

— Mówicie, że jednak można? Zgoda! Ale jak to rozumieć? Czy wolno mieć pięćdziesięciu pracowników w sklepie, czy tylu tylko klientów można obsłużyć? Chyba dziennie, jak myślicie?

— Za jedno wam ręczę: na fortepianie grać wolno. Wiadomość pewna.

Właściciel jatki wstał. — Pan powiedział — rzekł wolno cedząc słowa — fortepian? A o warcabach pan nie słyszał nic? Ja zatem panu powiem...

Zanim rozstrzygnięto wątpliwości, major kwatermistrz doszedł aż pod drzwi zakładu madame Frécot w pobliżu metro La Fourche. Właścicielka „tawerny" „Aux Lilas Blancs" lubiła Polaków. W jej tawernie korzystali z nieznacznej „reduction" na każdej butelce wina i z uprzejmości właścicielki nie wliczanej już do rachunku. W szkłach, przypominających do złudzenia prawdziwe kryształy, stały pęki alianckich chorągiewek, bajecznie kolorowe jak wiejskie bukiety. Na próżno szukałbyś rosyjskiej. Madame Frécot miała zapatrywania s t a r o r e ż y m n e.

— Uwielbiam anielskie chóry włoskie. Lubię, gdy zdrowi chłopcy dokazują z dziewczynami, przepadam za młodą sałatą, ale nie cierpię nowalijek politycznych! Czyż trzeba burzyć dom dlatego tylko, że ktoś obsiusiał jedną ścianę? — wypowiadała z uśmiechem swoje p o g l ą d y.

Słuchali jej ludzie w różnym wieku. Kiwali z uznaniem głowami i mrużąc znacząco oko, mówili jeden do drugiego: — Słyszałeś? To głos Zachodu! To ważna dla nas opinia!

Myśleli przy tym o nowej wojnie. Bo wydawało im się, że tylko wojna, jak zręczny majster, potrafi zlepić stare skorupy w znowu piękny garnek. Uśmiechem i zręcznymi powiedzonkami ostronosa Frécot osiągnęła to samo, co i zachodni politycy czasu wojny: zjednała polską klien-

telę. Tak więc spryt właścicielki i uda orientalnej tancerki Mefettah dźwignęły podupadły zakład.

Wieczorami rojno było w barze i tłoczno w salonie „Tawerny pod Białymi Bzami". Tancerka Mefettah musiała zrezygnować z urlopu. Zamiast spędzić lato pod Awinionem w fermie starych Frécot, pracowała wciąż w pocie czoła i utrwalała w rodakach paryskie wspomnienia. Bowiem podpora zakładu pochodziła z Kazimierza nad Wisłą, a nie z dalekiej Casablanki. Do obozu pod Awinionem pojechali natomiast strzelcy z koszar. Wypchnięto ich pod namioty, by nie zdążyli nasiąknąć „francuską zgnilizną". Dwukrotnie żandarmi przeprowadzali rewizję w poszukiwaniu ulotek podrzuconych przez komunistów. Któż inny mógł pisać: „Polacy, wracajcie do Polski!"

Przytupywanie na piaszczystych wydmach, salutowanie w marszu i zamiatanie oficerskiego kasyna uznano za najbardziej odpowiednie lekarstwo. Wysiłek fizyczny miał zagłuszyć tęsknotę za ojczyzną. Mustra — utrwalić hierarchię społeczną. Przysiadami budzono wiarę i ufność w dowódców. Właśnie w tym czasie pewien instytut amerykański badający opinię publiczną ogłosił: „Propaganda komunistyczna znajduje posłuch u bezrobotnych i Murzynów, natomiast wśród milionerów nic zdziałać nie może!" Natychmiast przetłumaczono to na język koszar: „Ćwiczyć! Nic tak nie podnosi godności jak marsz w zwartym szeregu! Na niedzielę dać im piłkę!" Czekano więc w obozie na strzelców z gotowym programem w zanadrzu: Powymiatać śmieci z głowy, ponapinać dobrze mięśnie i napełnić puste głowy pogadankami z Londynu.

— Tak być powinno! Musi być porządek! — mruczał major i stukał uparcie nie zrażony zamkniętymi okiennicami. Za drzwiami panowała senna cisza. Major uderzał się rękawiczkami po udzie, chichotał na myśl o strzelcach maszerujących czwórkami i walił obcasem w drzwi. Wreszcie pokazał się nos madame, siny ze złości i oburzenia.

— Mój majorze! O tej porze?! Do grobu chcesz nas wpędzić! Wypadałoby oficerowi uszanować odpoczynek pracujących kobiet. No, proszę, wejdź, skoro już jesteś. Zaraz odsłonię okiennice.

Po kilku minutach rozmowy Frécot pobladła i z widocznym roztargnieniem słuchała słów majora. Czuła się bliska omdlenia. Wydawało się jej, że gliniany dzban z białymi liliami poderwał się jak wróbel ze stołu i krąży teraz pod sufitem. Dotknęła ręką czoła i starła krople potu. Dzban stał znów na stole. Major nie pozbywając się uśmiechu powtórzył znów sumę, tym razem nieco wyższą. Madame oprzytomniała. Spoj-

rzała w lustro: nos był prawie granatowy. Upudrowała się więc czym prędzej.

— Powiedzmy, że t a k — odpowiedziała powściągliwie. — Ale co stanie się z tancerką Mefettah? To wielka artystka!

— Skoro jedną sprawę możemy uważać za załatwioną pomyślnie, to nic nie stoi na przeszkodzie, by pomówić rozważnie o drugiej... — rzekł major. Frécot podniosła się. Kwatermistrz pomógł nakryć stół obrusem i rozstawiał kieliszki. Madame pobiegła na górę, by obudzić Mefettah. Gdy wróciły, na tle stołu zobaczyły majora w grzecznym ukłonie. Tancerka zjawiła się w jaskrawym szlafroku, spod którego wysuwały się opalone nogi w sandałkach plecionych ze słomy. Uśmiechnęła się niepewnie do madame i usiadła w fotelu naprzeciw majora. Wytrącono ją z mocnego snu i nie od razu zrozumiała, czego chce łysy wojskowy.

— Ona jest bardzo poczciwa — powiedziała Frécot. — I dobra — dodała po chwili.

— Więc to prawda? — tancerka Mefettah zapytała po polsku.

— Prawda — odpowiedział major i skinął poważnie głową. Mefettah wyciągnęła rękę. Kwatermistrz uniósł się lekko i pocałował tłuste palce tancerki. Pani Frécot podniosła kieliszek, a major i Mefettah pośpieszyli za jej przykładem. Wypili duszkiem za pomyślność. Potem, w rodzinnej pogawędce ustalono przeróżne szczegóły, które pani Frécot uznała za istotne dla sprawy. — Nie sztuka zapchać stół półmiskami. Trzeba i dla kwiatów umieć wybrać miejsce wśród potraw i napojów.

Więc ślub odbędzie się w miasteczku na południu. Major wystąpi z wszystkimi medalami, lecz w ubraniu cywilnym. Tak będzie ładniej i godniej, i dla oka milej. Bo tylko dzikus chełpi się mundurem i straszy ludzi fasowanym suknem. — Tam na południu nie lubią tego — tłumaczyła madame. — Francuz nawet w wojsku obwiązuje szyję kolorową chustką. Wtedy czuje się człowiekiem.

Młoda para spędzi miesiąc na fermie starych Frécot, a madame powróci do Paryża i zajmie się odnowieniem lokalu za pieniądze nowego wspólnika i prawie zięcia, bo przecież Mefettah to dla niej jak córka.

Tak więc major nie czekając na rozkazy z Londynu zabezpieczył sobie przyszłość i domowe ognisko. Pijąc wino myślał o tym z zadowoleniem. Nic tak nie cieszy kwatermistrzowskiego serca jak dobrze ulokowany grosz.

— Czy chcesz zobaczyć mój pokój? Jest na górze — zapytała tancerka Mefettah. Major zgodził się chętnie.

Nie wszystkim popołudnie mijało tak pogodnie. W Misji na Quai d'Orsay panował gorączkowy ruch. Kapitan Banko palił papierosa za papierosem, chłodził się lemoniadą i niestrudzenie wydawał polecenia i rozkazy. W szufladach pojawiły się nowe pieczęcie i blankiety. Obok starej nazwy Misji dodano nowe, niepokojące słowa: „W likwidacji".

— To bardzo dobrze się stało — uspokajał Banko. — Mamy rozwiązane ręce w wielu drażliwych sprawach. Nie ponosimy odpowiedzialności za bieg wypadków. Likwidować się możemy parę lat. A przez ten czas na pewno sprawiedliwości stanie się zadość.

Do wieczora pracował w swoim gabinecie. Często wstawał od biurka i przemierzał pokój długimi krokami. — Za kilka, czy kilkanaście godzin rząd londyński przestanie być rządem legalnym. Cóż z tego wynika? Będzie mniej pieniędzy — rozmyślał kapitan — ale dla mnie na pewno nie zabraknie. — Przecież właśnie on dostarczał londyńskiej „dwójce" okruchów amerykańskich wiadomości. Bez trudu wpoił w zatęchłe głowy pułkowników przekonanie, że stoją na czele wywiadu, który wie wszystko i opasuje swą siecią cały świat. Dla centrali w Londynie Banko stał się niezbędny jak sprężyna w zegarku. Nawet mu świństw nie robiono, nie przez koleżeństwo, ale ze strachu przed Amerykanami.

Łączność z Mayerem nawiązał. Regensburg był bliżej Polski i łatwiej tam było o ludzi. Mayer zapewnił, że wysłał już odpowiedniego człowieka do Szulawki z instrukcją i pieniędzmi. Gdy zacznie pracować stacja nadawcza Szulawki, wtedy — Banko uśmiechnął się z zadowoleniem — najważniejsza nić łącząca Zachód z k r a j e m znajdzie się w ręku kapitana.

Nad Sekwaną wisiała mgła. Latarnie rzucały kręgi żółtawego światła. Banko zapalił papierosa i powrócił do biurka. W zamyśleniu patrzył na dużą fotografię żeni. Dobrze jej było w srebrnej ramce. Spojrzał na zegarek: powinna otrzymać już jego list z dokładnymi wskazówkami i pewną ilość k a m i e n i. Diamenty stanowiły uboczne źródło dochodu kapitana i pani żeni. Odbywały długą drogę i przechodziły przez wiele rąk. Z odległej Afryki Południowej płynęły na okrętach do Anglii. Z Londynu leciały na bojowych samolotach do strefy okupacyjnej w Niemczech, by stamtąd powrócić na zachód, do Brukseli. Pani Żenia zawoziła kamienie do Amsterdamu. Tam oszlifowane, zważone i ocenione czekały, aż znów pojawi się piękna przyjaciółka kapitana Banko. Do Paryża docierały tylko najpiękniejsze okazy, ale i one nie bawiły długo w szkatułce byłego komisarza. Po otrzymaniu odpowiedniej oprawy

rozpraszały się po świecie. Wędrowały na zachód i południe, ozdabiały biusty tłuste i płaskie, palce kochanek, żon i córek. Bowiem za oceanem podniosła się stopa życiowa. Po wojnie, jak ropuchy po letniej ulewie, pojawiły się gromady „królów" i „królików" otoczone rojem łapczywych na brylanty kobiet.

Mieszczuch zaczyna od sypialni z czeczotki i albumu z widokami Wenecji. Kupiec najpierw funduje żonie karakuły, a potem zawiesza na ścianach portrety przodków według tradycyjnej recepty: trzech biskupów na pięciu hetmanów. Natomiast fabrykanci

— antymagnetycznych bagnetów,
— czekoladek rozrywających troje dorosłych lub pięcioro dzieci,
— patriotycznych prezerwatyw z portretem generała albo męża stanu,

kupują swoim kobietom brylanty. Tych właśnie ludzi wzbogaciła wojna, więc Banko miał klientelę, i handel szmuglowanymi diamentami rozwijał się świetnie. Naturalnie, po zgonie londyńskiego rządu ustaną służbowe podróże... Ceny pójdą w górę. Kapitan w liście do żeni ostrzegał przed pochopną sprzedażą: „Jeden karat jutro będzie wart tyle, co dwa albo i trzy wczoraj..." List wysłał przez pewnego oficera, który od dawna pracował na diamentowym szlaku. Drugi, zawierający zaledwie kilka serdecznych słów, powiózł Gałandzki. — „Sprawdź co wart jest ten chłopiec. Robi wrażenie poczciwca, ale? Nie obarczaj go towarem, co najwyżej daj mu parę imitacji. Zobaczymy, jak się spisze, i czy nie jest zbyt ciekawy. Chłopków-roztropków nie potrzebujemy."

Kapitan spojrzał na plik gazet.

— Myślą, że utopią Mikołajczyka w kuble z pomyjami — mruknął. — Zawsze widzą czubek własnego nosa i nic poza tym. Wmawiali w Anglików, że Stalingrad będzie grobem komunizmu. I wyszli na durniów. Jeżeli Mikołajczyk tam pojechał, to znaczy, że komuś będzie służył. Komu? — Kapitan zastanowił się. — Oczywiście Amerykanom! Bo komu innemu? A skoro tak, to nie widzę powodu, by pana Mikołajczyka uważać za zdrajcę. Idziemy razem.

Przerzucił pisma francuskie i ziewnął.

— To samo w kółko. Czternasty lipca, Pétain, Laval i wymyślanie komunistów na Amerykanów. Wojna z Japonią staje się przeraźliwie nudna.

Kapitan wstał, uporządkował papiery i poszedł na dół. Zamienił kilka słów z dyżurnym żandarmem i wsiadł do samochodu. Właśnie dwoje

młodych ludzi zatrzymało się przed bramą. On w mundurze i berecie, ona w białej bluzce. Banko obejrzał się.

— Ech, to ta... — szukał w pamięci nazwiska dziewczyny. — Wszystko jedno. Przyjechała szukać Amerykanina i już pociesza się rodakiem. Takich nie obchodzi polityka. To dobrze.

Kapitan nie mylił się. Ani Tusia ani Masłowiec nie wiedzieli jeszcze o kłopotach londyńskich. Spędzili dzień w sposób, który dla kogoś trzeciego mógłby się wydawać dziwaczny, ale dla nich spacer wśród pomników cmentarza zawierał tyle samo uroku, co wycieczka do Lasku Bielańskiego. Czekając w pobliżu Bramy Północnej, Masłowiec zastanawiał się, czy Gałandzkiemu brak piątej klepki, czy wszystkich pięciu naraz. Czy w Paryżu nie było innego miejsca na spotkanie? Niewątpliwie było ich bardzo dużo. Gałandzki to idiota! Masłowiec usiadł na ławce i zapalił papierosa. Tusia szła wymijając bawiące się dzieci i wózki z niemowlętami. W ręku trzymała papierową torebkę.

— Przytyła... — pomyślał Masłowiec. Przywitali się. Tusia poprawiła włosy.

— Zjedz brzoskwinię. Kupiłam całe kilo. Bardzo dobre. — Rozchyliła papier i spoglądając spod opuszczonych powiek dodała — Weź od razu drugą. Zmarniałeś w tym Paryżu. Za duże miasto. Mówili, że cmentarz lepszy jak Powązki. Trzeba zobaczyć.

Dość długo krążyli wśród drzew, krzewów, brązów i marmurów. Odpoczywali na ławce patrząc na wierzbę nad grobem Musseta. Potem znów wracali aż do skweru Gambetty, by zaopatrzyć się w brzoskwinie i morele. Zwolna ze słów pozornie bezładnych, jak z rozsypanych klocków dziecinnych, układała się sprawa Tusi. Nie pojechali wtedy do Paryża. Jaskółka nie dostał urlopu, lecz został przeniesiony do Niemiec, do Heidelbergu. Nie, o tamten samochód nie było nieprzyjemności. Na pewno nie. Byłaby pamiętała.

— Czy widziałeś Heidelberg? O, musisz zobaczyć! Jak tam ładnie na wiosnę, gdy kwitną drzewa owocowe. Jak się jedzie samochodem, to wydaje się, że po obu stronach drogi leżą różowe góry. Tyle sadów na zboczach! I owoce przez to tanie. Za paczkę papierosów przyniesie Niemiec t a k i kosz czereśni. Kto to taki? — zatrzymała się. — Prawda, że ktoś znajomy? — Ręką z nadgryzioną brzoskwinią wskazywała popiersie z brązu.

— Balzak — odpowiedział niechętnie Masłowiec. — Pisarz.

— Było nam dobrze, aż się popsuło trochę. Tam był polski obóz, przy obozie komitet. Zaczęli gadać. Powiedziałam więc Grzesiowi, że jakoś

musi załatwić ze ślubem. Niech się stara o pozwolenie, bo mi wciąż ktoś z komitetu głowę suszy, że tak nie można, że wstyd. Jaskółka pojechał wreszcie na urlop. I od tego czasu ani listu, ani wiadomości. W lipcu miał być w Paryżu. Mieszkam w Misji. Pieniądze mam. Doktór Orlik tłumaczy mi, że Jaskółka na pewno nie wróci i dlatego nie pisze. A mnie się wydaje, że coś tu nie w porządku. Trochę poczekam, a potem wracam.

— Dokąd? — zapytał cicho Masłowiec.

— Do Heidelbergu. Widzisz, ja zbyt długo nie mogę czekać na Jaskółkę. To właśnie jest tak... Pewnie wrócę z doktorem Orlikiem. On ma otrzymać tutaj samochód dla swojej szkoły. Jak tylko skończy się konferencja oświatowa, Orlik jedzie do Niemiec. Zdaje się że nie będę czekać dłużej. Grzegorz miał być w Paryżu pierwszego lipca... W Misji ani jego nie widzieli, ani nawet listu. Pojadę do Niemiec samochodem. Wygodniej.

Masłowiec podniósł głowę. Tusia mała twarz posępną. Mówiła:

— Pewnie nic nie rozumiesz. Mówię ci! Jak ludzie umieją zatruć życie gadaniem! Szczególnie kobiecie. Dziury nie zrobią, a krew wypiją. Usiądźmy. Zmęczyłam się.

Milczeli dłuższą chwilę. Potem, zupełnie nieoczekiwanie, Tusia zaczęła mówić o Warszawie. Masłowiec słuchał z roztargnieniem, ale gdy słowa zaczęły układać się w obrazy, uległ podnieceniu, z którym do końca dnia nie potrafił się już uporać. Tusia opowiadała niezdarnie. Marszczyła brwi i wydawało się, że sięga do dna worka pełnego wspomnień. Wydobywała okruchy i na poczekaniu kleciła je w niezbyt wyraźną całość.

— Czy pamiętasz ulicę .....? Musisz pamiętać.

Mówiła, że był ranek i słońce dopiero rozpalało się nad Pragą. Po obu stronach jezdni leżały pogruchotane domy. Przed tym mieszkali w nich Żydzi, teraz było zupełnie cicho. Nagle zatrzymał ją szmer w ruinach. Kto siedział w gruzach? Zaciekawiona przeszła pod sklepieniem bramy. Na podwórzu, wokół zarytej w cegłach belki stało czworo dzieci. W jakim mogły być wieku — nie potrafiła określić. Chłopiec najstarszy przewyższał o głowę troje młodszych. Wolno i wyraźnie powtarzał słowa, które musiały być tak proste, by i najmłodsze dziecko mogło je zapamiętać:

Pod nasz płotek
Przyszedł kotek
Wypił mleczko,
Zjadł jajeczko...

— Uczył ich piosenki, żeby mogli zarabiać po podwórkach. Źle postawiła nogę i potrącona cegła obsunęła się z chrzęstem. Tusia widziała szeroko rozwarte oczy i usta znieruchomiałe ze strachu. Dzieci znikły. Ukryły się w ruinach jak szczury. Parę razy zawołała za nimi, ale nikt jej nie odpowiedział i ani jedna głowa nie pokazała się spoza gruzów. Więc położyła bochenek chleba na żelaznej belce i odeszła. Zostawiła chleb obok brudnych pudełek po zapałkach. Widać któreś z dzieci bawiło się nimi ustawiając jedno za drugim, jak wagony pociągu na szynach.

— To było życie... Żeby dziecko t a k uciekało przed człowiekiem!

Zmierzch zasnuwał cmentarz. Tusia obracała w palcach pestkę brzoskwini. Uśmiechnęła się do Masłowca.

— Wiesz, posadzę ją tutaj. Może wyrośnie. M a r c e l P r o u s t — Przeczytała i spojrzała pytająco.

— Też pisarz...

— Będzie pamiątka naszej rozmowy... — Wcisnęła pestkę w ziemię.

Wracali aleją pomiędzy ścianami cyprysów, które potęgowały cień wieczoru. Gdy wysiedli z metro i szli wzdłuż rzeki do budynku Misji, Masłowiec zapytał:

— Co będziesz robić?

— Nie wiem. Wiem tylko, że bardzo chciałabym się doczekać Grzegorza. To na pewno dobry człowiek. Coś musiało się stać. Codziennie wysyłam do niego list przez Misję. W Niemczech też będę czekać... Póki będę mogła.

Stali przed bramą. Z cichym szmerem odjechał samochód.

— Kapitan Banko — mruknął Masłowiec. Tusia kiwnęła głową i dodała — doktór Orlik nazywa go po cichu „królem czarnego rynku", ksiądz Sasanek „energicznym patriotą". Ksiądz jedzie z nami do Niemiec. Chodź do stołówki. Zjemy kolację razem.

— Nie. Pojedziemy na Pigalle.

— Elektryczne samochodziki?

— Właśnie! I lody! — Roześmieli się oboje i zawrócili ku stacji metro.

Kapitan Banko wracając sam do domu zawsze przypominał sobie „sprawę jaśminu". Niechlujne śledztwo nie rozwiązało oczywiście zagadki i Banko uległ opinii francuskich kolegów. Twierdzili oni, że na pewno ktoś złakomił się na kwiaty jaśminu chcąc cudzym kosztem ofiarować bukiet swojej dziewczynie. Posterunek policji zachowano, a kapitan sprowadził do pustej willi dwóch oficerów z Misji.

Ulica była pusta. Kapitan jechał szybko, a ponieważ paliły się tylko nieliczne latarnie, oświetlał jezdnię szosowymi reflektorami. Z daleka zobaczył mężczyznę machającego ręką. Przy chodniku leżał rower.

— Pijany — pomyślał kapitan. Zwolnił i ostrym skrętem wozu ominął natręta. Raptem posłyszał krzyk: — Panie komisarzu! — Odruchowo zatrzymał samochód. Opuścił boczną szybę i sięgnął po pistolet. Mężczyzna podbiegł do samochodu.

— Od razu poznałem wóz pana kapitana! Błagam o pompkę do roweru...

— A, a, to pan, panie inspektorze — Banko wsunął pistolet do kieszeni. — Co pan tu robi? Konferencja? — zapytał drwiąco. Jednocześnie starał się przypomnieć: komisarzu, czy kapitanie? Hm. Musiałem się przesłyszeć.

— Ech, nie. Mam tu jedną taką dziwę. Pan kapitan rozumie, człowiek nie mieszka stale w Paryżu, to korzysta, jak się da — zaśmiał się doktór Orlik. — Bardzo proszę o pompkę. Trzeba sobie pomagać na obczyźnie, che, che...

— Pan do niej, czy już od niej? — zapytał kapitan.

— D o niej... — Orlik westchnął i przyłożył rękę do serca. Obaj roześmieli się hałaśliwie. Kapitan wysiadł i podszedł do tyłu samochodu. — Może podwieść pana? Rower zostawi pan u mnie, a rano zabierze pan sobie?

— Nie warto. To dwa kroki. Bardzo dziękuję.

— Jak pan chce, panie Orlik. — Banko pochylił się nad schowkiem i szukał po omacku pompki. — Nie wiem, czy będzie dobra, musi pan wentyl czymś owinąć...

Orlik pochylił się obok kapitana.

— Zaraz poświecę. O, na pewno będzie dobra. To świetna pompka! I okręcimy też... Za tysiąc sześćset złotych, panie k o m i s a r z u...! Pan miał słuszność, myśmy się już spotykali przed wojną... — Doktór dyszał z wysiłku. Kapitan nie odpowiadał.

W kilka minut później samochód ruszył dalej. Zatrzymał się w bocznej i ciemnej uliczce. Orlik zatrzasnął drzwiczki, wyciągnął rower z tylnego siedzenia i chwilę przyglądał się postaci pochylonej nad kierownicą. Po czym odjechał.

Pani Żenia po otrzymaniu telefonicznej wiadomości o śmierci kapitana wpadła w odrętwienie, które po kilku dniach zamieniło się w paniczny lęk przed samotnością. Gałandzki nie powrócił więc do Paryża

i zamieszkał u Sobierajskiej. Kobieta znajdowała się w okropnym stanie. Dnie i noce spędzała na tapczanie otulona pledem. Zrywała się z krzykiem przy lada szmerze i chwytała Gałandzkiego za rękę. Był to jedyny jej krewny na emigracji, dziesiąta woda po kisielu, ale i to było coś warte w tych ciężkich czasach. Po odwiedzinach amerykańskiego pułkownika pani Żenia jakby okrzepła trochę. Gałandzki odetchnął z ulgą: bał się histerycznych krzyków. Tkwiło w nim wspomnienie niańki, która wmuszając kaszkę, mówiła: „Jedz, bo cię do wariatów oddam na przechowanie!"

Pułkownik wypytywał przyjaciółkę kapitana, starając się odnaleźć właściwy dla dochodzeń kierunek. „Jaśmin", to było pierwsze ogniwo. Samochód z trupem przy kierownicy — drugie i ostatnie. Trzeba było k i m ś wypełnić lukę. Amerykanin usilnie prosił o nazwiska. Choć jedno! Nieraz drobiazg skieruje śledztwo na prawdziwy trop. A gdy uchwyci się nitkę — kłębek odnajdzie się już łatwo. Żenia wzruszała ramionami. Czuła się zupełnie bezradna: Kto? — Doprawdy nie umiała powiedzieć. Więc Amerykanin zapisał nazwisko „Tański", poradził pić Coca-Cola na wzmocnienie nerwów i pojechał na lotnisko.

— Och, Pold... — powiedziała Sobierajska ściskając spoconą dłoń Gałandzkiego. — Cóż to za brudna rzecz polityka! Święty człowiek utonie w tym bagnie! Wydaje się, że widzę mnóstwo rąk siegających mi do gardła! Zrywam z polityką! Nie ruszę jej palcem!

Gałandzki przełknął ślinę i obejrzał się niespokojnie. Nie miał zamiaru dać się udusić jedwabnym szalem. Sobierajska snuła plany na przyszłość. Zostaną oboje w Brukseli. To miasto milsze od rozhukanego Paryża, gdzie zawsze łatwo o nieszczęście lub o rewolucję. A tu może powróci wkrótce król, spokój, dostatek jak przed wojną. Przy cichej ulicy otworzą maleńką herbaciarnię dla rodaków tułających się poza krajem, postawią w niej pianino, będą słuchali Szopena i wspominali Polskę. A może — Sobierajska uśmiechnęła się po raz pierwszy — znajdzie się ktoś, jakiś poeta, który w naszej kawiarence napisze nowego „Pana Tadeusza"?

Skończyło się oczywiście na gadaniu. Żenia kupiła tuzin nocnych koszul przybranych czarną koronką, kazała zapakować walizki i razem z Gałandzkim wyjechała nad morze.

O powrocie do Londynu nie było nawet mowy. Żenia nie chciała grać roli żałobnej konkubiny na narodowej stypie. Zresztą zbyt dobrze znała środowisko, dla którego była „polską strzechą", by mogła się spodziewać życzliwego przyjęcia.

— Patrzcie! Ta Sobierajska znowu tu!

— Kto taki?

— No, przyjaciółka ex policjanta Banko. Pamiętacie, jak wysoko darł nosa? Był agentem amerykańskim, czy czymś w tym rodzaju. Z naszym ruchem związał się dla kariery. Zatłukli go apasze w Paryżu. Pewnie o kobietę. Jak się ta Sobierajska postarzała!

Tylko takich powitań mogła oczekiwać. Zaciskała więc palce w bezsilnej złości i patrząc na Gałandzkiego, zastanawiała się, czy dobrze mu będzie w piżamie w paski.

Przecież jeszcze przed końcem wojny w hotelu będącym siedzibą „londyńskich" władz roiło się od ludzi zwanych „lekarzami". Dreptali z piętra na piętro, zaglądali do gabinetów i wszystkich pytali o zdrowie. — Bo jeśli pan minister nie czuje się już na siłach, to ja, powiedzmy, bardzo chętnie zastąpię. — Więc ministrowie wychodząc do ubikacji zabierali ze sobą fotele, żeby ktoś nie skorzystał ze sposobności i nie zajął im miejsca. Na niższych szczeblach toczyła się walka jeszcze bardziej zażarta.

— Cóż tam się wyprawia teraz! — myślała złośliwie Żenia. — Na pewno piszą noty. Do „Wielkiej Trójki" w Poczdamie, do Watykanu i do siebie samych.

— Pold, bądź taki dobry i zamknij okno. Zeszpecili Belgię. Wszędzie fabryki, kopalnie i dymy. Czujesz? Nie ma to jak u nas! Szmaragdowa łąka, chatki kryte słomą, malwy przed oknami, ani dymów fabrycznych, ani samochodów. A jeśli nawet zdarzy się fabryka, to w niej „górskie powietrze". Pamiętasz wynalazek pana prezydenta?

— Pold! — powtórzyła głośniej. Gałandzki spał z otwartymi ustami. Sobierajska uśmiechnęła się wyrozumiale i już nie budząc zdrożonego kuzyna, sama zamknęła okno. Z najbliższej stacji wysłała depeszę do Paryża. Prosiła Amerykanina o wiadomości i podawała swój adres letni.

Pułkownik postawił na nogi całą policję francuską i wywiad. Brutalne wymyślania nie posunęły sprawy o krok, więc kazał aresztować Tańskiego. Żandarmi pojechali do lokalu Czerwonego Krzyża, który przekazano już rządowi polskiemu. Tam pracował Tański. Pułkownik z niechęcią posługiwał się informacjami francuskimi. Pogardzał Francuzami i nie znosił Włochów. Uważał ich za niepotrzebne dodatki do przystojnych kobiet, o które nie było trudno ani w Paryżu, ani w Rzymie.

— Więc panie Tański — rozpoczął rozmowę przyglądając się uważnie siedzącemu naprzeciw mężczyźnie. — Niech pan mi powie szczerze, dlaczego pan sprzątnął tego nicponia Banko?

— Mogę panu powiedzieć tyle tylko, ile mówią o tym w Paryżu — Tański uśmiechnął się i pułkownik odpowiedział uśmiechem.

— Bardzo proszę. To może być ciekawe. Przyznam się panu: nie mam za grosz zaufania do Francuzów. Oni twierdzą, że pan przyjechał na rowerze i posłużył się jedwabnym szalem. To może zająć umysł przeciętnego policjanta, mnie zaś ciekawi jedno: dlaczego?

— Mówią, że kapitanowi pośliznęła się noga w jakiejś robocie dla was i dlatego zlikwidowaliście go sami.

Pułkownik poczerwieniał. Sięgnął do skrzynki stojącej przy biurku i wyciągnął butelkę.

— Napije się pan Coca? — Pułkownik przytknął buteleczkę do ust i pił nie odrywając oczu od Tańskiego. — Nie wiecie w Europie co dobre. To na pewno zdrowsze i lepsze od papierosów. Więc pan nie przyjechał rowerem? Zdążył pan wrócić kolejką podziemną? Szal na pewno pan spalił. Zaczynam pana rozumieć. Wy Polacy nienawidzicie się jak pokłócone psy. Ci z Londynu chcieliby wystrzelać tych z Moskwy, a ci z Warszawy ostrzą zęby na rodaków z Zachodu. Niedobrze, Panie Tański. Tak nie można, mordujcie się w Polsce, jak i ile chcecie, ale tu, pod moim bokiem, nie wolno! Zrozumiałeś? Nie wolno! Dlaczego zadusiłeś kapitana Banko?

— Nie mam nic wspólnego z morderstwem. Ma pan w aktach meldunek policji francuskiej. Tam znajdzie pan dowody, że nie mogłem zamordować komisarza. Francuzi już mnie przesłuchiwali w tej sprawie. Banko uratował się od stryczka, który go czekał w kraju za przedwojenne sprawki. To wszystko.

Pułkownik zerwał się z fotela.

— Powiesz?!

— Panie pułkowniku! Dłużej byłem na froncie niż pan. Nie przestraszę się krzyku. Doprawdy. Niech pan zadzwoni do ambasady radzieckiej. Potwierdzą moje słowa i będzie musiał pan uwierzyć. Powiedziałem Francuzom prawdę.

Amerykanin usiadł. Czuł, że zagalopował się niepotrzebnie i nie bardzo umiał znaleźć wyjście z sytuacji. Więc sięgnął znów po Coca-Colę. Odstawił pustą butelkę i powiedział spokojnie.

— Ale pana nie ma na liście pracowników Czerwonego Krzyża. Dlaczego?

— Ponieważ nie przyjechałem z Polski. Zostałem przyjęty do pracy w Paryżu. Oto zaświadczenie, proszę...

— Ech, co to mnie wszystko obchodzi! Niech się martwią Francuzi. Będziemy musieli jeszcze porozmawiać.

Wstęp dobiegł do końca. W drzwiach stanął żandarm. Tański pochylił się do pułkownika i zapytał mrużąc oko:

— Pułkowniku, macie tu kogoś z Ku-Klux-Klanu?

Amerykanin otworzył szeroko oczy.

— Co znowu?

— No, bo ten szal jedwabny wskazywałby raczej na fachowca...

Pułkownik został sam. Patrzył w zadumie na rozłożony papier. Nic nie przemawiało przeciw Tańskiemu. Amerykanin obiecał żeni pomścić kapitana. Oczywiście były to słowa nie więcej warte od angielskiego przyrzeczenia zbrojnej pomocy. Ale Banko pracował dla Amerykanów i o tym pułkownik musiał pamiętać. Każdy bowiem człowiek znający „Wschód" był cenny. Poza tym — nie wolno dusić amerykańskiego agenta w amerykańskim Paryżu! Pułkownik oceniał Paryż i Francję według ilości Amerykanów.

— Trzeba pocisnąć Tańskiego — postanowił. — Niech posiedzi. Czas dobrze robi ludziom zbyt pewnym siebie.

Tego dnia policja francuska zabrała z fabryki Okleja i Malinowskiego. „Naturalizowanych" obywateli można było cisnąć... Lecz następnego dnia po aresztowaniu stanęła montownia, w której pracowali obydwaj Polacy. Wezwano policję. Oddziały przybyły w hełmach i z bronią maszynową. Robotnicy witali policję okrzykami: — Kto was wyćwiczył? Hitler? — Do wieczora strajk rozciągnął się na wszystkie oddziały fabryki.

Gazety przynosiły wiadomości z Poczdamu, gdzie „Wielka Trójka" radziła nad nową Europą i przewlekającą się wojną z Japonią. Rząd wzywał ochotników do korpusu ekspedycyjnego w Indochinach. W biurach werbunkowych pojawiali się pojedynczo Polacy z koszar, ale ich kierowano do Legii Cudzoziemskiej. Więc wychodzili w pośpiechu. Na murach rozklejano plakaty: „Śmierć Pétainowi!" Z Cherbourga nadchodziły wiadomości o demonstracjach robotników portowych. Podobno powitali pancernik amerykański napisami: „Cherbourg nie jest do sprzedania!" Przydziały żywności wciąż były małe, choć pisma zapowiadały dostawy z Ameryki. Kobiety stojące w ogonkach powtarzały urągliwe pytanie:

— Dla kogo wygraliśmy wojnę? Przecież nie dla n i c h!

Z każdym dniem rosła pogarda dla Amerykanów. Stawała się prawie tak silna i niebezpieczna, jak i nienawiść do hitlerowców. Nad Francją zaczynała się gromadzić burza. Pierwsze podmuchy nadleciały od fabryk, kopalń i portów. Komuniści, nazywający się „Partią Rozstrzelanych", zbierali siły, rośli w siły, wybory były blisko. Wojna otworzyła szeroko drzwi na świat. Ludzie sycili się pokojem i wolnością, lecz jednocześnie sięgali wzrokiem poza granice swego podwórka. Stali się czujni. Nie chcieli, by znowu postawiono im nogę na gardle. Pytano: „Czy Hitler żyje, czy też naprawdę popełnił samobójstwo?" Wieże strażnicze panujące nad drutami obozów, dymy palonych ciał, transporty i wycie syren tkwiły wciąż w ludziach jak wspomnienie złego dzieciństwa. Nie chcieli więc, by Hitler odrodził się w innej postaci lub pod innym godłem.

Ścierano ze ścian domów białe strzały wskazujące okna piwnic-schronów. Zrzucano koszmar wojny jak brudną, przegniłą bieliznę. Lekcja udzielona światu przez faszyzm i wojnę była tak silna, że nawet dziecinne armatki i ołowiani żołnierze budziły wstręt i wściekłość. Więc „rząd londyński" wezwany do opuszczenia boiska wołał głośno o sprawiedliwość nie odważając się krzyknąć: „Jeszcze raz wojna!" W misji na Quai d'Orsay mówiono: — Europa przechodzi gorączkę powojenną i stąd c z e r w o n a wysypka. To minie wkrótce. — „Wkrótce" miało taki sam posmak, jak „wieczysta przyjaźń po wsze czasy", ale ponieważ pochodziła od Anglika, więc chętnie dawano wiarę. Barton przyleciał do Paryża któregoś dnia po pogrzebie Banko. W ciągu godziny zjednał serca i uspokoił umysły. Anglik wyjaśnił: — Cofnięcie uznania dla rządu w Londynie nie jest niczym innym jak tylko posunięciem dyplomatycznym. Nic się nie zmieni. Polacy mogą być spokojni. Anglia nie zapomni. Najlepszy dowód, że do dnia dzisiejszego żyje w Londynie kilkunastu „białych Rosjan" i nawet pobierają zasiłki z królewskiego skarbu. Nadto, w tymże Londynie zawiązał się komitet budowy pomnika ku czci poległych lotników polskich w „Bitwie o Brytanię". Myśl o nowej wojnie major Barton ocenił jako nieco przedwczesną. Wyraził zdanie, że pieniądze i roztropne postępowanie z przeciwnikiem przynoszą lepsze plony niż otwarta walka. Anglik dodał także, że wkrótce jedzie osobiście do Polski i chętnie przekaże pozdrowienia rodzinom i znajomym. Po czym pożegnał oszołomionych „dwójkarzy" i pojechał do amerykańskiego pułkownika na właściwą rozmowę o sprawach polskich.

Mądrość polityczna Bartona zamykała się w kręgu doświadczeń kolonialnych. I to nie najmłodszych. Jeżeli tubylcy czcili krokodyla i karali śmiercią każdego, kto znieważył „święte stworzenie", Anglicy otaczali natychmiast krokodyle opieką i dbali, by były tłuste. I grubość krokodylego sadła stała się miarą dobrobytu krajowców. Czas mijał, Anglicy wciąż troszczyli się tylko o krokodyle. Aż raptem stali się niepotrzebni i Anglicy, i krokodyle. Wtedy z uporem sklerotyka zabrali się do obrony własnych interesów głosząc, że bronią świętej wiary krajowców. Krajowcy zaś woleli już w tym czasie robić z krokodylej skóry walizki, niż swoją skórę składać w ofierze świętemu stworzeniu. Zjednali sobie Anglicy natomiast sforę kacyków i króli przeróżnego kalibru i pochodzenia. Jednych tuczyli pieniędzmi, drugich truli cichaczem, innych topili w morzu, każdemu coś obiecywali z cudzej oczywiście kieszeni. Zawsze bronili resztek s t a r e g o i zwalczali n o w e.

I dlatego Barton wierzył, że gorączka powojenna opadnie wkrótce i wszystko znów będzie po staremu. Tymczasem narastała świadomość, że jeśli nie ma wolności na Madagaskarze, to i nie będzie jej w Paryżu. Że barwna defilada Czternastego Lipca nie pieczętuje zwycięstwa, skoro za Pirenejami wciąż toczy się walka o wolność. Wojna na Dalekim Wschodzie jeszcze trwała, ale w Europie nie wyły już syreny i nie latały V-2. W paryskich bistro radzono zawzięcie i nikt nie miał złudzeń, że powojenne zmiany ograniczą się do przesunięcia granic. Z otwartych okien padało światło na ulicę, nie skrzeczały głośniki ograniczające „godzinę policyjną". — Wojna odeszła nareszcie.

Oklej i Malinowski zostali po kilku dniach zwolnieni razem z innymi. O śmierci Banko mało kto pamiętał. Tański wciąż przebywał w więzieniu. W końcu zawiadomiono Czerwony Krzyż, że został wysiedlony do strefy okupacyjnej w Niemczech.

Masłowiec opuścił Paryż pod koniec lipca. Podróż na południe odbył w towarzystwie kwatermistrza z koszar. Orientalna tancerka Mefettah i Madame Frécot wyjechały nieco wcześniej, by poczynić przygotowania do ślubu. Jak wiadomo, kobieca ręka w podobnych sprawach nie da się niczym innym zastąpić. Major był w doskonałym humorze i bawił Masłowca pogodną pogawędką.

— W głowie się człowiekowi nie mieści! Niech kolega pomyśli sam: taki Tański. Oficer, odznaczony, przy tym człowiek wysoce inteligentny, bo brat adwokata, jak mówią. Co się wyrabia na tym świecie, jej-jej. I żeby dusić człowieka na stanowisku kawałkiem szmaty! Rozumiem — zastrzelić.

Masłowiec milczał. W przedziale było duszno. Przy każdym poruszeniu pył wydobywał się z kolorowych obić i wirował w smudze słonecznego światła. Major westchnął.

— Zresztą, kto ich tam wie. Tym „londyńczykom" strach odbiera rozum. Widział kolega, co się w Misji działo? Przepustki, żandarmi, byle chłystek zaczepia człowieka i pyta „do kogo, po co, na co?". Niedługo buty trzeba będzie oddawać żandarmowi, żeby do środka wpuścił. Za przeproszeniem, w ustępie nie można spokojnie posiedzieć, bo co człowiek głowę podniesie, to widzi: „Pst! Tajemnica wojskowa!" I rób co chcesz! Żartów nie ma, pieczęć na tablicy jak byk! Ja pana nie chcę zrażać. Pan do wojska, a ja już z wojska. Serce, proszę kolegi, serce...

Masłowiec nie podejmował rozmowy, bo o wojsku nawet nie myślał. Jechał na południe. W Marsylii chciał połączyć się z „dziewczyną z Ugandy". W Paryżu nie było nic do roboty. Tusia znikła razem z Orlikiem, Gałandzki nie odzywał się słowem, transporty do Polski mogły ruszyć najwcześniej jesienią.

— Zaraz będziemy na miejscu — powiedział major i naciągnął bluzę. — Namioty już widać. Niech kolega będzie spokojny. Rozkaz wyjazdu do Marsylii załatwię raz-dwa w komendzie. Mam tu znajomych z dawnych czasów. Kolega zdaje się też, prawda? Czy nie Mazurkiewicz niejaki?

Pociąg wtoczył się na peron. Major krzyknął:

— Są, są, moje panie!

Orientalna tancerka Mefettah machała ogromnym słomkowym kapeluszem. Mądame Frécot kiwała przyjaźnie parasolką i ściskała smycz, na której miotał się czarny ratlerek z czerwoną kokardą.

Stanisław Zieliński

JAN ROJEWSKI

ZAŁOGA

Scenariusz filmowy *)

II

Sala ćwiczeń. Uczniowie siedzą za stołami. Przed każdym — wielka mapa i kartka z zadaniem. Obliczają i wykreślają na mapach zadane kursy. Po sali kręci się Kapera.

Antek korzysta z tego, że Kapera jest na drugim końcu sali i podsuwa swoją mapę oraz karteczkę z zadaniem siedzącemu obok Józkowi. Sam udaje, że coś kreśli na innej mapie. Wszyscy uczniowie zajęci są pracą, ale Franek Kruk zauważył ten manewr Antka. Spojrzenia Franka i Józka krzyżują się. Józek zastanawia się chwilę i pisze na karteczce z zadaniem: „Oblicz sam". Przesuwa całość w stronę Antka. Antek odczytuje napis, potem wlepia spojrzenie w Józka, ale Józek namiętnie rachuje, udając, że nic nie widzi. Kapera wraca tymczasem. Antek kreśli na mapie. Kapera zatrzymuje się przy stole Tadeusza Mielczarka. Przygląda się jego pracy:

— Rozrzucasz cyfry jak gnój po polu...

— Ja zaraz... obywatelu wykładowco.

Kapera patrząc na zegarek:

— Dwadzieścia minut obliczasz...

Franek podnosi głowę znad swojej mapy:

— Tadeusz liczy powoli, ale dobrze... — broni swojego podopiecznego — Nabierze wprawy...

— Rób swoje.... — Kapera przechadza się po sali. — Całymi dniami włóczą się po zebraniach, nic dziwnego, że nic nie umieją... Cofnąłbym to wszystko do gimnazjum albo do szkoły powszechnej... — Znowu przystaje nad Tadeuszem. — To nie jest pole, tylko morze, rozumiesz? Gdzie masz prąd? Twój statek płynie pod prąd!

---

*) Część I scenariusza opublikowana była w poprzednim (7) numerze „Twórczości".

— Nie zauważyłem... — Tadeusz skrobie się zakłopotany po głowie.

— A ty? — Kapera sięga po mapę Brzozowskiego, siedzącego obok. — Co ty wyrabiasz? Kto cię tak uczył?

Brzozowski zwraca się machinalnie w stronę Antka.

— Antek? — dziwi się Kapera — Antek cię dobrze uczył, ale ciebie sam Pan Bóg nie nauczy! — w stronę Antka — Antek, pokaż swoją mapę... U ciebie to idzie i prędko, i dobrze...

— W tej chwili... panie kapitanie.

Antek kończy kreślić, po czym podnosi mapę, składa ją brzegami i podchodzi do Kapery. Nie kładzie jej na stole, tylko podaje wysoko, by nikt poza Kaperą nie widział. Kapera rozkłada mapę i trzyma ją w rękach tuż przy twarzy. Na mapie jest napis ołówkiem: „Potem wyjaśnię wszystko". Kapera spogląda na Antka, potem znowu na mapę. Józek i Antek czekają na słowa Kapery. Ze szczególnym zainteresowaniem obserwuje tę scenę Franek.

— Bardzo dobrze! — pada nareszcie z ust Kapery — Bardzo dobrze, Antek... — Odkłada pracę Antka na swoje biurko.

— No, widzisz — cieszy się Józek, kiedy Antek siada znów obok niego. — Wiedziałem, że umiesz, tylko ci się nie chce... — Uśmiecha się zadowolony w stronę Franka, który odpowiada mu głębokim ukłonem z pozycji siedzącej, co ma oznaczać: „Przepraszam, pomyliłem się."

Antek w gabinecie Kapery. Kapera trzyma w ręku mapę Antka. Jest wzburzony. Przemierza pokój.

— Tak liczyłem na ciebie... Byłeś moją dumą... Jak mogłeś mnie oszukiwać... Jak ja teraz wyglądam w oczach wszystkich? W oczach Michalskiego? On będzie triumfował...

— Nie zdawałem sobie sprawy... Ja sam nie wiedziałem, że... nie umiem... Kiedy Józek obliczał... zdawało mi się, że to takie proste... że potrafię...

— Jak ty zdasz egzamin? — przystaje przed Antkiem — Jak ty zdasz egzamin? — powtarza — Czy pomyślałeś o tym?

Antek wzrusza ramionami:

— Poduczę się...

— Kiedy? Masz trzy dni czasu... Ty musisz zdać, Antek, właśnie ty! To jest sprawa mojego honoru!

— Powinienem... Ojciec...

— Twój ojciec nic nie wie... Nie darowałby nam tego nigdy.

Siada do biurka i otwiera szufladę, skąd wyjmuje parę zapisanych arkuszy papieru. Przegląda je i wynotowuje na karteczce kilka zdań.

— Słuchaj Antek... — głos Kapery brzmi konspiracyjnie — Tu są twoje pytania z nawigacji... Wykuj, masz trzy dni czasu...

Korytarz przed salą egzaminacyjną. Wzdłuż korytarza chodzą uczniowie, zaglądając do notatek i podręczników. Tadeusz Mielczarek sprawdza listę kolejności na drzwiach. U góry listy notatka: — „Egzamin z geografii". Drzwi otwierają się. Wychodzi Antek.

— Jak? — pytają go koledzy.

Antek otwiera dłoń:

— Piątka. Teraz ty — zwraca się do Pawła Konarka.

Paweł wchodzi, nie przestając zaglądać do notatek. Tadeusz krzywi się i pociera czoło:

— Nie mogę zapamiętać tego drania co to Afrykę... — zatacza palcem koło. — Nazwisko jakieś muzykalne... Ni to oktawa...

— Gama, żłobie! — śmieje się Antek — Vasco de Gama! Dawno przed szkołą wiedziałem.

— Ja, proszę pana Antoniego, przed szkołą krowy pasałem!

Rozlegają się śmiechy.

— Wiemy, wiemy... Ty więcej przeszedłeś kilometrów za pługiem niż my z zeszytami do szkoły.

Ogólny gwar zagłusza drugą połowę ulubionego zwrotu Tadeusza Mielczarka.

Kartka na drzwiach sali egzaminacyjnej z napisem: „Egzamin z geografii" zamienia się na kartkę z napisem: „Egzamin z nawigacji i astronomii nawigacyjnej".

Pojawia się Józek Wietecha.

— Zdałem na trójkę — oznajmia. — Ćwiczenia miałem skopane...

— Grunt, że zdałeś! Poduczysz się na rejsie. Jak Antek?

— Pierwsza lokata murowana.

Spojrzenia chłopców zbiegają się na drzwiach.

Sala egzaminacyjna. Kilku wykładowców z Michalskim i Kaperą. Dyrektor. Antek odpowiada. Słuchają go z aprobatą. Michalski przegląda zadania Antka:

— Trudne dostałeś pytania...

Kapera zadaje jeszcze jedno pytanie. Antek gładko odpowiada.

— Wystarczy — wtrąca Michalski. — Gratuluję — podaje rękę Antkowi. — Panu również należą się gratulacje... — ostatnie słowa skierowuje Michalski do Kapery. — Postaramy się, by Antoni Bugaj był wzorem nie tylko w nauce.

— Nie wątpię... nie wątpię, kapitanie — Kapera mruczy pod nosem. Komplementy i gratulacje zbijają go z tropu.

— Wzorowa praca — chwali Dyrektor, przeglądając ćwiczenia Antka. — Trzeba wywiesić w świetlicy. Najlepsze prace, proszę panów...

Antoni wychodzi. Obecni spoglądają teraz na tablicę, przy której Brzozowski jeszcze oblicza. Nie idzie mu, pisze, kreśli, ściera gąbką, a czując na sobie spojrzenia profesorów, gubi się jeszcze bardziej. Opuszcza głowę. Nie umie. Dyrektor spogląda na Kaperę i Michalskiego. Michalski podnosi się:

— Nie dobrze, Brzozowski... Musisz jeszcze posiedzieć nad nawigacją.

— Podczas rejsu — jąka Brzozowski — poduczę się.

— Trochę za późno...

— Obywatelu wykładowco, ja uczyłem się!

— Daliśmy mu Antka do pomocy... Zrobiliśmy wszystko — Kapera jakby się usprawiedliwiał.

— Tak — potwierdza Michalski. — Ale widocznie... za mało z nim pracował. — Po chwili milczenia, do Brzozowskiego. — Za pół roku jest następny termin. Poduczysz się i zdasz.

— To niemożliwe. Ja muszę jechać ze wszystkimi!

Michalski rozkłada ręce:

— Za pół roku zdasz. Obiecaj, że zdasz! — wyciąga do niego rękę. — To jest nasza wspólna sprawa. Musisz zdać!

Brzozowski wycofuje się za drzwi i zamyka je za sobą.

— Szkoda chłopca... — Kapera kręci głową. — Można go było ostatecznie puścić... Nie umie, to prawda, ale jest koleżeński — zwraca się do Michalskiego, którego twarz wyraża zdziwienie — uspołeczniony, jak pan to nazywa — ciągnie Kapera. — Trzeba to przecież uwzględnić...

Michalski nie może powstrzymać uśmiechu:

— Jak dotąd — zwraca się do wszystkich — kapitan Kapera raczej nie doceniał pracy społecznej uczniów i nagle, proszę mi wybaczyć, ale przesadził pan... Praca społeczna nie upoważnia do żadnych względów jeśli idzie o naukę. Pan to zawsze mówił i nigdy nie oponowałem.

Profesorowie zbierają się do wyjścia. Kapera wychodzi pierwszy. Wzrusza ramionami i zamykając za sobą drzwi rzuca rozdrażnionym tonem:

— Bardzo bym chciał zrozumieć, ale doprawdy nie wiem, czego właściwie chcecie...

Idzie korytarzem, mijając uczniów. Kłaniają mu się oficjalnie, sztywno. Kapera nie zwraca na nich uwagi. Dopiero na końcu korytarza zwalnia kroku. Stoi tu Brzozowski, otoczony przez kolegów. Współczują mu. Na widok Kapery rozmowy się urywają. Kapera przystaje, wyjmuje fajkę z ust, chciałby zwrócić się w jakiś sposób do Brzozowskiego, ale Brzozowski odwraca się na pięcie i odchodzi. Za nim wycofują się koledzy. Pozostał tylko Antoni. Uśmiecha się niewyraźnie:

— Nic takiego... nie stało się przecież. Za pół roku zda.

— Nie gadaj!

Kapera zaciska pięść. Słychać cichy trzask. W otwartej dłoni Kapery leży fajka, dar Antoniego, z pękniętym ustnikiem. Obie części złamanej fajeczki wylatują przez okno...

Port w dniu Święta Morza. Uroczyście udekorowane miasto zdaje się płynąć pod żaglem z purpury. Tłumy zalegają ulice, wpełzają na gzymsy kamienic, oplatają kolumny ogrodzeń jak dzikie wino.

Na odgłos muzyki i wzmagających się okrzyków kobieta siedząca na skwerku na ławeczce pośpiesznie pakuje resztki śniadania w węzełek, zawiązuje chustkę pod brodą poruszającą się jeszcze przy ostatnich kęsach i biegnie prędko w stronę, skąd nadchodzi pochód.

W ciżbie ludzkiej na chodniku przeciska się nasza kobieta ze skwerku. Potrąca wszystkich dookoła, prąc niezmordowanie naprzód. Ludzie ustępują jej z drogi. Tylko chudy obywatel z gazetą w ręku nie pozwala się wyprzedzić.

— Czego się paniusia pcha?

— Ja nie żadna paniusia! Mój syn tam maszeruje! W pierwszym szeregu!

— I mój tam idzie!

— No, to razem! Razem, kochany panie...

— Kolega z moim Józkiem... Wietecha jestem, tutejszy stoczniowiec.

— Mój Tadeusz. Mielczarkowa się nazywam. Przejechałam czterysta kilometrów...

Przeciskają się teraz wspólnymi siłami do krawężnika.

Ulicą jadą makiety statków, udekorowane kwiatami, wypełnione po brzegi rozśpiewaną młodzieżą w mundurach zetempowskich, w ubraniach cywilnych i w strojach regionalnych. Maszerują marynarze bia-

łymi i granatowymi kolumnami. Piechota morska, orkiestry, potem Szkoły Morskie.

Mielczarkowa i stary Wietecha gwałtownie machają rękami. Środkiem jezdni idą właśnie nasi chłopcy z bosmanem na czele. Maszerują sprężyście szerokimi rzędami. Odpowiadają okrzykami i szelmowskim mruganiem.

— No, tom przynajmniej nie przyjechała po próżnicy... — wzdycha Mielczarkowa.

Obok Wietechy stoi krępy mężczyzna w górniczym uniformie. Wymachuje swoją czapką z pióropuszem za oddalającymi się chłopcami.

— A pan komu? — mruczy urażony trochę Wietecha.

— Mój Franek tam maszeruje! Franek Kruk!

W pomieszczeniach uczniowskich w Szkole Morskiej niecodzienny ruch. Wszyscy pakują się. Antek wygląda oknem. Niedaleko, u pobliskiego nabrzeża stoi „Warszawa". Widać maszty i reje ogołocone z żagli. Od statku w stronę szkoły płyną dwie motorówki. Pierwsza dobija już do brzegu. Wysiada bosman w towarzystwie dwóch marynarzy. Przyjmują bagaże od uczniów.

— Zabierają już rzeczy! Pośpiesz się, Józek! — Antek odwraca się do Józka, który ściąga właśnie zębami szpagat na sporym tłomoku.

— Mógłbyś pomóc zamiast poganiać! Połowę rzeczy zostawisz! Szuflady pełne!

— Panie bosmanie! — woła Antek przez okno. — Przejadę się raz.

— Ale już — godzi się bosman z dołu. — Bo odbijamy!

— Tu masz klucze! — Antek rzuca Józkowi dwa klucze na sznurku. — Wszystko wrzuć do walizki, na statku uporządkuję!

Nie czekając na odpowiedź Józka, Antek wybiega. Józek przyciska właśnie kolanem pękatą walizę. Dopchnął i założył zamki. Teraz wstaje, ściera pot z czoła i podchodzi do okna. Antek wskakuje już do łodzi, rozlega się warkot motoru i piana wykwita u śruby.

— Uwijaj się, Józek, bo nie zdążymy. — Warkot motoru zagłusza słowa oddalającego się Antka.

— Plantator, psiakrew... Znalazł Murzyna... — Wściekłym ruchem Józek otwiera szufladę pozostawionym przez Antka kluczem. Zgarnia wszystkie papiery razem z rozmaitymi drobiazgami i ciska to na dno pustej walizki. Jakiś świstek pofrunął na podłogę. Dłoń sięga po kartkę. Nie od razu wrzuca ją do walizki. Na twarzy Józka pojawia się wyraz zainteresowania.

Na tle granatowej nocy — rzęsiście iluminowana „Warszawa". Masz-

ty, reje i olinowanie żarzą się jak neonowe pręty. Ze świstem wylatują w górę rakiety i rozkwitają na czarnym niebie jak lilie. Ognisty deszcz opada na morze i z sykiem gaśnie.

Odbywa się zabawa marynarska. Trapem wiodącym na statek wchodzą jeszcze spóźnione pary. Marynarze kroczą dumnie obok swoich dziewcząt. Dyżurni przesadnie salutują każdą parę, rzucając dowcipy i taksując ze znawstwem urodę partnerek.

Tańce marynarskie i popisy uczniów na pokładzie. Z boku przyglądają się tańcom oficerowie, wykładowcy z Michalskim oraz liczni goście z Krukiem, Mielczarkową i Wietechą.

Ziemba, chcąc zaimponować swojej partnerce, podciągnął nieznacznym ruchem rękaw bluzy. Teraz tańczy dalej trzymając ramię w ten sposób, by dziewczyna mogła zobaczyć kotwicę wytatuowaną powyżej przegubu dłoni.

— Kotwica! — zachwyca się partnerka. — Czy to boli?

— Głupstwo, przetrzymało się już gorsze rzeczy na morzu... Cały jestem wytatuowany... Jak nasz bosman.

— Zaraz się przekonamy... — rozległ się nagle głęboki bas bosmana. Wyjął chustkę z kieszeni, naślinił i ściera teraz kotwicę z ramienia osłupiałego Ziemby. Kotwica, wypunktowana ołówkiem, zamazuje się i znika...

— Sfałszowana kotwica! — bosman podnosi palec, po czym zaprasza panienkę do tańca.

— Udawał? — pyta partnerka.

Bosman bez słowa podciąga rękaw swojej bluzy. Oczom dziewczyny ukazuje się lew, szczerzący zęby do kobiety ukrytej w koronie palmy.

Obok tańczy Antek. Rozgląda się niespokojnie. Słyszy swoje imię. To wzywa go Józek, stojący poza kręgiem światła, u burty. Wołanie powtarza się. Antek przeprasza partnerkę i oddala się. Po drodze mija Michalskiego i Wietechę. Stary stoczniowiec pokazuje Michalskiemu rysunek techniczny statku. — W przyszłym roku — mówi — na 22 lipca pójdzie na wodę. Może mój Józek na nim popłynie.

Antek zbliża się do Józka.

— Czego chcesz?

— Najchętniej dałbym ci w buzię...

— Co ty?!

— Mnie nie oszukasz! Jak ci nie wstyd! — wyciąga z kieszeni kartkę papieru i potrząsa nią przed nosem Antka. — Tu są twoje pytania! To nie jest twoje pismo! To jest pismo Kapery!

— Nie krzycz! Chcesz, żeby wszyscy słyszeli? To moja sprawa. Dla nich mam pierwszą lokatę!

— Ty nic nie umiesz! Nie możesz z nami jechać. I nie pojedziesz! Przysięgam, że nie pojedziesz!

— Dawaj to! — Antek wyrywa kartkę z ręki Józka. — Skąd ty to masz? Grzebałeś w moich rzeczach! — zgniata kartkę i wyrzuca za burtę.

— Grzebałem, pakowałem, nosiłem twoje paczki, ale nie jestem posługaczem, przekonasz się! Dosyć!

— Bunt, tak? Do pieniędzy byłeś przyjacielem.

— Powiem... Zaraz powiem!

— Jak chcesz, durniu... Ale pamiętaj, jak mnie wyrzucą, to razem z tobą... Kaperę za egzamin, ciebie za ćwiczenia. I za forsę!

Józek odpycha go. — Niech wyrzucą! — Odchodzi nie oglądając się. Szuka kogoś spojrzeniem. Nie znajduje. Wchodzi do salonu oficerskiego. Puka do kajuty z tabliczką: „Komendant statku". Wchodzi.

Michalski i stary Wietecha, ojciec Józka, siedzą pochyleni nad rysunkami. Michalski coś szkicuje. Obudzeni jak ze snu, uśmiechają się na widok Józka.

— Chodź synu, przejdziemy się po pokładzie.

— Sto dni nie będziecie mieli okazji do rozmowy — zachęca ich Michalski, powracając do rysunków.

Ojciec i syn idą wzdłuż burty. Zbliżają się do dziobu. Od tyłu dolatują odgłosy zabawy. Muzyka, tupot, śmiechy. Przed nimi szemrzące morze. Czarne po bokach, zmarszczone w smudze światła płynącej z dalekiej latarni morskiej.

— Widzę i nie wierzę... — stary wyciera chusteczką kąciki oczu. — Matka, jak dawniej płakała, że nie zdasz, że nie skończysz, tak teraz płacze ze szczęścia. Już się, powiada, nie boję starości.

— Co tu gadać — Stary wzrusza ramionami i milczy chwilę. — Chyba to ci powiem, że jestem szczęśliwy. To najwięcej, co mogłeś nam dać. Mnie i matce.

Józek milczy zapatrzony w morze. Ojciec kładzie mu dłoń na ramieniu, uśmiecha się.

— Wrócisz z rejsu, to zamieszkasz u nas. Póki jesteś sam, możemy mieszkać razem.

Tłumy żegnają statek szkolny „Warszawa". Po trapie wchodzą marynarze. Rodzice żegnają swoich synów. Rozpoznajemy naszych znajo-

mych: starego Wietechę, Kruka, Mielczarkową. Słychać gwizd syreny. Ostatni serdeczny pocałunek. Jeszcze z pokładu pozdrawiają chłopcy swoich bliskich. Tadeusz wykrzykuje coś do matki, która stoi w tłumie i na wszystko kiwa głową, potakująco, łagodnie... Z bliska widać, że po jej policzkach cieknią łzy. Raz po raz wymachuje chusteczką, potem ociera łzy i znowu podnosi chusteczkę.

— Mój syn... — mówi wzruszona do obcych ludzi.

— Niechże pani przestanie — mityguje ją Kruk. — W morzu jest bez tego dosyć słonej wody.

— Chyba z tego... chyba z tego...

Rozlega się granie trąbki. Bandera idzie w górę. Marynarze stoją na pokładzie, uformowani w spory kwadrat. Przemawia do nich Michalski.

— Gdziekolwiek będziecie, pamiętajcie o szkole, która was wychowała.

— Pamiętajcie, że pokład naszego statku to nasza ojczyzna i nasz dom. Stanowimy nierozerwalną całość z ojczyzną.

— Bądźcie solidarni wobec obowiązków i trudów, jak przystało ludziom pracy.

— Każdy z was jest odpowiedzialny za całość statku i załogi, a wszyscy — za każdego z osobna.

— Statek jest tyle wart, ile jest wart najgorszy członek załogi. Oby takiego wśród was nie było!

Kiedy padają ostatnie słowa kapitana, obiektyw zatrzymuje się kolejno na twarzach Franka Kruka, Zbigniewa Dereckiego, Piotra Dominika, Tadeusza Mielczarka, Pawła Konarka, Józefa Wietechy i Antoniego Bugaja.

Słychać dźwięki orkiestry. Uroczystość skończona.

Statek oddala się powoli. Marynarze stoją teraz frontem do wiwatujących ludzi. Twarze są spokojne i poważne. Przed nimi rozszerza się pas wody. Jednocześnie maleje nabrzeże i cichnie gwar ludzki, ustępując szmerowi morza i wiatru, aż zamiera w plusku fali u burty.

Na rozkaz rzucony z megafonów — rozbiegają się marynarze po pokładzie, masztach i rejach. Każdy do swojego zajęcia. Rozkazy podchwytywane są natychmiast. Stawia się żagle. Już są rozpięte, już pełną piersią chwytają wiatr i fregata płynie, ślizgając się po fali.

Antek uporczywie patrzy w stronę lądu. Nie opuszcza lornety.

— Cóż ty tam widzisz? — śmieją się koledzy, zawieszeni na rei obok niego.

Józek sięga po lornetę Antka.

W kole obiektywu widać puste nabrzeże i samotną postać chłopca. Patrzy w tę stronę. Patrzy do końca. Uporczywie. To Brzozowski, ten, który nie zdał.

Józek zwraca lornetę Antkowi. Obaj milczą, zapatrzeni w ląd. Potem spoglądają na siebie. Są smutni i przygnębieni.

Fregata w nocy. W kajucie podwachty — cisza. Marynarze śpią w swoich hamakach. W ciszę wpada tylko tykanie Konarkowego budzika. Antek nie śpi. Przewraca się z boku na bok, potem kładzie się na plecy i leży z otwartymi oczami.

— Józek... Józek...

Pociągnięty za ramię Józek, budzi się:

— Czego?

— Nie mogę spać.

— Spać za ciebie nie potrafię.

— Jutro mam wachtę w kabinie nawigacyjnej. Nie dam rady.

Józek wzrusza ramionami.

— Musisz mi pomóc — ciągnie Antek.

— Jak? Wykręcisz się raz i co dalej?

— Gdybyś mógł być przy mnie w kabinie nawigacyjnej. Na razie, przez jakiś czas. Potem poduczę się...

— Nie zwolnią mnie.

— Zwolnią. Zameldujesz Michalskiemu.

— Co mam meldować? Że nic nie umiesz?

— Że ty nie umiesz i chcesz się przy mnie poduczyć!

— Co takiego?

— Zdałeś na trójkę — ciągnie prędko Antoni — a ja mam pierwszą lokatę. Uwierzą. Inaczej nie można. Nie odmawiaj mi. Przysięgam, że będę się uczył. Po nocach. W każdej wolnej chwili. Dogonię was. Nie zostawiaj mnie teraz. — Pochyla się w stronę Józka i ujmuje go za dłoń.

— Nie mogę — Józek bezradnie wzrusza ramionami. — Nie przejdzie mi przez gardło.

— Jak boisz się Michalskiego, to zameldujemy na razie bosmanowi. Bosman poda dalej.

Przez okrągłe okienka kajuty wpadają blaski dnia. Z góry, z pokładu dolatują słowa piosenki.

Na dziobie marynarze szorują pokład. Zapowiada się słoneczny dzień.

— Wiatr na zamówienie... — stwierdza bosman, który stoi u burty z grupką marynarzy. — Z takim wiatrem dopłyniemy do Przylądka Dobrej Nadziei szybciej niż... ten...

— Vasco da Gama! — kończy Tadeusz, dumny i zadowolony.

— Nauczył się dwóch słów jak papuga... — żartuje Ziemba. — Vasco da Gamoń! — Tadeusz zrywa mu czapkę z głowy i zręcznym ruchem wyrzuca ją za burtę. Czapka zatacza łuk nad falami i niesiona przez wiatr wraca jak bumerang na pokład. W oczach patrzących zdumienie i podziw.

— Za pomysłowe wykorzystanie wiatru — przerywa milczenie bosman — pochwała w wieczornym rozkazie! Za lekceważenie państwowego mienia — dodaje wesoło — dwie godziny dodatkowego szorowania pokładu.

Rozlegają się śmiechy. Bosman odchodzi, przecina pokład, skinieniem głowy pozdrawia chłopców pochylonych nad szczotkami i wiadrami, wchodzi do dyżurki.

Na ścianie w dyżurce lista z datą i nazwiskami. W następnej dziennej wachcie w rubryce: „Uczeń starszy nawigacyjny" — „Antoni Bugaj". Bosman sprawdza czas:

— Można budzić podwachtę — rzuca służbowemu.

Służbowy marynarz naciska guzik.

W sypialni marynarzy dzwonią brzęczyki. Chłopcy zrywają się z hamaków. Przeciągają się, ziewają. Brzęczyki dzwonią jeszcze chwilę, widać jak młoteczki przestają uderzać o bębny i nieruchomieją. Ale dzwonienie nie ustaje. To dzwoni budzik zawieszony nad głową Pawła Konarka. Paweł śpi. Przy jego hamaku tłoczą się ubawieni koledzy.

— Mam pomysł! — mówi Franek.

Sięga po budzik, nakręca go i zdejmuje dzwon. Przysuwa oswobodzony młoteczek do czoła Pawła i puszcza budzik w ruch. Młoteczek uderza kilkakrotnie i Paweł budzi się wśród śmiechu kolegów.

Antek i Józek są już ubrani. Pośpiesznie wychodzą. Po chwili są w kubryku i pukają do kajuty bosmana.

— Wejść!

Kajuta bosmana sprawia wrażenie bardziej zamieszkałej niż inne kajuty. Sporo tu fotografij i przeróżnych pamiątek z rejsów. Bosman zajęty jest w tej chwili przesadzaniem niewielkiej roślinki z małej doniczki do większej. Ręce ma czarne od ziemi. Nie zwracając uwagi na przybyłych, sięga po karafkę ze słodką wodą i podlewa kwiatek:

— Na razie możesz pić, ile chcesz... Jakeśmy szli przez Atlantyk —

zwraca się do chłopców — dostawała ćwierć szklaneczki na dobę. Byłaby uschła, a ma zakwitnąć pierwszy raz dopiero za sześć tygodni.

— Obywatelu bosmanie, Józek ma prośbę... ja też...

— No to proś, Józek. O co chodzi?

— Zaniedbałem się w nawigacji i chciałbym się podciągnąć. Najlepiej przy Antku, jak będzie miał wachty w nawigacyjnej. Na pokładzie mógłby mnie ktoś zastąpić.

Bosman dobrodusznie potakuje:

— Nie zawali się pokład bez ciebie. Możesz się podciągać.

— Miałem meldować komendantowi Michalskiemu...

— Dobrze, dobrze. Już ja zamelduję.

Cisza na morzu. Tropikalny upał. Załoga pracuje obnażona do pasa. Statek idzie na motorze. Wysoko na rejach marynarze umocowują zwinięte żagle. Rozlega się sygnał na zmianę wachty. Poprzednia — schodzi ze stanowisk. Antek i Józek opuszczają kabinę nawigacyjną. W odróżnieniu od kolegów, którzy pracowali na rejach, są wypoczęci i schludnie ubrani.

Tedeusz idzie obok Franka. Z trudem ciągnie nogi.

— Chodź, to cię zaniosę — żartuje Franek.

— Jednemu do śmiechu, drugiemu do płaczu. Ja dzisiaj robiłem za dwóch. Józek poducza się... Cwaniak!

Wchodzą do ogólnej sypialni. Część kolegów leży już w hamakach. Inni kładą się. Z wszystkich stron padają docinki na temat gorliwej nauki Józka.

— Widziałeś, jakie ma rączki? Jak panienka!

— Nawigator, kombinator!

— Dostał premię za to, że nie uczył się w szkole.

— Jak ciężka robota, to on zaraz tuman w nawigacji.

Franek unosi się na posłaniu:

— Jakby złamał nogę, to byście go leczyli, czy dobili?

— Czy to ja mam ręce z żelaza? — żali się Tadeusz.

— Zmęczyłeś się? — śmieje się Konarek, nakręcając ze zgrzytem swój budzik. — Na wsi harowałeś jak koń, to ci nie było ciężko, a człowieka zastąpić ciężko... Owies cię rozpycha, żłobie!

Odstawia budzik. Wskazówki przesuwają się, gwar cichnie. Słychać równe oddechy śpiących. Podczas dyskusji Józek udawał, że śpi. Teraz otwiera oczy, rozgląda się po kajucie i widząc, że wszyscy śpią, schodzi z hamaka.

Po chwili otwiera drzwi do świetlicy. Jest zupełna cisza, odmierzana monotonnym warkotem motoru. W kącie świetlicy siedzi Antek. Przed nim, na stole — otwarte książki. Józek zbliża się, teraz spostrzega, że Antek śpi. Głowa oparta o książkę, z otwartej dłoni wypadł ołówek. Józek potrząsa nim.

— Antek! — tamten otwiera oczy. — Miałeś się uczyć.

— Cały dzień praca — usprawiedliwia się Antek. — Nie mam sił. — Bezradnie wzrusza ramionami.

— Nic z tego nie będzie. Pół roku temu był na to czas. Dosyć się już nałykałem wstydu za ciebie. Posłuchaj, co gadają! Zrobili ze mnie markieranta. I mają rację. Nawet się bronić nie mogę.

Otwierają się drzwi od świetlicy. Wchodzi Michalski. Gasi ręczną latarkę. Zbliża się. Antek i Józek stają na baczność.

— Was co? — sen nie bierze... — spostrzega książki i łagodnieje. — Uczysz go? — zwraca się do Antka.

Antek nie zdobywa się na odpowiedź.

— Tak jest! — wyręcza go Józek.

— Dobrze. Bardzo dobrze — klepie Antka po ramieniu. — Może będą z ciebie ludzie. Szkoda, żeś z Brzozowskim więcej nie przysiedział. — Widząc, że Antek posmutniał, dodaje zaraz wesoło — Józek sam sobie jest winien. Zdolna bestia, tylko leń. Jak się nie poduczy, to go sprzedamy do tureckiej niewoli!

Chłopcom jest niewyraźnie. Pokrywają zmieszanie uśmiechem.

— Na dzisiaj dosyć. Spać! Będzie czas na dalszą edukację — zwraca się do Antka — jak będziesz miał wachtę w kabinie nawigacyjnej.

Ranek na pokładzie. Upał. Na śródokręciu marynarze reperują ogromną płachtę żagla. Szyją, siedząc wielkim półkolem na deskach pokładu. Dyryguje robotą bosman. Usiadł na burcie z nogami opuszczonymi na zewnątrz. Od czasu do czasu odwraca się i rzuca polecenia. Pochłonięty jest łowieniem ryb. Z uwagą śledzi ruch pływaka. Jego ogromne plecy i muskularne ramiona pokryte są tatuażem.

— Gotowe! — woła Ziemba i zbliża się do bosmana. Za nim idą inni. Gromadzą się przy bosmanie, który krytycznym okiem patrzy na zreperowany żagiel.

— No, dobrze... Na czymśmy to wczoraj skończyli?

— Tutaj, obywatelu bosmanie! — Ziemba wskazuje białą kreskę na opalonym ramieniu bosmana.

Poniżej kreski widać znany nam już rysunek lwa szczerzącego zęby

na kobietę w koronie palmy. Wyżej — duży rysunek, przedstawiający mężczyznę, którego dwaj milicjanci prowadzą do bramy więzienia. Głowa aresztowanego wytatuowana jest z profilu. Nad nią napis — „Wódka mnie zgubiła" i podpis z wymyślnym zakrętasem — „Teodor".

— To pan? — pyta z podziwem Ziemba.

— Moje imię Jan. I wódki nie pijam! — Groźnym spojrzeniem tłumi szelmowskie uśmiechy słuchaczy. — Teodor to mój przyjaciel. Przed zdarzeniem, które tu widzicie, był szyprem na rybackim kutrze. Wyjechał po pijanemu na morze i wrócił bez kutra. W jednych spodniach. Całe szczęście, że ludzi nie potopił. Posiedział parę lat. Kiedy wyszedł, miał potrzebę skrytykować się. Narysował to i opatrzył napisem: „Wódka mnie zgubiła".

— Dlaczego na pańskim ramieniu? — dziwi się Ziemba.

— Bo na własnej skórze nie miał już ani centymetra wolnego miejsca.

Wieje pomyślny wiatr. Z mostku padają szybkie rozkazy. Ożywiona krzątanina na pokładzie. Marynarze, ustawieni w szereg, jeden za drugim, ciągną linę.

— Sposobem chłopcy! — woła Franek. — I na melodię!

Śpiewają i rytmicznie pociągają linę.

Józek, który ciągnie razem z nimi, spogląda w stronę kabiny nawigacyjnej, dokąd podąża właśnie Antek, zerkając na Józka.

— No, to idź — mówi Franek. — Damy radę bez ciebie.

Józek wchodzi do kabiny nawigacyjnej, odprowadzany niechętnymi spojrzeniami kolegów. Konarek mruczy coś pod nosem i grozi pięścią.

W kabinie Antek oblicza. Jest zdenerwowany.

— Jesteś nareszcie...

Józek sprawdza. Kręci głową i wzdycha.

— Znowu źle — przekreśla i wprowadza poprawki. — Teraz dobrze.

— Zapal papierosa! — Antek częstuje go.

— Co będzie dalej? — Zaciągają się.

Tutaj, w kabinie, jest cicho i przytulnie. Siedzą zapatrzeni w morze. Otwierają się drzwi. Wchodzi Konarek. Zlany potem, brudny i zmęczony. Rzuca na stół jakiś papier.

— Kapitan mnie przysłał. Trzeba obliczyć.

— No, to oblicz Józek, ja sprawdzę.

Józek ujmuje ekierkę nawigacyjną. Patrzy na Konarka, zdziwiony, że nie odchodzi.

— Na co czekasz, to musi potrwać...

— Czekam, żeby ci powiedzieć, co myślę o tobie. Przyjemną masz podróż, bracie. Jak kapitan! Cięgiem w kabinie! Uczysz się, tak? Może i do mnie będziesz przychodził na naukę do kabiny? Skwitujemy się! Tyś mnie uczył, ja teraz ciebie będę uczył! Znamy się na tym!

Wybiega z kabiny. Józek dogania go.

— Czego chcesz, Paweł?

— Żebyś przestał markierować!

— Nie gadaj...

— Ja wiem najlepiej, ile ty umiesz!

— Paweł — Józek przytrzymuje wyrywającego się Konarka. — Gdyby nie ja, byłbyś teraz tam, gdzie Brzozowski!

Rozlega się sygnał na zmianę wachty. Chłopcy rozchodzą się.

W umywalni gwar i pluskanina.

— Przysięgam, że markieruje! — woła Konarek.

— Nie chce mu się robić i tyle — potwierdza ktoś inny.

— Wszyscy widzą, tylko ty nie widzisz! — zwraca się Mielczarek do Franka.

— Dlaczego nie gadasz? — pyta Piotr Dominik.

— Jak będę pewny, to powiem.

— Boisz się.

— Nieprawda.

— Dmuchasz na zimne.

Do otwartych drzwi umywalni zbliżają się Antek i Józek. W tej chwili dolatuje ze środka głos Konarka:

— Za burtę wyrzucę drania, choć bym miał zgnić w więzieniu.

Antek i Józek zatrzymują się i zawracają. Idą ze zwieszonymi głowami.

Statek manewruje w archipelagu gęsto rozrzuconych wysepek.

W kabinie nawigacyjnej Franek Kruk dokonuje obliczenia kursu. Trudny kurs. Komendant Michalski stoi na rufie. Zadziera głowę do góry. Na dolnej rei pracuje Józek.

— Zejdź do kabiny nawigacyjnej — woła Michalski. — Ciekawy kurs mamy. Przyda ci się...

Józek schodzi do kabiny nawigacyjnej (uczniowskiej). Franek kończy właśnie obliczenie. Na widok Józka zaczyna głośno objaśniać, co robi. Józek słucha go z uwagą. Z oficerskiej kabiny nawigacyjnej dolatuje głośne wołanie oficera przez megafon:

— Franek Kruk poda oficerowi wachtowemu rezultat obliczeń. To wszystko, to wszystko...

Franek szybko kończy obliczenie i zamierza wyjść z mapą w ręku.

— Co ty robisz? — Józek zatrzymuje go. — Pomyliłeś się. — Wyciąga mapę z rąk Franka, kładzie ją na stole, chwyta nawigacyjne ekierki i pewnymi ruchami wprowadza poprawki.

Franek przygląda się zdumiony.

— Teraz jest dobrze — mówi Józek, oddając mapę.

Zdumienie Franka rośnie. Wybiega na rufę, wręcza obliczenie oficerowi.

— Bardzo dobrze — chwali oficer, sprawdzając. Pokazuje Michalskiemu. — To nie był łatwy kurs.

Statek manewruje w archipelagu, przechodząc wąskimi przesmykami wśród skał.

W kubryku tłoczy się kilkunastu marynarzy. Kucharz wydziela im wodę. Po szklance na osobę.

— Na pół dnia musi starczyć! Półtora tysiąca mil do portu!

Zwilżają spieczone wargi i wypijają jednym haustem. Bosman wypił tylko połowę. Wchodzi do swojej kajuty. Przez uchylone drzwi widać, jak drugą połowę wylewa do doniczki z kwiatkiem.

Rozlega się sygnał do objęcia wachty.

— Idziemy! — zwraca się Franek do Józka. — Mamy jeszcze sporo wiązania.

Wybiegając, Józek mija Antka, który zdążył mu szepnąć:

— Za godzinę obejmuję wachtę w nawigacyjnej.

Paweł Konarek w kabinie nawigacyjnej. Wchodzi Antek. Paweł zdaje mu wachtę. Na mapie widać położenie statku.

— Dobra... Przyślij do mnie Józka — prosi Antek.

— Dbasz o swojego ucznia — mówi Paweł, wychodząc.

— Ma zezwolenie komendanta.

Józek pracuje razem z Frankiem przy zakładaniu wyblinek (szczebli sznurowych).

— Józek! — woła Paweł z dołu. — Do pana profesora! Na lekcję! Już po dzwonku!

Stojący opodal marynarze wybuchają śmiechem. Józek zamierza zejść, ale Franek zatrzymuje go.

— Zostań. Sam nie dam rady.

— Muszę iść...

— Nie pójdziesz! — Zastępuje mu drogę, zajmując stanowisko na szczeblu pod nim. — Dosyć markierowania! Znasz nawigację lepiej ode mnie. Żaden Antek ci nie jest potrzebny! Robić ci się nie chce!

Szamocą się ze sobą. Józek wyrywa się. Walcząc, zjeżdżają coraz niżej. Na dole gromadzą się koledzy. Dopingują Franka. Stoją z zadartymi głowami. Obaj walczący wpadają w sam środek ciżby.

— Poznałem cię, ptaszku! — dyszy Franek. — Nawigator, kombinator. Mieli rację!

— Broniłeś go! — rzuca Tadeusz, obezwładniając wyrywającego się Józka.

— W zęby markieranta! — woła Konarek, zamachując się.

— Mam rozkaz komendanta! — broni się Józek.

— Wyłudziłeś go kantem!

— Za burtę go!

Józek, szarpany przez wszystkich, rzucany z rąk do rąk, na próżno wyrywa się w stronę kabiny nawigacyjnej. Zjawia się Michalski.

— Baczność!

Chłopcy stają na baczność. Józek podnosi się z ziemi. Z bluzy zwisają strzępy.

— Co się tu dzieje? Kto go uderzył?

— Ja, obywatelu kapitanie! — Franek występuje naprzód. — Nie uderzyłem go. Szarpaliśmy się.

— Obaj do mnie do kajuty! — do pozostałych — wy... do roboty!

Przed kajutą komendanta kręci się Józek. Jest niespokojny. Czeka na coś. Z kajuty wychodzi Franek. Staje obok Józka. Nie rozmawiają ze sobą. Otwierają się drzwi do kajuty.

— Wejdźcie — wzywa z wnętrza Michalski.

Wchodzą do kajuty.

— Zdaje mi się — mówi Michalski — że Franek ma rację. Że wszyscy mają rację. Obliczyłeś doskonale. Poprawiłeś obliczenia Franka. To był trudny kurs.

— Bardzo trudny — potwierdza Franek.

— Udało mi się — próbuje Józek.

— Skromny jesteś, chłopcze. A może ty się tą skromnością wykręcasz? Może nie lubisz ciężkiej roboty?

— Nie wykręcam się, obywatelu komendancie, chciałbym pracować tyle, co inni.

— Dlaczego prosiłeś o zwolnienie? Przecież umiesz.

Józek opuszcza głowę. Milczy.

— No, przekonamy się. Jak oszukiwałeś, to zdążysz jeszcze odrobić. Obiecuję ci. — Po chwili. — Teraz jazda! Na stanowiska!

Obaj chłopcy salutują i wychodzą.

Widok obszaru wodnego z lotu ptaka. Kilka wysp i mielizn. Statek idzie między wysepkami. Zapada zmierzch. Widoczność mącą pasma nadciągającej mgły.

Na rufie Michalski. Obok oficer wachtowy.

— Można — uśmiecha się oficer — wysepki, mgła, niech pokażą, co potrafią.

Michalski: — Zaczynamy!

Oficer wachtowy gwiżdże. Na rufie zjawia się uczeń prowadząc ze sobą ośmiu kolegów. Wśród nich Piotr Dominik i Antek Bugaj. Michalski wyznacza im kolejno funkcje. — Ty — zwraca się do Piotra — na moje miejsce. Proszę bardzo... — Ty zwraca się do Antka — do kabiny nawigacyjnej.

Uczniowie obejmują stanowiska.

Spojrzenia załogi badają przestrzeń przed dziobem, śledzą drogę. Z przodu kłęby narastającej mgły. Ściemnia się gwałtownie.

Antek w kabinie nawigacyjnej. Niespokojny, rozgląda się nerwowo na wszystkie strony. Wzywa go radiotelegrafista. Telegraf stuka. Przyjmuje meldunek. Antek wybiega z meldunkiem na rufę.

— Mgła na kursie! — melduje Piotrowi, podając zasięg.

Piotr zastanawia się chwilę, patrzy na Michalskiego, na oficerów, ale ci udają całkowitą obojętność.

— Zmieniamy kurs — decyduje Piotr.— Na prawo! Węższym przesmykiem. Zaraz oblicz! — odprawia Antka i rzuca w megafony rozkaz do sygnału mgłowego.

Róg sygnałowy zaczyna huczeć. Załoga pośpiesznie naciąga ceratowe ubrania. Do sterów na rozkaz Piotra staje czterech marynarzy, zamiast jak dotychczas dwóch. Wszyscy nasłuchują, na twarzach niepokój. Cisza na pokładzie. Tylko róg sygnałowy huczy.

Antek pracuje w kabinie nawigacyjnej. Przed nim mapa, papier i ołówek. Widać, że mu nie idzie. Raz po raz coś przekreśla. Zaczyna od nowa. Zgniata zapisany papier. Wyrzuca. Sięga po następny arkusz. Kreśli, zaczyna rozumieć. Rysuje coraz śmielej. Zastanawia się. Z wysiłkiem przypomina sobie wszystko co wie. Jeszcze parę notatek i stawia kropkę. Na mapie widać dokładnie sytuację statku. Z przodu droga zamknięta

obszarem mgły. Należy jechać w prawo, węższym przesmykiem, pozostawiając po lewej burcie skały, przed którymi ostrzegają dwie latarnie morskie. Antek wypunktował już zmieniony kurs.

— Dawać kurs! — pada z megafonu rozkaz Piotra.

Antek wybiega, podaje nowy kurs Piotrowi.

— Jak światła? — sprawdza Piotr.

— Obydwie latarnie morskie z lewej burty... Odległość na trawersie półtorej mili...

— Oba światła z lewej na pewno?

— Na pewno...

— Megafony! Kurs sto siedemdziesiąt cztery! — do sterów — Dwa koła w prawo!

Michalski zagląda do kabiny nawigacyjnej. Rzuca okiem na obliczenie Antka. Wychodzi. Patrzy na zegarek i pyta Piotra, z jaką szybkością płyną. Piotr informuje.

Z kolei padają rozkazy do żagli. Znowu cisza. Huczy tylko sygnał mgłowy.

Józek na szczycie masztu obok Franka. Niespokojnie patrzy przed siebie. Światła latarń morskich, stąd widoczne, zdają się skręcać w prawo. Statek idzie w sam środek świateł!

— Idziemy na skały! — woła przerażony Józek. — Pomylił się! Trzeba meldować! Idziemy na skały! — woła w dół, ale sygnał mgłowy zagłusza wszystko.

— Kto się pomylił? — Franek chwyta Józka za ramię.

— Antek! On nie umie! Kłamaliśmy, słyszysz! Trzeba meldować.

Wyrywa się. Próbuje chwycić jakąś linę, by zejść, ale nie trafia, osuwa się. Franek przytrzymuje go. Józek szamoce się. Jest wpółprzytomny.

— Nie ruszaj się! — krzyczy Franek. — Ja zamelduję.

Z mgły wyłaniają się światła. Coraz bliższe. Już widoczne są kontury skał. Nie ma chwili do stracenia. Na dole, na pokładzie, nie widać nic. Mgła zalepia oczy. Franek wybiera drogę górą, po linie wiodącej od masztu przedniego do środkowego. Posuwa się zawieszony na rękach, w kłębach prześwietlonej mgły. Doszedł do środkowego masztu. Szybkie spojrzenie i decyzja. Chwyta za stalówkę i zjeżdża po niej błyskawicznie w dół, na rufę.

— Franek! — Michalski, który objął w międzyczasie dowództwo, przytrzymuje go, bo byłby upadł z rozpędu i wyczerpania.

— Jedziemy na skały! Obydwa światła z przodu! Źle obliczone!

— Już wiem! — odpowiada Michalski i rzuca szybko rozkazy.

Teraz spostrzega Franek Antka, który stoi obok Michalskiego, trupio blady. Jedno spojrzenie wystarczy, by domyślić się, że przed chwilą Antek się przyznał.

Rozkazy rzucane są i wykonywane błyskawicznie. Chłopcy śmigają po pokładzie. Światła latarń są już zupełnie blisko. Przed statkiem wyrasta czarna skała. Statek pewnie skręca i pozostawia skałę i latarnię z lewej burty. Na twarzach ludzi pojawia się ulga. Franek ogląda teraz swoje dłonie. Widnieją na nich pręgi odparzenia. Przewiązuje dłoń chustką. Michalski podaje mu drugą i zwraca się do Antka.

— Jak to możliwe? Jakim cudem zdałeś egzamin?

Obok Antka stoją już koledzy. Jest Józek i bosman.

— Ja wszystko wyjaśnię — mówi Antek stłumionym szeptem.

— Obaj jesteśmy winni — dodaje Józek.

— Mnie wykiwali! Łajdaki! — bosman ryczy jak ranny tur, chwyta Antka za bluzę na piersiach i potrząsa nim jak szmatą. — Jak mogłeś?

Na śródokręciu zebranie załogi. Chcąc lepiej widzieć, powyłazili niektórzy na dolne reje, na daszek kubryka, niektórzy wiszą na drabinkach linowych. Blisko prezydium — Franka, Tadeusza i Piotra — tłok. Siedzą we trójkę na zwojach lin. Przed nimi, na wolnym skrawku pokładu, ograniczonym zwartym kołem marynarzy, stoją Antek i Józek. Mówi Antek.

— Nie pomyślałem o tym, że po wyjściu ze szkoły nie będę zdatny do niczego. Sądziłem, że to także jest moja osobista sprawa. — Chwilę milczy, potem rozkłada ręce. — Nic nie mam na swoje usprawiedliwienie. Chyba to, że potem, kiedy poznałem mój błąd, kłamałem ze strachu, że mnie wyrzucicie. Myśl, że mogę być na zawsze odsunięty od pracy na morzu, była nie do zniesienia. I proszę was, nie wyrzucajcie mnie. Pomóżcie mi. Pomogliście mi zrozumieć, że byłem zwykłym oszustem i wyzyskiwaczem.

Antek milknie. Franek pyta go:

— Na jaką karę zasłużyłeś?

Antek nie może się zdobyć na odpowiedź.

— A ty Józek?

— Zawiniłem nie mniej niż Antek. Może nawet więcej. Ja wcześniej niż on zrozumiałem nasz błąd. Franek mi w tym pomógł. Ale nie mia-

łem odwagi przyznać się od razu. Byłem zwykłym tchórzem... Nie mogę naprawić tego co zrobiłem, ale chciałbym... Chciałbym przynajmniej odpracować to wszystko, co inni musieli robić za mnie.

W ciszy, jaka zaległa po oświadczeniu Józka, padają słowa Antka:

— Ja zasłużyłem na większą karę.

„Warszawa" na pełnym morzu. Apel wieczorny na pokładzie. Przed frontem marynarzy przechadza się Michalski. Mówi jak gdyby przed siebie, od czasu do czasu odwracając twarz ku słuchającym.

— Przyzwyczaił się od dziecka, że można kupować pracę, że można obrastać w honory i tytuły z cudzej pracy. Jasne, że taki truteń, który nic nie robi, nic nie umie. Tyle z niego pożytku w społeczeństwie, co z Antka w kabinie nawigacyjnej.

— Jak to się mogło stać w naszej szkole?

— Mogło się stać, bo Antek miał pomocników. Józka Wietechę na dole i kapitana Kaperę na górze. Tak. Ale można było pokrywać postępowanie Antka, dopóki był w szkole. W praktyce, to drobne na pozór przewinienie urosło do rozmiarów katastrofy. Antoni Bugaj i Józef Wietecha mogli nas przedwczoraj wszystkich zgubić. Razem ze statkiem.

— Tak. Jeden zły marynarz może zgubić statek i załogę. Jeden wychowawca może zmarnować wielu uczniów. Po powrocie z rejsu nie zastaniecie kapitana Kapery w naszej szkole... To co zrobił jest pospolitym przestępstwem.

— Kara, którą nałożyli na siebie Antek i Józek jest surowa, ale sprawiedliwa. Zatwierdziła ją załoga i my ją zatwierdzamy. Józef Wietecha — dziesięć dni robót przymusowych. Antoniego Bugaja należałoby zaraz usunąć ze statku i oddać do dyspozycji szkoły. Zostawiamy go na statku do końca rejsu. Chciałbym, aby miał możność przekonać nas pracą swoją i sprawowaniem, że naprawdę zrozumiał swój błąd. Może szkoła uwzględni to i nie wydali go na zawsze. Może Antek uzyska prawo do ponownych egzaminów.

Antek i Józek cegiełkują pokład. Pot wielkimi kroplami spada na ich dłonie. Niedaleko, u burty, gwar. To bosman oznajmił zgromadzonym chłopcom, że ryba bierze. Wyciąga wędkę. Idzie ciężko.

— Chyba wieloryba pan złowił!

— Ostrożnie, bo nas zniesie z kursu!

Teraz ciągnie kilku, z Konarkiem na czele. Wyciągnęli. Na pokład wpada pantofel bosmana, przyczepiony do wędki.

— Kto to zrobił?

— To na pewno ten, co go pan wyrzucił trzy tygodnie temu — próbuje Konarek.

Bosman wyciąga z pantofla żelazne śruby, jakieś ogniwo łańcucha. Zamierza się na Konarka, ale ten skrył się w porę.

— Więcej z wami nie gadam. Nie będzie dalszego ciągu...

— Panie bosmanie. — W oczach Ziemby jest błagalna prośba.

— No, dobrze, dobrze... Na czymśmy to stanęli.

— Tutaj, panie bosmanie.

Biała kreska przesunęła się już na drugie ramię bosmana. Widnieją tu trzy głowy kobiece z wypisanymi imionami: Mary, Danuta, Dolores. Bosman milczy chwilę, jakby zbierał myśli, potem wzdycha i macha ręką.

— To opuścimy. Dla młodzieży niedozwolone...

Zjawia się Antek z Józkiem. Gwar i śmiechy milkną. Twarze posępnieją.

— Czego znowu? — pyta bosman szorstko.

— Mamy malować wewnętrzne dno. Z polecenia kapitana Michalskiego.

— No, to jazda do magazynu. Zaraz przyjdę.

Antek i Józek idą przodem w stronę magazynu. Za nimi bosman, odprowadzany przez Ziembę.

Bosman wydaje Antkowi i Józkowi farby, kubły i pędzle. Ziemba czeka aż tamci odejdą i teraz zwraca się do bosmana:

— Panie bosmanie, obiecał mi pan...

— A nie wydasz mnie?

Otwiera drzwi do swojej kajuty i wpuszcza Ziembę.

— Ściągaj koszulę!

Ziemba skwapliwie spełnia rozkaz. Bosman przygotował tymczasem jakieś groźne przybory. Usiadł za plecami Ziemby i zabiera się do pracy. Na twarzy amatora tatuażu pojawia się raz po raz grymas bólu, ale nie narzeka.

Antek i Józek schodzą tymczasem po żelaznych, stromych schodach, w głąb statku. Mija ich grupka kolegów, wspinających się do góry: Franek, Piotr, Paweł i Tadeusz. Antkowi i Józkowi nie łatwo jest schodzić. Są obładowani przyborami do malowania i zeskrobywania rdzy. Część przyborów zostawili na górnym spoczniku i teraz korzystając z tego, że tamci weszli na górę, proszą, by podali im szczotki, osadzone na długich kijach.

Konarek odmawia, dodając uszczypliwą uwagę:

— Dosyć inni naharowali się za was! Prosimy! Nikt wam szczotek nie zabierze... O, tędy, po schodkach do góry!

— Nie gadaj, Paweł — Franek, który wyszedł już kilka stopni wyżej, wraca i podaje tamtym dwóm szczotki. Antek i Józek dziękują ze smutnym uśmiechem.

— Masz kogo żałować! — nie ustępuje Konarek.

— Uważaj, żebyśmy ciebie nie musieli żałować.

— I tak z nich nic nie będzie — podziela zdanie Konarka Piotr Dominik. — Pokazali, co potrafią.

— Ja myślę, że jeszcze nie wszystko pokazali.

Szereg krótkich fragmentów pracy Antka i Józka. Trudna, niewdzięczna robota, wykonywana bez szemrania. Teraz pracują na kilkudziesięciocentymetrowej przestrzeni między zewnętrznym a wewnętrznym dnem. Jeden klęczy, drugi leży na plecach. Pokryci są potem, kurzem i rdzą.

— Dłużej nie wytrzymam — wzdycha Antek.

— Wytrzymasz. Gorzej być nie może, tylko lepiej... Nie marudź.

W otworze wejściowym pojawia się twarz Michalskiego.

— Jak tam, zuchy? Jutro miał być koniec z tym dnem.

— Już gotowe, obywatelu kapitanie. Jeszcze pół metra.

Michalski wsuwa głębiej głowę. Rozgląda się.

— Rzeczywiście... Do wieczora macie wolne. Dosyć tej roboty w ciasnocie. Jutro na powietrze!

Antek i Józek wyłażą ze swojego dna. Zmęczeni i brudni. Wyciągają butelki z niewielkim zapasem wody. Przykładają do ust.

— Nie pijcie zimnej wody! — woła bosman. — Za mało jej macie, żeby się napić. Zaraz wam dam wrzątku. Na upał tylko wrzątek... Pijcie! — podaje im kubek z wrzątkiem.

Piją, krople potu występują im na czoła, ale twarze przejaśniają się.

— Chłodno! — woła Józek. — Jak pragnę zdrowia.

— Jak się napijesz wrzątku, to najlżejszy wietrzyk poczujesz. Dmucha, orzeźwia. Znam się na tym...

Rozmawiając idą w stronę pokładowego składu. Opodal, w cieniu, leżą koledzy z podwachty. Czytają, grają w domino. Przed nimi stoi Ziemba. Ściąga właśnie koszulę, by zademonstrować swój tatuaż. Efekt jest piorunujący. Bosman pokrył mu plecy ogromnym wizerunkiem

ośmiornicy. Jedno oko zmrużone zalotnie, końce odnóg sięgają aż na piersi i ramiona Ziemby.

Rozlega się niepohamowany śmiech kolegów. Antek i Józek śmieją się również. Zjawia się Michalski, zwabiony hałasem. Ogląda nieszczęsne plecy Ziemby.

— Kto ci to wytatuował?

Krótkie jak błysk iskry spojrzenie Ziemby musnęło bosmana, ale zaraz opanował się:

— Ja sam, obywatelu komendancie.

— Ty sam? Na plecach?

Nowa salwa śmiechu pogrąża Ziembę do reszty. Z nienawiścią patrzy na końce odnóg ośmiornicy, wystające z tej strony torsu.

Bosman pociąga Antka i Józka za sobą do składu. Odbiera od nich farby, pędzle i szczotki.

— Zwinęliście się — chwali. — Już właściwie nie ma co malować.

— Chwała Bogu — wzdycha Antek.

— Chyba, żeby stary coś wymyślił, bo farby starczy do końca rejsu.

— Nie martwcie się. Prędzej czy później będzie koniec z malowaniem. Tu nie szkoła sztuk pięknych, tylko statek.

Ziemba u bosmana.

— Panie bosmanie, naprawdę można? — Jest szczęśliwy.

Bosman wyciąga buteleczkę z terpentyną i ściera ośmiornicę z pleców Ziemby.

— Dlaczego pan sobie nie zetrze... To przecież okropne.

— Mój bosman wytatuował mi te paskudztwa naprawdę. Na mur. Do grobowej deski. — Ze smutkiem patrzy na swoje porysowane ramiona. — Dzisiaj zmieniły się u nas czasy. Takich durniów jak ja już nie ma. Ty byłeś ostatni.

Chłopcy wracają z wachty. Układają się do snu. Hamaki Józka i Antka — puste. Koledzy dziwią się, że ich nie ma. Mieli przecież spać.

— Józek go obkuwa w świetlicy. Widziałem — wyjaśnia Konarek.

— I dobrze — cieszy się Franek.

Antek i Józek zgłaszają się znowu do bosmana po farby. Bosman jest zdumiony.

— Czarną farbę — mruczy Józek.

— Aha, rozumiem... — Spojrzenie bosmana wędruje w ciasny kąt pokładu, gdzie widnieje ogromna góra zardzewiałego łańcucha. — Stało się — wzdycha, wydając chłopcom farbę i potrzebne narzędzia.

Antek i Józek pracują już przy łańcuchu. Jeden opukuje i szczotkuje, drugi — maluje. Z kupy zardzewiałego łańcucha nie wiele jednak ubyło. „Malarze" są u kresu sił. Niewyspani, osmoleni.

— Odsapnijmy chwilkę — proponuje Józek, odkładając młotek.

— Tu obok — Antek zerka w zaciszny kąt.

Wyprostowują kości. Układają się. Józek przymyka oczy. Antek potrąca go:

— Uważaj, żebyśmy nie zasnęli.

U przeciwległej burty, bosman wystawił swój kwiatek na działanie słońca. Podlewa go wodą z butelki. Obmywa liście.

Franek, Piotr, Tadeusz, Zbigniew, Paweł, wręczają bosmanowi spory słój ze słodką wodą.

— Zaoszczędziliśmy dla niego — zerkają w stronę kwiatka.

— Teraz na pewno zakwitnie! A byłby zmarniał! — Pokazuje pączek, z którego wyłaniają się już płatki. — Nasza krajowa prymulka! Na środku Atlantyku!

Z kąta, gdzie położyli się Antek i Józek, dolatuje teraz, zamiast poprzedniego postukiwania młotkiem, miarowe chrapanie. Zwraca to uwagę zgromadzonych przy kwiatku. Paweł Konarek skrada się w tamtą stronę. Spostrzega śpiących i gestem wzywa kolegów do siebie. Podchodzą.

— Czekajcie — mówi Konarek szeptem.

Macza pędzel w farbie i zamierza domalować śpiącym wąsy. Bosman powstrzymuje go.

— Zostaw... Chłopcy! — spojrzenie bosmana jest wymowne.

Wszyscy zabierają się do malowania łańcucha. Mocniejsze kołysanie statku i dalekie wycie nadciągającej burzy nie przerywają snu Antka i Józka.

Kiedy przechodzi tędy Michalski, rzucający rozporządzenia na wypadek sztormu, Antek i Józek śpią jeszcze. Łańcuch jest pomalowany. Michalski budzi ich.

— Brawo, zuchy!

Chłopcy zrywają się na nogi. Tłumaczą się.

— Położyliśmy się na chwilę. Sen nas zmorzył...

— I dobrze, że zmorzył. Po robocie macie prawo spać, ile wlezie.

Dopiero teraz spostrzegają, że łańcuch pomalowany.

— To nie my, obywatelu komendancie. — Antek mówi coraz pewniej. — Ktoś to za nas zrobił!

Spostrzegają naszą piątkę, która pracuje teraz przy maszcie pod kierunkiem bosmana. Uśmiechają się z daleka. Michalski śmieje się równie, po czym zwraca się do Antka.

— No co, Antek? Już się nie przyznajesz do cudzej pracy? Stawajcie do żagli! — Z troską obserwuje niebo. — Nie zabraknie dzisiaj roboty dla dzielnych marynarzy.

— Rozkaz! Obywatelu komendancie!

Wzmaga się wiatr, fala rośnie kołysząc okrętem jak łódką. Ściemnia się gwałtownie. Pierwsza błyskawica rozcina mroki. Statek walczy z burzą i ciemnościami.

Michalski jest na rufie. Zarządza alarm:

— Wszystkie wachty na pokład!

W kajutach marynarzy i oficerów dzwonią brzęczyki. Ludzie zbierają się pośpiesznie. Biegną korytarzami, naciągając po drodze bluzy. Potem wypadają na pokład w objęcia sztormu. Oficerowie rzucają odpowiednie rozkazy i zbierają swoje wachty pod masztami.

W kabinie telegraficznej stuka telegraf. Oficer nawigacyjny pochyla się nad radiotelegrafistą w oczekiwaniu na pełną wiadomość. Już odebrał. Wypada na rufę.

— Statek w niebezpieczeństwie! — melduje, starając się przekrzyczeć wycie sztormu. — Zerwało im śrubę! Leżą na boku. Dryfują z wiatrem siedem węzłów... — Pokazuje położenie na mapie w celuloidowym futerale.

— Jedziemy! — decyduje Michalski po krótkim namyśle.

Statek wspina się z mozołem na pogóry wodne i znowu opada do podnóża następnej fali. Wściekłe białe grzywy uderzają coraz gwałtowniej. Odparte przez wysokie burty wracają, by znowu natrzeć jak wojsko po drabinach oblężniczych i przewalić się wreszcie przez pokład z groźnym wyciem, pozostawiając na twarzach marynarzy większą niż dotąd zaciekłość i wolę walki. Wszystko ocieka wodą. W świetle błyskawic widać wodny pył na olinowaniu, na brwiach, rzęsach i brodach.

Przy masztach wre walka o żagle. Najprostsza funkcja jest teraz bohaterstwem. Maszty przechylają się razem ze statkiem. Przymocowany do rei łańcuch od żagli urywa się i kołysze uderzając jak bicz.

Każde uderzenie grozi rozerwaniem żagla i śmiercią któregoś z ludzi, zajętych na górze.

Michalski widzi to z rufy.

— Zwinąć górny żagiel — proponuje oficer wachtowy.

— Przymocujemy — decyduje Michalski. — Na dolnych żaglach nie dopłyniemy w porę! Chłopcy! Kto na ochotnika?

Antek, Józek, Franek, Zbigniew wspinają się już do górnej rei. Zbigniew mija Franka, który obok Józka, Antoniego i Piotra manipuluje niżej. Wszyscy patrzą na wspinającego się chłopca. Zbigniew usiłuje pochwycić łańcuch, ale uderzony w rękę, usuwa się w dół. Józek zatrzymuje go. Teraz on wspina się i próbuje. Na próżno. Idą mu z pomocą Antek i Franek. Łańcuch ze świstem powraca. Józek gwałtownie pochylił głowę, Antek z całych sił przyciągnął do siebie w dół Franka. Żelazo rąbnęło w maszt o parę centymetrów nad jego głową. Na krótko Antek złapał spojrzenie Franka. Wyczytał w nim wdzięczność i odpowiedział uśmiechem.

Już zerwał się dalszy łańcuch. Oba łańcuchy uderzają teraz jak ramiona żelaznej ośmiornicy. Powstaje panika. Silny szkwał porywa górne żagle.

Antek wielokrotnie próbuje pochwycić koniec swego łańcucha. Z drugim — mocują się inni. Antek przyczaja się teraz jak kot. Przywiera do masztu i czeka, aż rozkołysany łańcuch zbliży się. Decyzja prędka jak błyskawica i.... skok! Złapał! Kołysze się chwilę zawieszony między niebem a morzem i razem z łańcuchem przywiera do masztu. Nie zdążył jeszcze ochłonąć, a już Józek skoczył po drugi łańcuch. Powrócił. Zaraz przytrzymały go czyjeś ręce.

Żagle są umocowane. Znów chwytają wiatr i statek płynie z pełną szybkością.

Michalski uśmiecha się i rzuca do megafonu:

— Telegrafować! Za pół godziny będziemy. Trzymajcie się. Warszawa.

Wysoka fala przelewa się z wyciem, opłukując ludzi i pokład.

Z morza, zupełnie teraz spokojnego, sterczy dziób zatopionego statku, obwieszony rozbitkami. Niektórzy pływają na deskach, w kołach ratunkowych i o własnych siłach. Pierwsza łódź ratunkowa dobija już do statku szkolnego. Na pokład wchodzi kilku uratowanych marynarzy.

Uratowani marynarze serdecznie ściskają dłonie marynarzy z „Warszawy".

Apel wieczorny na pokładzie.

Mówi Michalski:

— W imieniu dowództwa dziękuję załodze „Warszawy“ za bohaterską i solidarną pracę podczas sztormu! Na szczególne wyróżnienie zasłużyli... WSZYSCY! — Mówiąc patrzy na Antka i Józka, jakby chciał dodać, że słowo „wszyscy“ dotyczy ich również.

— Baczność!

Załoga intonuje hymn młodzieży. Ostatnie promienie słońca padają na górne żagle. Niższe żagle i pokład, rozbrzmiewający pieśnią, pozostają już w cieniu. Granica światła przesuwa się wyżej. Promienie słońca prześwietlają już tylko banderę, furkoczącą na wietrze.

Fregata oddala się po zmarszczonej powierzchni morza, migotliwej jak srebrna łuska. Daleko, na horyzoncie, zapada pod falę — kula słońca.

Jan Rojewski

KONIEC

V ZJAZD LITERATÓW POLSKICH

Warszawa 24.VI.1950 — 28.VI.1950

JÓZEF CYRANKIEWICZ

Przemówienie na otwarcie Zjazdu Literatów

Jest rzeczą niewątpliwą, że Zjazd Literatów, rozpoczynający się dzisiaj w Warszawie, jest i powinien być wydarzeniem wybiegającym poza tę salę, poza środowisko pisarzy, poza najbliższe środowiska twórców.

Zjazd pisarzy, zjazd tych, których Stalin w przepięknym i mądrym zwrocie pasował na inżynierów ludzkich dusz, to niewątpliwie sprawa żywo obchodząca nas, posiadaczy tych dusz, to znaczy budowniczych socjalizmu w Polsce, tzn. szerokie masy pracujące, dzisiejszych i jutrzejszych waszych czytelników — to sprawa obchodząca nas wszystkich.

Wydaje mi się, że w takim samym stopniu, w jakim Zjazd poprzez treść swoich obrad uwypukli najściślejszy, organiczny, niewątpliwy związek pisarzy ze sprawami, którymi żyjemy wszyscy, z walkami, które toczy pod przewodem klasy robotniczej cały naród — w takim samym stopniu sprawy wasze, troski wasze, trudności wasze, związane ze specyfiką walki o te same sprawy na waszym terenie, będą troskami i kłopotami nas wszystkich, będą we wspólnej walce przezwyciężane.

Tylko przy takiej jasnej i bezspornej, nie deklaratywnej, ale wewnętrznej jedności Zjazdu z walką, która toczy się w Polsce i na całym świecie, osiągniecie to, że przez wasze wewnętrzne i fachowe obrady przebiegnie ten sam nurt walki ideologicznej, przebiegnie ten sam prąd, który elektryzuje i porywa do wielkich wysiłków milionowe masy ludzkie, który mocniej niż najgenialniejszy dramaturg dramatyzuje dziś wielką walkę ludzkości z barbarzyństwem imperialistycznym, wielką walkę o przyszłość, wielką walkę nowego ze starym, toczącą się i w skali narodów, i w skali klas, i w każdej duszy ludzkiej, a więc na pewno we wrażliwych duszach twórców.

Tylko taka żywa łączność sprawi, że do końca roztopicie w ogniu dyskusji wszystkie szklane klosze pseudo-sztuki dla pseudo-sztuki i ucieczki od rzeczywistości, pod które ten i ów z twórców jeszcze się chowa, jeżeli nie cały, to jeszcze śmieszniej, bo nieraz do połowy, nie zdając sobie sprawy, że w niczym nie przypomina to wyniosłości wieży z kości słoniowej, a podobne jest do usiłowania położenia się żywcem do trumny na znak protestu przeciw życiu, które idzie naprzód, przeciw życiu, które budujemy, albo na znak, że się nie ma sił lub ochoty, by iść z tym życiem, by mu drogę torować, by to życie współtworzyć.

Rozbijając do reszty w ogniu dyskusji te klosze pseudo-neutralności niektórych pisarzy wobec toczącej się walki, rozbijając je nie dlatego, żeby to było jeszcze u nas zjawisko ilościowe, ale dlatego, że jest to wciąż jeszcze zjawisko jakościowe, oddziałujące tak, jak oddziałują nawet ostatnie punkty oporu wroga samym swoim istnieniem na postawę innych i hamujące procesy rozwoju pisarstwa ku postawie społecznej — rozbijając te klosze, zobaczycie w środku albo słabych i zapóźnionych, którym trzeba pomóc, albo czasem emigrantów wewnętrznych lub wrogów, których trzeba zwalczać, albo zobaczycie nicości ideologiczne, na które trzeba czasem postawić krzyżyk. Zobaczycie i potraficie udowodnić, jak więdnie, a czasem gnije twórczość, nie czerpiąca żywotnych soków z życia, pracy i walki, którą przeżywa i w której rośnie naród.

Kontynuując dziś na innym etapie walkę, toczoną przez świadomych twórców na Zjeździe Szczecińskim, na pewno pokażecie, jak rośnie i rozkwita literatura radziecka, którą tworzy socjalistyczne społeczeństwo, i jak z kolei ta literatura kształtuje i rozwija kulturę narodu, postawę narodu, jak buduje nowego człowieka. Na pewno pokażecie i polskie przykłady początków przełomu w naszej literaturze, przełomu widocznego u pisarzy, którzy pogłębiają swą wiedzę o nowym życiu, którzy kształtują swą postawę twórców wraz z tym życiem.

Na pewno zwalczycie do końca poglądy takich nielicznych co prawda pisarzy, którzy uważają, że swoboda twórcza i tak zwany poziom twórczości był gwarantowany, gdy w „Roju" czy u Przeworskiego wydawało się dwa lub trzy tysiące egzemplarzy swojej książki dla wybranych spośród morza nieczytających, a nie jest — według ich zdania — możliwy dzisiaj, gdy milionowe masy, głodne wiedzy, głodne wzruszeń i przeżyć artystycznych, wyciągają ręce po nowe książki, gdy kilkudziesięciotysięczne nakłady nie wystarczają, ażeby zaspokoić ten wspaniały, porywający głód.

Na pewno rozprawicie się do końca z jaśniepańskimi przesądami, jakoby socjalistyczne przeobrażenia i wciągnięcie milionowych mas do świadomego współtworzenia wartości kulturalnych i stawianie przez masy wymagań twórcom groziło obniżeniem lotu tych twórców. Wiemy dobrze, że nie zawsze musiał to być wysoki lot, aby uzyskać poklask u snobów mieszczańskich, w przedwojennej „Ziemiańskiej", albo u Grydzewskiego z „Wiadomości Literackich".

Teraz natomiast wielu pisarzy przeżyło już i w przyszłości przeżyje na pewno, z drżącym sercem, sąd prawdziwych chłonących prawdę o życiu czytelników robotniczych i młodzieżowych ze świetlic i domów kultury.

W swoim przemówieniu wrocławskim w roku 1947 mówił o tym Prezydent Bierut:

„Tęsknoty duchowe i przeżycia wzruszeniowe ludzi pracy szukają z reguły ujścia w głęboko etycznych, społeczno-wyzwoleńczych ideach i obrazach. Oczywiście wysoka, subtelna forma artystyczna wymaga przygotowania, kształcenia, stopniowego rozwinięcia smaku i upodobań, ale odnosi się to w jednakowym stopniu do wszystkich ludzi, któ-

rzy tego przygotowania nie posiadają. Potrzeby psychiczne mas ludowych mają głęboki podkład społeczny, którego źródłem jest odczucie krzywdy, upośledzenia, nierówności, paląca tęsknota ku lepszym, szlachetniejszym i sprawiedliwszym ideałom i formom życia społecznego. Coraz bardziej bowiem dojrzewa w nich świadomość tego, że reprezentują siły postępu kulturalnego, w przeciwieństwie do skostniałych, czy zaśniedziałych starych form kulturalnych tych warstw, które schodzą już z widowni dziejowej. Czynna, twarda i głęboko etyczna postawa duchowa, wysoko uspołeczniony i ofiarny patriotyzm — oto te cechy psychiczne, które kształtują się pod wpływem warunków pracy i bytu mas ludowych. Do tych więc cech i budzących się pod ich wpływem podświadomych potrzeb kulturalnych winni nawiązywać twórcy i wychowawcy, pionierzy i działacze oświatowi, artystyczni, kulturalni."

Jestem przekonany, że Zjazd wasz rozpłomieni wiarę w niewyczerpane, nie dające się wprost wymierzyć kulturotwórcze możliwości socjalizmu.

A gdzież szukać tych kulturotwórczych możliwości i perspektyw rozwoju kultury ludzkiej? Czy tam, gdzie dekadencka, pesymistyczna, antyhumanistyczna, wroga człowiekowi i jego walce o wyzwolenie sztuka, tam — gdzie sztuka ustroju kapitalistycznego kładzie się do grobu, czasem nawet wcześniej, aniżeli ustrój, który ją wydał i w którym się postarzała? Czy tam, gdzie organizuje się i panuje spisek imperialistów przeciw ludzkości i przeciw jej dziejom? Czy tam, gdzie drukuje się takie wiersze, wylęgłe z emigranckiej białogwardyjskiej zgnilizny, jak ten z faszystowsko-katolickiej, paryskiej „Kultury":

„Świat to wielka spiżarnia,
gdzie jestem samotnym szczurem...
Wśród kręgów kolorowego sera,
na skrzyni dawnych ideałów
(skrzynia jest po szampanie Mumm)
powoli szczurzą duszę rozbieram...
Oglądam swe odbicie
w puszce od konserw
i ruszam wąsami
tocząc lekkim pląsem —
myślę, że to jest życie..."

Czy kulturotwórczych możliwości szukać może należy tam, gdzie pozbawia się prawa obywatelstwa Aragona, czy w krajach, z których jest wygnany Pablo Neruda czy Amado, czy w krajach, gdzie w więzieniu siedzą Nazim Hikmet lub Howard Fast?

Nowa kultura nowej epoki, najpowszechniejsza kultura i najwyższa kultura, najgłębiej ludzka i najbardziej humanistyczna zrodziła się w ślad za budownictwem socjalistycznym w narodach, które rozgromiły twórców komór gazowych, w narodach, których Wódz-naukowiec, Wódz-pisarz mówi o inżynierach ludzkich dusz, w narodach, których siła, zwartość i twardość to nadzieja okiełznania imperialistów i pewność zwycięstwa humanizmu.

Nowa kultura rodzi się i tworzy wraz z budownictwem nowego życia w narodzie, którego wódz Mao Tse-tung mówi:

„Rewolucyjni pisarze i artyści Nowych Chin muszą mieć odwagę przeniknięcia w lud i w masy pracujące. Powinni ciałem i duszą, bez zastrzeżeń oddać się ludowi i zaciętej walce, którą on prowadzi i która winna się stać jedynym, potężnym źródłem ich twórczości."

Nowa kultura, wielka, niezwyciężona, młoda kultura, wsparta o wszystko, co najlepsze z przeszłości, rodzi się wraz z budownictwem Socjalistycznej Polski, której Prezydent mówi do twórców:

„Obowiązkiem twórcy, kształtującego duchową dziedzinę życia narodu, jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknotę i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym winno być podniesienie i uszlachetnienie poziomu życia tych mas. Twórczość oderwana od tego celu, sztuka dla sztuki, wynika z pobudek aspołecznych."

Nowa kultura rodzi się wszędzie tam, gdzie rodzi się nowe życie, a z niego nowy człowiek. Rzecz jasna, że kultura nasza, nowa, niezwyciężona, socjalistyczna kultura rodzi się z przemian społecznych i z postawy jej twórców. Rodzić się będzie w tej samej walce o przezwyciężenie starego, jaka toczy się w Polsce, mobilizując naród do realizacji planu 6-letniego, w tej samej walce, jaka toczy się zwycięsko w narastającym ruchu pokoju. Walka o właściwą postawę i o twórczą realizację tej postawy u pisarza, rozpoczęta na Zjeździe Szczecińskim, kontynuowana na naradzie lutowej pisarzy wyjeżdżających w teren — to jest właśnie wasza walka, która rozogni się niewątpliwie i na tym Zjeździe i znajdzie swoje zwycięskie przedłużenie w organizatorskiej pracy związku, a przede wszystkim w waszej pracy twórczej.

Rzecz jasna, że zrobimy wszystko, aby pomóc w tej walce i pomóc w waszej pracy i w waszym wysiłku o dalsze podniesienie rangi społecznej i znaczenia pisarza, jego sytuacji moralnej, materialnej i organizacyjnej.

Chcę was w tym miejscu zapewnić, że możecie liczyć, po wysunięciu waszych postulatów — na pełne poparcie Partii i Rządu we wszystkim, co sprzyjać ma rozwojowi twórczości. Jednym z instrumentów tej pomocy będzie niewątpliwie między innymi i Fundusz Twórczości.

Życzę wam, obywatele pisarze - twórcy, pomyślnych, a ściślej mówiąc, zwycięskich obrad.

Górnicy polscy, gdy podpisywali apel sztokholmski, mówili tak: „Każdą toną węgla służymy budowie socjalizmu i walce o pokój".

Myślę, że w odpowiedzi naszym górnikom i hutnikom, budowniczym Warszawy i włókniarzom, chłopom i inteligentom, w odpowiedzi masom pracującym Polski wy, pisarze, rzucicie hasło literatury polskiej: „Każdą książką, każdym wierszem, każdym utworem i każdym wystąpieniem pisarz polski służy najdumniejszym i najradośniejszym sprawom narodu i ludzkości: budowie socjalizmu, budowie nowego człowieka i walce o pokój."

Józef Cyrankiewicz

Z przemówień powitalnych pisarzy zagranicznych przybyłych na Zjazd Literatów Polskich

Aleksy Surkow (RSFRR):

Nam pisarzom radzieckim, dzięki październikowemu zwycięstwu klasy robotniczej w Rosji, przypadło w udziale wielkie historyczne szczęście być pionierami przyszłej literatury światowej. W ciągu 33 lat swego istnienia literatura radziecka przeszła wiele faz i etapów swego rozwoju w walce z przeżytkami przeszłości, ze skostniałymi tradycjami literatury burżuazyjnej i z anarchicznym indywidualizmem literatów, dokonując rewolucyjnego przejścia od zasady burżuazyjnej: „literatura dla wybrańców" — do socjalistycznej zasady: „literatura dla ludu".

Lubomir Dmiterko (USRR):

Pamiętajcie, że nacjonalizm burżuazyjny i kosmopolityzm — to dwa obrazy potwornego Janusa o podwójnym obliczu. One są jednakowo obce i wrogie, one są przekleństwem narodów. To są najpodlejsi i najbardziej zawzięci najmici krwiożerczych podpalaczy wojennych znad Hudsonu i Tamizy.

Jan Drda (Czechosłowacja):

Oczekuje nas zadanie walki o życie, o rozkwit, o wielki rozkwit wszystkich ludzkich uzdolnień, o ostateczne oswobodzenie narodów, o to, aby wszystkie narody świata stały się jedną szczęśliwą, swobodną rodziną. Zadanie to jest warte tego, abyśmy wszystkie siły nasze skupili, abyśmy ani jednej godziny nie zmarnowali w tej wielkiej walce.

Jorge Amado (Brazylia):

My, pisarze Brazyli, pisarze Ameryki Łacińskiej, rozumiemy doskonale, jakie niebezpieczeństwo grozi nam ze strony imperializmu amerykańskiego. Te siły, które mają za zadanie zniszczyć naszą niepodległość narodową, czynią również wszystko, aby zniszczyć naszą kulturę i literaturę narodową. Te siły, które przygotowują zbrojne wystąpienie, czynią również

wszystko, aby ojczyste, narodowe kultury zamienić na kulturę kosmopolityczną.

Tristan Tzara (Francja):

Walka o pokój, która zmobilizowała nas we Francji, ogarnia z dnia na dzień coraz silniej środowiska intelektualistów. Walce w obronie pokoju przewodzi ruch intelektualistów, który zrodził się na ziemi polskiej, we Wrocławiu. Myśl walki o pokój rzucona przed dwoma laty we Wrocławiu ogarnęła już miliony i setki milionów ludzi. Mnie, członkowi Komitetu Obrońców Pokoju, sekretarz komitetu prof. Aubel polecił pozdrowić Zjazd w imieniu ruchu intelektualistów i powiedzieć wam, naszym przyjaciołom, że jesteście nam bliscy, że jesteśmy z wami i nigdy nie przestaniemy wraz z wami i wszystkimi postępowymi ludźmi świata walczyć o zakaz użycia broni atomowej. Zwalczamy wojnę!

Vladimir Pozner (Francja):

Pisanie nie jest zbrodnią, jeżeli się nawołuje do represji, jak to robią panowie Mauriac i Malraux! Nie jest zbrodnią pisać o bombardowaniu naszych braci w Vietnamie. Ale zbrodnią jest pisać, że dwa razy dwa jest cztery, że pokój jest naszym najcenniejszym dobrem, że lud francuski nie poprowadzi nigdy wojny ze Związkiem Radzieckim!

A więc ja, który do was przemawiam, jestem zbrodniarzem. Z dumą i radością mogę oświadczyć, że nie jestem jedynym tego rodzaju zbrodniarzem we Francji, że coraz liczniejsi są pisarze, którzy dają świadectwo prawdzie.

Samuel Sylen (Stany Zjednoczone A. P.):

Zanim Howard Fast został zamknięty w więzieniu, prosił mnie, abym wam przekazał następujące słowa: „Moi drodzy i dobrzy przyjaciele! Jak wiecie, kocham demokratyczne tradycje mego kraju ojczystego. W moich książkach wyrażałem te tradycje walki z opresją. Pisałem o wspaniałych walkach o narodową niepodległość w czasach amerykańskiej rewolucji, o walkach ludu murzyńskiego o wyzwolenie, o walce amerykańskich robotników przeciwko eksploatatorom. Dlatego rozumiecie, że z głębokim bólem widzę ciągłą zmianę naszych pięknych tradycji i zmiany naszego kraju na państwo policyjne. W tych dniach zimnej wojny prowadzonej przez amerykańskich imperialistów być więźniem politycznym, to nie jest już fakt nadzwyczajny, ale to jest fakt historyczny naszych czasów."

Zoltan Zelk (Węgry):

Zamiast powitalnego przemówienia pragnę złożyć przyrzeczenie: każdym napisanym słowem, każdym wierszem walczyć będziemy o lepsze jutro.

o sprawę wspólną wielkiego obozu pokoju, na czele którego stoi Związek Radziecki. To jest nasz program, to jest nasza ars poetica.

Dymitru Corbca (Rumunia):

Narody nasze powiedziały mocno i stanowczo klasie burżuazyjnej: przyszedł na was sąd ostateczny — jak w tym duchu powiedział 100 lat temu wielki poeta Adam Mickiewicz klasie, która nie przeżyła.

Bodo Uhse (Niemiecka Republika Demokratyczna):

Przed laty miałem szczęście razem z innymi kolegami niemieckimi walczyć przy boku bohaterskiego i uwielbianego przez nas wszystkich generała Waltera-Świerczewskiego, broniącego wolności w okopach Hiszpanii.

Dzisiaj walka o pokój łączy nas w jeden wielki obóz.

ADAM WAŻYK

Perspektywy rozwójowe literatury polskiej

Referat wygłoszony na V Zjeździe Literatów Polskich

W chwili kiedy odbywa się V Zjazd Delegatów Związku Literatów w odrodzonej Polsce, masowy ruch obrony pokoju ogarnia wszystkie kraje. Polska klasa robotnicza, masy pracujące — cały naród pochłonięty jest intensywną pracą nad realizacją planu sześcioletniego. Te dwa historyczne zadania — obrona pokoju przed podpalaczami świata i przekształcenie oblicza naszego kraju, jego gospodarki i kultury, powinny kierować myślą literacką na naszym Zjeździe. I nie tylko na Zjeździe. Powinny wyznaczać kierunek codziennej pracy pisarzowi polskiemu, jeśli chce sprostać zadaniom swoich czasów.

Po raz pierwszy od czasu wyzwolenia kraju zjeżdżamy się na obrady do Warszawy. Nie ma chyba Polaka, którego by nie cieszyła, nie urzekała nowa uroda Warszawy dźwigniętej z gruzów wysiłkiem wyzwolonej pracy. Pełnia i harmonia tej urody ukaże się po realizacji planu sześcioletniego. Już dzisiaj jednak wyłaniają się zarysy nowej socjalistycznej stolicy, która nie tylko szanuje piękne zabytki przeszłości, ale potrafi je uwydatnić. Warszawa, rozszerzająca swoje perspektywy dla wchłonięcia nowego stylu życia, równocześnie wiąże swoją urodę z najlepszymi tradycjami przeszłości. Obraz nowej Warszawy wskazuje, czego bronimy — broniąc pokoju. Bronimy milionów istnień ludzkich, którym grozi zagładą garstka rozwścieczonych imperialistów. Bronimy tego wszystkiego, czego już dokonał w ciągu pięciu lat pokoju naród prowadzony przez klasę robotniczą i tego wszystkiego, czego ma w przyszłości dokonać. Bronimy naszej perspektywy rozwojowej, która prowadzi do ostatecznego uwolnienia naszego kraju od wyzysku człowieka przez człowieka, do wyzwolenia wszystkich sił twórczych, do postępującego rozkwitu życia materialnego i kulturalnego. Walka o pokój światowy łączy się dla nas nierozerwalnie z walką o rozkwit życia narodowego.

Niedawno Prezydent Bierut mówił:

„Walka o dalszy rozwój państw, które zbudowały socjalizm, lub też budują jego zręby, walka klasy robotniczej narodów wyzyskiwanych przez kapitalizm, walka narodowo-wyzwoleńcza krajów kolonialnych i walka o suwerenność narodów zagrożonych przez ekspansję amerykańską łączy się w jeden nurt walki przeciwko ciemnym siłom wojny. Każdy cios wymierzony w tej walce uderza w siły imperializmu i wojny, przybliża zwycięstwo trwałego pokoju na całym świecie."

W szerokiej akcji obrony pokoju literaci brali i biorą pokaźny udział. Jednodniówka w obronie pokoju wydana 1 maja skupiła ogół literatów. Działalność publicystyczna bynajmniej jednak nie wyczerpuje zadań literatury polskiej w dzisiejszej chwili historycznej. Walka ideologiczna o pokój i przyszłość kraju powinna stać się osnową twórczości literackiej, pracy poetów, powieściopisarzy, krytyków. W twórczości literackiej walka ta przybiera rysy konkretne w zależności od podejmowanych tematów. Dla przykładu wystarczy przytoczyć sztukę Leona Kruczkowskiego „Niemcy", która poważnie przysłużyła się sprawie pokoju na konkretnym odcinku. Sztuka ta dokonała więcej, niż dokonać by mogły dziesiątki artykułów i przemówień, przygotowała świadomość tysięcy widzów polskich do ufności w odrodzenie się niemieckich sił demokratycznych, które są przecież ważnym, a dla nas szczególnie cennym ogniwem we froncie pokoju. Ale każdy utwór ukazujący rozwój naszego życia na konkretnych odcinkach, rozwój nowego człowieka w setkach i tysiącach ludzi — sam przez się jest wkładem do sprawy pokoju, bo uczy cenić te dobra, które imperialiści chcieliby zniszczyć, wzmacnia patriotyzm ludowy i wolę pokoju.

Stąd wynika i podstawowa orientacja dla krytyki literackiej. Krytyka powinna stawiać w centrum rozważań znaczenie społeczne utworu w naszej konkretnej sytuacji historycznej i rozwojowej. Utwory, które pomagają w walce o pokój i w walce o budowę podstaw socjalizmu w Polsce — mają znaczenie przodujące w rozwoju naszej literatury. Wartość poznawcza utworu literackiego nie może być oceniana ze stanowiska obiektywizmu właściwego krytyce burżuazyjnej. W walce o przyszłość nie istnieje obojętna prawda o człowieku, jego życiu i losie, każda prawda jest namiętna i polityczna. Prawdziwą wartość poznawczą i moralną utworu literackiego poznaje się po sile mobilizującej do walki o pokój i przyszłość.

Obóz pokoju skupia się dokoła Związku Radzieckiego, promotorem obrony pokoju w każdym kraju jest klasa robotnicza. Siły wojny, siły imperializmu we wszystkich dziedzinach ideologii starają się podkopać obóz pokoju, rozproszyć siły klasy robotniczej, zdusić godność narodową, która zawadza dążeniom imperialistycznym.

Ideologicznym wykładnikiem zamachu na suwerenność i godność narodową jest koncepcja kosmopolityzmu w polityce i kulturze. Koncepcja uniwersalnej jakoby kultury, oderwanej od tradycji narodowych, od podłoża ludowego, z którego czerpie twórcza postępowa kultura każdego kraju, najbardziej dogadza imperialistom amerykańskim.

Na rzecz kosmopolityzmu działają u nas zadawnione grzechy naszej polonistyki, która ciągle czapkowała przed kulturą zachodnio-europejską, fałszywie przedstawiając nam Renesans polski, Oświecenie i Romantyzm polski; działają koncepcje literackie z lat przedwojennych, oderwane od podstawowych dążeń ludu, zrodzone z kryzysu kultury burżuazyjnej w okresie imperialistycznym. Dogodną pożywką dla kosmopolityzmu stają się idealistyczne koncepcje kultury oderwane od podłoża materialnego i od rzeczywistej historii narodu.

Arsenał imperializmu — to nie tylko agresywne ideologie, wyrażające bezpośrednio złowrogą antyhumanistyczną treść ciemnych sił wojny. Koncepcje literackie, których wspólnym mianownikiem jest antyrealizm, wyhodowane w latach przedwojennych, podtrzymywane obecnie sztucznymi zastrzykami idealistycznej spekulacji myślowej, stają w poprzek literaturze postępowej walczącej o pokój i przyszłość. Koncepcje te spełniają rolę dywersyjną, wcale niedwuznaczną. Dla ciemnych sił imperializmu dobre jest wszystko co ciemne — wszystko co zaprzecza prawom rozwoju społecznego, co odwraca człowieka od perspektyw rozwojowych, co wtrąca go w mrok samotnictwa i niewiedzy, co gasi wiarę w człowieka. Dobry jest ekspresjonizm, bo zamiast szukać prawdy w poznaniu rzeczywistości, szuka jej w chaosie doznań i przeżyć egzaltowanej jednostki i podaje tę egzaltację za miarę wszechrzeczy. Dobry jest płaski empiryzm, bo ma pozory rzeczowości, mówi o poznaniu i obserwacji świata, aby przeciwstawić materializmowi dialektycznemu karykaturę poznania. Dobry jest formalizm, bo ignoruje treść i wartość poznawczą sztuki, odbiera jej zdolność do walki o wartości życia. Dobre są wreszcie oderwane, zawieszone w próżni, odizolowane od rozwoju życia dramaty zasad moralnych, które dzieją się nigdy i nigdzie: mówią przecież o sprawach moralnych, ale mówią o nich niezależnie od tego, w jakim świecie będziemy żyli, czy w świecie sponiewieranym przez bankierów amerykańskich, czy w tym świecie postępu, który w fazie komunizmu chce dać ludziom chleb bezpłatny, i na pewno da go — na pozgonne bankierom.

Znamy literaturę, która ściśle uczestniczy w rozwoju życia swego kraju, która mobilizuje świadomość pracującego narodu, uczy i buduje. — Jest to literatura radziecka. W powieści, w teatrze, w kinematografii radzieckiej znajdziemy rozmaite tematy — historyczne i współczesne. Pisarze radzieccy starają się o to, aby czytelnik mógł głębiej wniknąć w przeszłość, ugruntować wiarę we własne siły, pogłębić swój patriotyzm ludowy i wiarę w postępowe siły innych narodów, ukazują mu procesy rozwojowe nowego człowieka, stawiają przed czytelnikiem wzór człowieka i równocześnie uczą go rozstrzygać zagadnienia socjalistycznej pracy. Ta funkcja poznawcza i wychowawcza literatury radzieckiej opiera się na jasno założonej ideowości sztuki, na marksistowsko-leninowskiej tezie o literaturze, jako kierunkowym odbiciu rzeczywistości, na ścisłej łączności pisarza z praktyką społeczną. Siła jej oddziaływania społecznego rośnie w miarę jak literatura radziecka coraz lepiej i szerzej opanowuje metodę realizmu socjalistycznego.

Na poprzednim naszym zjeździe, odbytym w Szczecinie, po raz pierwszy wysunięty został postulat opanowania metody realizmu socjalistycznego i omówione były podstawy tej metody. Nie mamy jeszcze w naszej produkcji powieściowej i scenicznej utworów, które moglibyśmy z tego stanowiska uważać za dojrzałe, ale w ciągu tego czasu znakomita większość literatów polskich zaczęła orientować się w tym kierunku, próbuje opanować metodę realizmu socjalistycznego, bo wi-

dzi w tym jedyny słuszny drogowskaz dla pisarza, który chce uczestniczyć w rozwoju naszego życia. Dokonała się wyraźna zmiana orientacji. Złożyło się na to kilka czynników. Po pierwsze — na wszystkich odcinkach życia potwierdziła się zdecydowana dążność do budowy socjalizmu w Polsce. Wysiłek polskiej klasy robotniczej promieniujący na masy pracujące poruszył także pisarzy. Po wtóre — jasno postawiony na Zjeździe Szczecińskim postulat realizmu socjalistycznego wskazał literatom kierunek poszukiwań. Po trzecie — zdążyliśmy się w ciągu tego czasu bliżej zaznajomić — chociaż jeszcze niedostatecznie — ze sztuką radziecką. Fakt, że przekłady powieści radzieckich osiągnęły u nas ogromne nakłady, że teatr i film radziecki spotykają się z gorącym uznaniem ludowego widza w Polsce, musiał zastanowić każdego uczciwego literata i artystę. W czym tkwi tajemnica masowej atrakcyjności tej sztuki zrodzonej z metody realizmu socjalistycznego? Uczciwy literat i artysta musiał dojść do wniosku, że widocznie ta metoda artystyczna potrafi dać ludowi upragnioną przez niego, budującą i kształcącą prawdę. Równocześnie bliższe zaznajomienie się ze sztuką radziecką rozproszyło uprzedzenia i obawy, czy aby realizm socjalistyczny nie niszczy rozmaitości stylów i form artystycznych. Literaci i artyści mogli się przekonać, że metoda ta pozwala na swobodę form i stylów, jeśli służą idei i dobrze jej służą.

Na Zjeździe Szczecińskim była mowa o warsztacie pisarskim, o konieczności zmiany tego warsztatu, ale mówiliśmy także o tym, że decydujący wpływ na warsztat pisarza wywiera jego postawa wobec rzeczywistości. Od tego czasu postępy demokracji ludowej w Polsce oddziałały na postawę wielu pisarzy. Obecnie możemy śmiało powiedzieć, że istnieją wszelkie obiektywne przesłanki do skruszenia w każdym postępowym pisarzu polskim ostatnich redut samotnictwa, ostatnich przegródek izolujących go od nurtu życia społecznego. Ale trzeba sobie także powiedzieć, że postawa pisarza nie jest pojęciem biernym, tym pojęciem, za jakie często w środowisku pisarskim uchodzi. Nie można sprowadzać postawy pisarza do postawy życzliwego obserwatora. Bez uczuciowego zainteresowania historycznymi procesami, które rozwijają się w kraju, bez żywego w nich udziału, bez zbliżenia się do praktyki społecznej, bez zacieśnienia więzi z postępowym nurtem życia, jego sumienie pisarskie może się okazać bezpłodne, jego postawa — skamieliną. Jeśli jest poetą, nie potrafi przywołać konkretnego obrazu, jeśli jest powieściopisarzem, nie zdoła ogarnąć człowieka w jego dzisiejszym rozwoju, jeśli jest dramaturgiem, nie odszuka istotnego konfliktu. Jego metoda pisarska nie będzie twórcza. Realizm socjalistyczny nie może się pomyślnie rozwijać bez aktywnej ideowej i uczuciowej postawy pisarza, bez łączności z praktyką społeczną.

Czy poza metodą realizmu socjalistycznego istnieje jakikolwiek inny system, jakakolwiek teoria, która mogłaby pociągnąć dzisiejszego pisarza Polski Ludowej? Złudzenia, jakoby taki system filozoficzno-estetyczny mógł istnieć, dla znakomitej większości pisarzy polskich i dla całej prawie młodzieży literackiej ostatecznie prysły. Koncepcja

personalizmu, która miała być przydatna niektórym literatom w ich pracy dla Polski Ludowej, okazała się dosyć przejrzystą osłoną dla pozostałości tendencji wytwarzanych w kulturze przez burżuazję w okresie imperialistycznym. Od czasu do czasu w „Tygodniku Powszechnym" w rozważaniach literackich Stefana Kisielewskiego zjawiają się argumenty antyrealistyczne, od płaskiego empiryzmu, który widzi świat w karykaturze i bezruchu, do formalizmu, który nie poniża się do patrzenia na świat. Argumenty te nie tworzą i nie mogą tworzyć żadnego systemu myśli. Co ma płaski empiryzm wspólnego z wiarą religijną, co ma z nią wspólnego formalizm, Bóg raczy wiedzieć. Obrona płaskiego empiryzmu, formalizmu, oderwanego dramatu zasad moralnych jest po prostu obroną estetyki burżuazyjnej z okresu imperializmu. Tym samym celom służą idealistyczne koncepcje kultury. Opóźniają rozwój nowej literatury, na którą czeka człowiek pracujący, działają hamująco na poszczególnych pisarzy. Odrywają ich od postępowego nurtu życia, od uczestnictwa w życiu narodu. Mogą więc wyrządzić wiele szkód: wyjałowić niejednego pisarza. Ogólnego procesu rozwoju świadomości literackiej, tego nieuchronnego procesu — odwrócić nie zdołają.

*

Zastanawiając się nad perspektywami rozwojowymi produkcji literackiej, trzeba zwrócić uwagę na to, że nowa kultura, ludowa, socjalistyczna — nie przyjmuje ani tej hierarchii gatunków, ani tych ograniczeń, do których doszła kultura burżuazyjna. „Pan Tadeusz" był ostatnim wielkim poematem epickim w literaturze narodów europejskich. Treść życia w świecie kapitalistycznym i okaleczenie zainteresowań artystycznych nie sprzyjało dalszemu rozwojowi epiki poetyckiej. Kultura socjalistyczna postuluje odrodzenie epiki lub poematów o elementach epickich. Należy o tym mówić dlatego, że wśród poetów polskich trwa jeszcze zakorzenione uprzedzenie pochodzące ze schyłkowej estetyki burżuazyjnej, przesąd, jakoby te gatunki twórczości nie mogły się rozwijać.

Na razie poza „Kwiatami polskimi" Juliana Tuwima nie mamy innych poważniejszych prób wielkiego poematu o elementach epickich. Chociaż nie jest to utwór skończony, to jednak zawarte w nim obrazy z lat poprzedzających pierwszą wojnę imperialistyczną pozwalają wysnuć pewne wnioski pouczające dla poetów. Podstawowe zasady realizmu są te same dla poezji co dla prozy, niezależnie od różnicy formy i operowania słowem. Tak samo poeta jak prozaik, nie osiągnie prawdziwie realistycznego obrazu życia w świecie kapitalistycznym, obrazu zwróconego w przyszłość, jeśli u podstaw jego złoży doświadczenie drobnomieszczaństwa danego okresu. Warunkiem osiągnięcia realistycznego obrazu jest oparcie się na doświadczeniu klasy postępowej i jej przodującej części.

Wielu poetów u nas zastanawia się nad tym, czym ma być liryczna strona realizmu socjalistycznego. Nie traktujemy liryki jako jakiejś

odrębnej kategorii estetycznej, ograniczającej zakres treści. Jeśli powiadamy, że powieść i epika powinna dawać obraz formującego się w naszych oczach nowego człowieka, człowieka socjalizmu, to rzecz jasna, że liryką dla nas będzie wyraz uczuć tego człowieka, przede wszystkim jego uczuć związanych z walką i pracą. Jeśli zabraknie w naszej poezji prawdy uczuć powszechnych, właściwych ludziom budującym socjalizm, będzie to poezja obca ludowi.

Mówiąc o dzisiejszej poezji polskiej należałoby wymienić długi szereg nazwisk starych i nowych. Będę je wymieniał tylko przykładowo. W okresie, który dzieli nas od Zjazdu Szczecińskiego, zwłaszcza w ostatnich miesiącach zaznaczył się ogólny postęp w rozwoju świadomości ideowo-politycznej. Świadczą o tym ostatnie wiersze Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego, wiersze Jarosława Iwaszkiewicza zwrócone przeciwko imperializmowi, jak również niektóre wiersze Miłosza. W poezji Tadeusza Różewicza dokonał się zdecydowany zwrot ideologiczny. Warto zastanowić się nad ostatnimi wierszami Stanisława Piętaka. Ten poeta związany silnymi więzami uczuciowymi z pracującym chłopstwem, nie skażony ideałami posiadaczy wiejskich, nie mógł opanować w swojej poezji stałej nuty zgryzoty, która pochodziła z poczucia sprzeczności między wsią a miastem. Zacieśnienie sojuszu robotniczo-chłopskiego, ruch socjalistycznej rewolucji na wsi przejaśnił ideowo poezję Piętaka, wpłynął również na postawę innych poetów związanych z terenem chłopskim.

Znamienne procesy można zaobserwować w twórczości poetów o wykrystalizowanej postawie ideologicznej. Głębokie zżycie się ideowo-uczuciowe z całokształtem rozwijającej się nowej rzeczywistości, o którą Broniewski walczył w swojej poezji rewolucyjnej w latach naporu reakcji i faszyzmu, doprowadziło do ponownego rozkwitu jego siły artystycznej po przejściowym okresie osłabienia warsztatu poetyckiego. Poezja Mieczysława Jastruna w ostatnich wierszach jak „Stacja Majakowski", „Oda majowa" i innych odzyskuje jasną treść ideowo-polityczną. Był czas, w latach 1946—1948, kiedy jego humanizm tracił konkretne oblicze i groziło mu roztopienie się w jakimś ogólnikowym, wieloznacznym, w gruncie rzeczy burżuazyjnym pseudo-humanizmie. Proces wydobywania się z tego kryzysu jest bezpośrednio związany ze wzmocnieniem postawy ideowej.

Dla ilustracji tego ruchu naprzód — podam jeszcze przykład Leona Pasternaka, poety o dawno wyklarowanej postawie rewolucyjnej. W poezji Pasternaka z lat ostatnich idee rewolucyjne często traciły konkretną treść, przybierały jakąś postać kosmiczną, a równocześnie wiersze te pobrzmiewały nutą osobistego rozgoryczenia: w ostatecznym rachunku wszystko to nie było niczym innym, jak osłabieniem więzi z rewolucyjnym nurtem klasy robotniczej. W ostatnich wierszach Pasternak wzmocnił w sobie tę więź, wiersze jego zyskują na konkretności i równocześnie poeta ulepsza swój warsztat, silniej opierając się na tradycji poetyckiej. Natomiast rozluźnienie więzi z postępowym nurtem życia odbiło się na poezji Stanisława Jerzego Leca.

W wierszach z ostatniego okresu, we wspomnieniowych motywach partyzanckich Lec stara się politycznie pogłębić obrazy tej walki ludowej, w której brał udział, ale słownictwo, forma poetycka, jego warsztat mącą te zamiary. W czym tkwi tajemnica tego rozdźwięku, co przeszkadza mu wypłynąć na szeroki nurt liryki rewolucyjnej? Odpowiedź na to dają nam inne wiersze Leca, wiersze z podróży — niepokonane do ostatka sentymenty do starego zmurszałego świata, do kultury burżuazyjnej, do ozdobnych i filigranowych form jej schyłkowych formacji.

Na znacznej części poezji wyrażającej idee postępowe ciążą skłonności do estetyzowania, wpływy poetyki neoromantycznej, rozmaitych filiacji tej poetyki z lat międzywojennych. Widzimy to u Słobodnika, u Aleksandra Rymkiewicza, podobne manieryzmy krytyka literacka wytknęła ostatnio Tadeuszowi Kubiakowi. Na niektórych młodych poetach, którzy przyjęli zasadę ideowości poezji, ciążyły przez długi czas skłonności antyestetyczne — brutalizowanie wyrazu poetyckiego, epatowanie mieszczucha zadziornym językiem i wymyślnymi skojarzeniami, które doprowadzały idee socjalistyczne do karykatury.

Dyskusja na łamach czasopism literackich wniosła wiele światła do sprawy nowej poezji zaniedbanej przez krytykę. Nie wyczerpała sprawy, bo niepodobna jej wyczerpać w jednej dyskusji. Można prowadzić dalej i pogłębiać dyskusję, opierając się na osiągniętych wynikach, ale nie można udawać, że dyskusji w ogóle nie było i na nowo forsować karykatury idei socjalistycznych jako wybitne osiągnięcia poezji.

Czy mówimy o estetyzmie czy antyestetyzmie, w ostatecznym rachunku rzecz sprowadza się do stopnia dojrzałości ideowej i do więzi z postępowym nurtem życia. Im mniejsza dojrzałość ideowa, im słabsza więź z postępowym nurtem, tym łatwiej te naloty nadgryzają poezję. Tendencje na pozór przeciwstawne mogą współżyć i grać ze sobą utrzymując stan niedojrzałości ideowej. Manifestacją takiej poezji są „Obrączki ślubne" Gałczyńskiego. W tych wierszach poeta rzeczywiście deklaruje się po stronie demokracji ludowej, po stronie socjalizmu, ale na dowód — rozkłada nam przed oczami zdemolowany kramik mieszczańskiego inteligenta. Czego tam nie ma? Jest lamus szlacheckiego baroku z antycznymi bogami, pstrokacizna cudzoziemskich słówek, wyprzedaż całej neoromantycznej starzyzny poetyckiej, cygańskie antyfilisterskie facecje, a spoza tych facecji naraz wyłania się z wierszy Gałczyńskiego filisterski kącik z koteczkiem i firankami. Wszystko to prosi się o zestawienie ze znakomitym wierszem Majakowskiego:

„Czerwona ramka
Marks na ścianie.
Kot się ociera o Izwiestia stare.
A pod sufitem
Piszczy nieustannie
Rozwydrzony kanarek."

Słuszniej by było, gdyby Gałczyński ukręcił łeb temu rozwydrzonemu kanarkowi, który zagnieździł się w jego wierszach. Oczyszczenie poezji ze smaczków i pięknostek burżuazyjnej poetyki z czasów imperializmu, ze skłonności formalistycznych i tradycji zepsutego baroku staje się pilnym zadaniem poetów i krytyków literackich. Nie można tego dokonać bez podniesienia świadomości ideowo-politycznej. W pracy literackiej dojrzałość ideowo-polityczna jeśli nie decyduje o wszystkim, to jednak decyduje o rzeczy zasadniczej, o przydatności społecznej utworu. Tylko poezja jasnych, klarownych idei może dotrzeć do ludu i uczestniczyć w jego pracy.

Czy znaczy to, że nie powinniśmy zwracać uwagi na jakość artystyczną tej poezji, na jakość produkcji dawanej masom pracującym? Mamy w ostatnich czasach wiele utworów politycznie słusznych, wyrażających idee demokracji ludowej i socjalizmu — nie wszystkie możemy uważać za wybitne. Niektóre wiersze są literacko ubogie, werbalistyczne, ograniczają się do retoryki, do deklaracji, nie mogą przywołać żywszego, konkretnego, sugestywnego obrazu czy trafnego uogólnienia. Wtedy też wersyfikacja staje się mechanicznym nawykiem, wbijaniem treści w techniczną formułkę bez uzasadnienia artystycznego.

Forma poetycka nie jest kwestią estetycznego kanonu. Tak mogą sądzić tylko formaliści. Forma jest kwestią przystosowania wyrazu poetyckiego do treści — i w tym sensie jest kwestią wyboru. A wybór odbywa się zawsze w zależności od tradycji narodowej, co nie oznacza wcale, abyśmy mieli wpadać w niewolniczą zależność od tradycji, w jakieś tradycjonalistyczne ograniczenie naszych możliwości. Wciągnięcie się w nową treść życia powinno uchronić poetę przed hamującymi czynnikami tradycji, ale nie można tworzyć nowych wartości kultury ludowej i socjalistycznej bez oparcia się na kulturze dawnej, bez przyswojenia sobie, krytycznego przyswojenia — dobrych tradycji kultury narodowej.

Poeta musi znaleźć dla nowej treści odpowiednią formę, która przemówi do narodu. Zarówno zaniedbanie formy poetyckiej u jednych, jak i brak spoistości treści, brak dojrzałego wyrazu poetyckiego u innych (dotyczy to przede wszystkim pracy młodych poetów) pochodzi w dużej mierze z niewłaściwego ustosunkowania się do tradycji. Nie jest to tylko winą poetów. Sprawa stosunku do tradycji nie była stawiana u nas jasno i konkretnie przez krytyków i badaczy literatury. Burżuazyjna polonistyka konserwowała adorację dla Młodej Polski, neoromantyzmu, symbolizmu, dla schyłkowej poezji okresu imperialistycznego, konserwowała kult Kasprowicza i Wyspiańskiego. Nie tutaj szukamy dobrych tradycji naszej poezji. Nie szukamy jej także w Asnyku. Poza wierszami ludowymi Konopnickiej okres ten dał nam wątłe dziedzictwo poetyckie, zbyt wątłe, aby mogły się kształcić na nim młode siły. Dla Polski Ludowej zawsze będzie droga poezja, która wyrażała walkę proletariatu, są to wiersze i pieśni przypieczętowane krwią najlepszych przedstawicieli klasy robotniczej, którzy oddali życie za nasz dzień dzisiejszy. Byłoby przecież zubożeniem poezji

dzisiejszej i jutrzejszej, gdybyśmy nie opierali jej na szerokiej bazie postępowego dziedzictwa polskiego Renesansu, realistycznych osiągnięć XVII wieku, przede wszystkim zaś na poezji Oświecenia i bujnym rozkwicie polskiego Romantyzmu. Dawna poezja pochodziła z innego doświadczenia społecznego niż nasza, ale zawiera w sobie cenne zasoby postępowego humanistycznego dziedzictwa. Przy krytycznym jej ujęciu dzisiejszy poeta znajduje w niej również wskazówki do pracy nad tworzywem językowym, nad uściśleniem wyrazu poetyckiego.

Zatrzymałem się dłużej nad naszą poezją dlatego, że na poprzednim zjeździe mało mówiliśmy o niej i że krytyka literacka przez długi czas zaniedbywała poezję. Tak samo jak do poezji, nowe siły napłynęły i do prozy. Pierwsze próby poruszenia współczesnych tematów, próby przedstawienia dzisiejszych procesów życia pochodziły z początku od debiutantów albo literatów stawiających pierwsze kroki. Może brakło im doświadczenia literackiego, ale za to wykazali inicjatywę dając przykład innym. Obecnie mnożą się oznaki podejmowania tych tematów nie tylko przez debiutantów. Świadczą o tym nowele Wygodzkiego, Borowskiego, rozpoczęte powieści Andrzejewskiego, Dygata i innych.

Do wybitniejszych pozycji publicystyczno-literackich, służących sprawie pokoju, należą „Spotkania włoskie" Mariana Brandysa oraz „Opowiadania z książek i gazet" Tadeusza Borowskiego. Książka Borowskiego, oskarżająca imperializm i jego zwyrodniałą kulturę, ma niewątpliwie wadę zbyt wyszukanej argumentacji, zbytniego wysmakowania tematu, ale stanowi ważny etap w rozwoju ideowo-politycznym młodego pisarza i pozwala się spodziewać, że Borowski z taką samą pasją potrafi chwytać postępowe procesy życia w obozie pokoju.

Szkice literackie Konwickiego „Przy budowie" ukazują nowy styl pracy na odcinku budownictwa. Szkice Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę" na konkretnym materiale w dojrzałej formie literackiej pokazały zagadnienia przebudowy gospodarczej wsi polskiej i były jednym z tych utworów, które znalazły bezpośrednie echo na wsi w zainteresowanym środowisku. Z natury rzeczy szkic literacki nie daje rozwiniętego artystycznie pełnego obrazu człowieka. Obrazu takiego oczekujemy od powieściopisarzy i dramaturgów.

Wielotomowa powieść Gałaja, jeszcze nieukończona, obrazuje zmiany gospodarcze, walkę klasową, rozwojowe procesy świadomości na wsi polskiej. Na tle klasowego rozwarstwienia wsi powieść Olchy „Most nad urwiskiem" ukazuje awans społeczny chłopki pracującej — w pierwszych latach demokracji ludowej. Autorom nie udaje się jeszcze ująć materiału w artystycznie skomponowany obraz, powieści te nieraz grzeszą rozwlekłością, ale wykazują słuszny kierunek obserwacji.

Piętno schematycznego traktowania konfliktu i ludzi w sztuce Dybowskiego „Zapora", schematyczny krój postaci w nowelach Kowalewskiego mówi o głównej trudności, z jakimi borykać się muszą pisarze zdążający do realizmu socjalistycznego. Potrzebna jest gruntowna znajomość środowiska, materiału ludzkiego. Konieczne jest i to, aby pisarz przestał widzieć w robotniku z góry daną formułkę polityczną,

a zaczął w nim widzieć człowieka. Trudności te w dużej mierze pokonał Wilczek w powieści „Nr 16 produkuje".

W ostatnich miesiącach powstało wiele sztuk teatralnych na tematy współczesne. Przeważnie znamy je z urywków. Jest również kilka scenariuszy filmowych. Utwory te zaczynają docierać do kluczowych zagadnień i ujmować je w sposób konkretny. Kluczowe sprawy wsi polskiej porusza scenariusz filmowy pod tytułem „Gromada". Sztuki Pasternaka i Rojewskiego traktują o walce racjonalizatorskiej w przemyśle. Sztuka Gruszczyńskiego stawia sprawę braku czujności, pojednawczego stosunku kierownika fabryki do szkodnictwa gospodarczego. Sprawa ta jest potraktowana jako jedno z zagadnień wrastania starej inteligencji w nową rzeczywistość. Ile razy to zagadnienie zjawia się w naszych utworach literackich, autorom grozi rozproszenie się w ogólnikowej inteligenckiej polemice na temat nowego życia. Zdając sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa Dygat i Kott w sztuce „Nowy Świętoszek" próbowali na wszelki wypadek okupić brak konkretnego materiału obserwacyjnego konwencjonalistycznym założeniem, przyjmując fabularny schemat molierowskiej komedii.

Na podstawie obfitego materiału sztuk teatralnych zgłoszonych do Ministerstwa Kultury i Sztuki, niedawno w „Nowej Kulturze" Jerzy Pański wskazał przykładowo na niebezpieczeństwa wynikające z powierzchownego traktowania tematu. Uwagi te można odnieść również do prozy powieściowej i do scenariuszy filmowych. Często więc powraca schemat szabrownika występującego obecnie z reguły w roli agenta obcego wywiadu, powraca uproszczony i często jednakowy schemat konfliktu opartego o problem techniczny, a nie popartego dostateczną znajomością danej gałęzi produkcji. Najbardziej jednak niepokoi — jak to spostrzega Pański — przebłyskujące tu i ówdzie przeświadczenie, że moralność socjalistyczna wymaga tłumienia zwykłych, zdrowych odruchów ludzkich, że współczucie dla cierpienia jest słabością i burżuazyjną filantropią, że teoretyczne założenia socjalistycznego systemu moralnego prowadzą do innych wyników niż proste umiłowanie człowieka pracy.

Chciałbym do tego dodać, że to opaczne wyobrażenie o moralności socjalistycznej niektórzy autorzy usiłują skonkretyzować w ten sposób, że dopatrują się konfliktu między pracą człowieka a jego życiem rodzinnym. Tam zebranie produkcyjne — a tutaj żona ciągnie do domu. Tam prelekcja — a tutaj chore dziecko... Wiadomo, że nowe formy życia gospodarczego i społecznego pochłaniają wiele czasu, ale obowiązki przyjmowane przez przodowników pracy, racjonalizatorów, aktywistów związkowych i partyjnych są nieodzowną częścią awansu społecznego. Zestawienie tych obowiązków z rozmaitymi wypadkami życia rodzinnego nie może stanowić centralnego konfliktu sztuki socjalistycznej.

Te pomyłki i nieporozumienia sygnalizują niski poziom ideowy. Dobra znajomość danego odcinka życia, danego środowiska jest dla rozwoju literatury socjalistycznej warunkiem koniecznym, ale wcale nie

wystarczającym. Równie koniecznym warunkiem jest podniesienie świadomości ideowej literatów na odpowiedni szczebel, z którego otrzymają właściwą perspektywę na procesy rozwojowe życia, tak aby mogli uchwycić rzeczywiste konflikty i stosować słuszną miarę moralności socjalistycznej.

Odczytywanie konfliktu między nowymi a starymi formami świadomości dzisiejszego człowieka określa postępową tendencję powieściopisarstwa i dramaturgii wchodzącej w problematykę współczesnego życia. Walka między nowymi a starymi formami świadomości odbywa się nie tylko w kopalni, przy warsztacie, przy traktorze. Klasa robotnicza, jak to określił prezydent Bierut, promieniuje na wszystkich ludzi pracy. Wszystkie środowiska pracujące stają się terenem tej walki. Wiemy doskonale, jak żywa walka między starymi a nowymi formami świadomości toczy się w samych literatach. Adolf Rudnicki w opowiadaniu „Pałeczka" wprowadził środowisko literackie. O potrzebie nowej świadomości pisarskiej, o potrzebie nowej literatury dowiadujemy się tu z paru deklaracji, gdy tymczasem całe opowiadanie przedstawia tylko obraz zastoju i mówi nam wyłącznie o procesach gnilnych. Czy w ciągu pięciu lat rzeczywiście nic się nie zmieniło w środowisku literackim, nic się nie dokonało? Czy żyliśmy tylko deklaracjami? Na tle wszystkiego, o czym mówimy, na tle wysiłków pisarzy, wysiłków ułomnych, niekonsekwentnych, nie zawsze poradnych, ale przecież przeważnie skierowanych we właściwym kierunku rozwojowym, widać, jak nieprawdziwy jest ten ponury obraz środowiska literackiego wysnuty przez Adolfa Rudnickiego. Nie znaczy to wcale, żeby autor okazał się zbyt surowym krytykiem i sędzią świata literackiego. Autor „Pałeczki" nie jest ani krytykiem, ani sędzią, ale ofiarą swoich jałowych, oderwanych, ekspresjonistycznych poglądów na pisarstwo, pisarza i sztukę pisania.

Znacznie mniejsza część produkcji literackiej niż w latach poprzednich, tkwi jeszcze w naturalistycznej metodzie ujmowania życia. Metoda ta odpowiada drobnomieszczańskiej miarce stosowanej do człowieka i jego świadomości w schyłkowym okresie kultury burżuazyjnej. W warunkach demokracji ludowej można, posługując się tą metodą, wchłonąć pewien zasób optymizmu i wiary w przyszłość, ale nie sposób dotrzeć do kluczowych zagadnień rozwoju życia. Dopóki w życiu Polski Ludowej nie narosły elementy socjalistyczne, dopóki droga do socjalizmu nie była jasno wytknięta, niedostatki tej metody nie ukazywały się z taką oczywistością, jak obecnie. Wypada tu wymienić powieść Żukrowskiego „Ręka ojca" wydaną półtora roku temu oraz powieść Boguszewskiej „Żelazna kurtyna". Dla naturalistycznego pisarstwa zawsze najwdzięczniejszym terenem obserwacji wydaje się drobnomieszczaństwo płynące na bocznej fali ruchu historycznego. W drobnomieszczaństwie następuje proces polaryzacji, pewne elementy wciągają się w życie demokracji ludowej, inne wypadają poza nawias. Boguszewska potrafi zaobserwować ten proces polaryzacji, ale rozbudowany aparat psychologiczny naturalizmu daje mało istotne

wyniki poznawcze. Ograniczając pole widzenia do drobnomieszczaństwa, literaci przedłużają sobie złudzenie, że można budować prawdziwą wiedzę o życiu absolutyzując rysy charakteru ludzkiego. Anna Kowalska, autorka „Uliczki klasztornej" buduje sobie taką złudną wiedzę w całkowitym oderwaniu od kluczowych zagadnień dzisiejszego życia. Wydzielona przez autorkę grupa drobnomieszczańskich osiedleńców — to galeria oderwanych studiów portretowych. Rozbudowa warsztatu pisarskiego w tym kierunku nie daje żadnej wiedzy o rozwoju życia i człowieka w Polsce Ludowej.

Metoda realizmu socjalistycznego w odniesieniu do wszystkich okresów i chwil historycznych wymaga od pisarza, aby dał obraz zwrócony w przyszłość, ukazujący zaczątki i rozwój tego, co wschodzi, w walce z tym, co obumiera. W tematyce okupacyjnej szukamy korzeni dzisiejszego życia. Nowe utwory o czasach okupacji nie wnoszą już tej bezładnej gmatwaniny przeżyć, jaka przeważała w produkcji pierwszych lat po wyzwoleniu. W opowiadaniach Czeszki „Początek edukacji" w mrokach nocy okupacyjnej świta już perspektywa przyszłości, ale nie ukazują się jeszcze z dostateczną wyrazistością korzenie dzisiejszej Polski Ludowej, korzenie tej walki, która toczy się dzisiaj między Polską Ludową a rozbitkami dawnych klas panujących, działającymi w interesie imperializmu. Nie spełniają tego zadania wspomnieniowe nowele Wygodzkiego „W kotlinie". W „Filiponce" Narbutta obraz walki o przyszłe oblicze Polski redukuje się do awanturniczej przygody. Sarkastyczne nowele Zielińskiego „Dno miski" i „Przed świtem" ograniczają się do powierzchownej obserwacji, natomiast wydaje się, że w ostatnim swoim utworze „Ostatnie ognie" Zieliński dociera do klasowej i politycznej prawidłowości losów i działań ludzkich.

To, że pisarze nie mogą uchwycić centralnego konfliktu, konfliktu między klasą robotniczą a burżuazją, że nie mogą artystycznie skonkretyzować tego konfliktu — ciąży nadal na prozie powieściowej dotyczącej czasów przedwojennych. Więc i tutaj brak realistycznego obrazu rozwoju życia, i tutaj nie widać korzeni dzisiejszej rzeczywistości. Tadeusz Breza przedstawia w swojej powieści przygody miłosne i konszachty ludzi, którzy zajmują się polityką w systemie sanacyjno-faszystowskim. Stąd do realistycznego obrazu tego systemu jeszcze daleko. Kazimierz Brandys w cyklu powieściowym obejmującym szeroki obraz od obszarnictwa i burżuazji do proletariatu gubi się w wieloznacznych koncepcjach losu ludzkiego, bo nie ocenia postępowania ludzkiego ze stanowiska walki klasowej i interesów klasy postępowej. Juliusz Żuławski wprowadza w powieści „Skrzydło Dedala" postać pisarza, który z pozycji sympatyka ruchu rewolucyjnego przed wojną wrasta w życie Polski Ludowej. Jest to porachunek inteligenta, pisany ze szczerym przekonaniem, ale bez konkretnych realistycznych konfliktów. Konfliktów takich nie można znaleźć w powieści Flory Bieńkowskiej, która na tle naturalistycznych scenek z życia inteligencji opowiada o rozchodzeniu się poglądów politycznych.

Wszystkie te utwory należą do postępowego nurtu naszej literatury, ale niemożność uchwycenia centralnego konfliktu, brak konkretnego materiału, brak opanowania tego materiału, to wszystko utrudnia postępy metody realistycznej. Nie będzie wcale paradoksem, jeżeli powiemy, że właściwe opanowanie metody realistycznej w tematach dotyczących przeszłości związane jest z rozwojem literatury o tematyce współczesnej. Tutaj przecież z całą oczywistością występuje potrzeba uchwycenia centralnego konfliktu między rzeczą starą a nową, konkretnego ujęcia konfliktu, opanowania konkretnego materiału. Złudzenia pisarzy, że można bez tego obejść się w traktowaniu tematów nie współczesnych, rozwieją się w miarę, jak tematyka współczesna nabierze pełniejszego artystycznego wyrazu. Wtedy pisarze zamiast ograniczyć się do ciasnego kręgu wspomnień osobistych sięgną do dokumentów. Wspomnienia osobiste mogą stać się cennym materiałem, jeżeli ukazują rozwój świadomości rewolucyjnej w ogniu walki klasowej, jak w książce Lucjana Rudnickiego — „Stare i nowe".

Do lat przedwojennych odnosi się również powieść Eugeniusza Paukszty o hutnikach śląskich pod tytułem „Trzecia zmiana". Czas dziania się tej powieści nie łatwo jest czytelnikowi ustalić. Już to samo określa antyrealistyczną tendencję autora. Paukszta zebrał realia i pewne cechy obyczajowe hutników śląskich. Usunął to, co najważniejsze. Daremnie byśmy szukali tu obrazu walki klasowej, form organizacyjnych życia robotniczego. Daremnie byśmy szukali aparatu ucisku klasowego. Ani śladu rządów kapitalistycznych, ani śladu świadomości klasowej wśród hutników. Autor przypisuje robotnikom najwstecz-niejsze, niewolnicze formy świadomości: biologiczne przywiązanie do miejsca ciężkiej pracy, fatalistyczne uznanie swojej doli. Jako powszechna forma świadomości występuje mistyczna wiara w prognozy katastrofy na hucie. Co więcej, w chwili katastrofy ci robotnicy Paukszty nie potrafią zdobyć się nawet na praktyczną orientację zawodową. Góruje nad nimi ktoś obcy, inżynier, z innej klasy społecznej, on to dochodzi do pełni człowieczeństwa i urasta na kierownika, który potrafi przywiązać do siebie ślepe stado robotnicze. Tak to robotnicy odarci ze świadomości klasowej mają pod przewodem tego zwierzchnika pracować na rzecz magnatów ciężkiego przemysłu. Wstydliwe zatarcie okresu historycznego, zatajenie rządów kapitalistycznych — służy autorowi do przemycenia swojej korporacyjnej wizji. To dzikie kłamstwo o polskiej klasie robotniczej Paukszta napisał w 1948 roku, w tym czasie, kiedy hutnicy polscy czuli się już w całej pełni gospodarzami warsztatów, kiedy na sto dziesięć tysięcy hutników sześćdziesiąt tysięcy brało udział w socjalistycznym współzawodnictwie pracy. I o tej właśnie powieści Jan Dobraczyński pisze: „Paukszta ma ambicję być pionierem nowego życia... Nie tworzy o człowieku z huty romantycznej bujdy, nie mówi, jak trzeba pisać o pełnym pracy życiu robotnika, po prostu o nim pisze." Jan Dobraczyński wygłasza te sądy literackie w roku 1949, w rok po czynie kongresowym hutników, w czasie, kiedy brygady hutników rozwijają socjalistyczne nowator-

stwo pracy. Czy to ma być właśnie romantyczna bujda? Prawda o prowadzącej naród klasie robotniczej dociera w tej chwili do świadomości prawie wszystkich literatów, tylko że tej prawdy nie chce widzieć „pionier nowego życia" Eugeniusz Paukszta i zachwalający go Jan Dobraczyński.

Poważny dorobek literacki stanowią powieści monograficzne, które przywiązują dzisiejszego czytelnika do postępowych i rewolucyjnych tradycji polskich. Do cyklu rozpoczętego „Sciegiennym" Adolfa Sowińskiego przybyła powieść Jerzego Przemskiego o Henryku Kamieńskim. Autor potrafił zorientować czytelnika we wszystkich odcieniach demokratycznych ideologii z okresu między powstaniem listopadowym a powstaniem krakowskim. Na tym odcinku literat wyprzedził historyków. Szczególnie ważne zadanie społeczne podjęli autorzy powieści monograficznych o Mickiewiczu i Słowackim. Praca ich była w dużej mierze zależna nie tylko od dokumentów i badań historycznych, ale i od stanu badań literackich. Bez przeorania gruntu przez marksistowską wiedzę o literaturze — beletrystyczne ujęcie takich postaci jak Mickiewicz i Słowacki, czy znakomitych postaci polskich z czasów Oświecenia natrafia na ogromne trudności.

Obszerna powieść monograficzna Jastruna o tyle spełniła cel, że potrafiła przywiązać czytelnika do postaci Mickiewicza. Najmniej powiodło się Jastrunowi w pierwszej części książki. Nie odnalazł rzeczywistych społeczno-politycznych źródeł romantyzmu Mickiewicza, nie uwydatnił narodowego oblicza jego romantyzmu, przypisując zbyt wielką rolę romantyczności pojmowanej jako konwencja obyczajowo-artystyczna.

Paweł Hertz w portrecie Słowackiego, stawiając sobie skromne cele, unikał oddalania się od materiałów i dokumentów, natomiast książce tej zabrakło ciepła i pasji — portret Słowackiego nie dość pociąga czytelnika. Obie te książki wymagają pogłębienia przy współudziale historyków i badaczy literatury. Słusznie postępują autorzy, pracując nad nimi nadal.

Stan badań literackich przeszłości — będzie mówił o tym oddzielnie Stefan Żółkiewski — wpływa z drugiej strony na stan krytyki oceniającej literaturę bieżącą. Bez wyostrzenia narzędzi krytycznych metody marksistowsko-leninowskiej na literaturze przeszłości, bez zagospodarowania się po nowemu w dziedzictwie literackim nie można mieć właściwej perspektywy na literaturę realizmu socjalistycznego, ale trzeba podkreślić, że nawzajem — bez zajmowania się literaturą dzisiejszą, bez stałego obcowania z dążeniami realizmu socjalistycznego, krytyk nie uzyska właściwych norm wartościowania literatury dawnej.

Essayistyka może dla krytyki literackiej odegrać rolę rekonesansu, zwiadu, przygotowującego konkretne oceny poszczególnych utworów. Mój zbiór essayów wydany w roku 1949 pod tytułem „W stronę humanizmu" zawiera prace pisane do roku 1948. Tylko pewne pozycje tego zbioru odnoszą się do współczesnej problematyki literackiej. We-

dług oceny „Kuźnicy" pozycje te odegrały pewną rolę w przygotowaniu gruntu dla realizmu socjalistycznego. Uważam, że może tu być tylko mowa o roli cząstkowej — i to nie konsekwentnej. Są tam twierdzenia niejasne, nieśmiałe, jest wiele twierdzeń niesłusznych. Nie widziałem dość jasno perspektywy rozwojowej literatury Polski Ludowej. Nie doceniałem nowatorstwa literatury radzieckiej. Charakteryzując literaturę okresu imperialistycznego, nie dość jasno i nie dość precyzyjnie wiązałem procesy ideologiczne zachodzące w łonie burżuazji z konkretnym przebiegiem walki klasowej. W konsekwencji nie doceniłem decydującego wpływu tej walki na wytwarzanie się schyłkowych ideologii burżuazji. Natomiast wydaje mi się, że słusznie oceniłem egzystencjalizm i jego nieudaną dywersyjną rolę odgrywaną na rzecz imperializmu amerykańskiego.

Nie mamy w ostatnim okresie innych książek essayistycznych czy krytycznych, które by zahaczały o współczesną problematykę literacką. Kadra wykwalifikowanych krytyków zajmowała się prawie wyłącznie badaniami z historii literatury. Wzrastanie tej kadry oznacza jednak wzrastanie wykwalifikowanych krytyków marksistowskich, którzy mogą współdziałać z rozwojem realizmu socjalistycznego. Obok Kierczyńskiej, Kotta, Żółkiewskiego, pozycję marksistowską zajmuje obecnie Kazimierz Wyka. Przybyły nowe wykwalifikowane siły krytyczne — Markiewicz, Janionówna, Drewnowski, Żmigrodzka. Najbardziej ambitna pod względem naukowym młodzież uniwersytecka dąży do opanowania metody marksistowsko-leninowskiej.

Krytyka idealistyczna, reduta, na której okopała się Maria Starowieyska Morsztynowa, okazała się bezsilna wobec nowych zagadnień rozwoju literackiego. W tygodniku „Dziś i jutro" krytyk literacki Zygmunt Lichniak usiłuje stworzyć poetykę normatywną: wymaga ukazywania współzależności świata materialnego i nadprzyrodzonego, ukazywania tajemnic łaski przez codzienne przejawy życia. Trudno się spodziewać, aby wielu pisarzy zechciało zaspokoić wymagania Zygmunta Lichniaka. Poszczególne słuszne spostrzeżenia Lichniaka o utworach literackich nie mają nic wspólnego z tą poetyką normatywną. Wynika to po prostu stąd, że metody krytyki postępowej zaraziły nawet Zygmunta Lichniaka.

Krytyka postępowa od czasu wysunięcia postulatu realizmu socjalistycznego weszła w nową fazę rozwoju. Rozwiały się sugestie, jakoby nowy realizm miał być budowany w oparciu o osiągnięcia mieszczańskiego realizmu krytycznego. Sugestie takie płynęły z badań nad Prusem i nad pozytywizmem polskim. Co prawda zdawano sobie sprawę z ograniczoności klasowej realizmu krytycznego, ale nie wyciągano stąd wniosków. Równocześnie na łamach „Kuźnicy" dochodziło do absolutyzowania warsztatu pisarskiego z okresu schyłkowej kultury imperialistycznej. Paweł Hertz usiłował w ten sposób bronić kultury tego okresu. Wysunięcie postulatu realizmu socjalistycznego, ukazanie właściwej perspektywy rozwojowej dla literatury polskiej doprowadziło do rozbicia tych pozycji. Jednakże nadal poważnym objawem nie-

dojrzałości krytyki w „Kuźnicy", „Wsi" i „Odrodzeniu" było oddzielanie analizy treściowo-ideologicznej od analizy formy. To rozszczepienie metody krytycznej sprzyjało ześlizgiwaniu się krytyków na pozycję socjologizmu, równocześnie sprzyjało sztucznej hodowli formalistycznych metod. Krytyka literacka w czasopiśmie „Wieś" po przezwyciężeniu socjologizmu weszła w etap klasowej, politycznej oceny wartości poznawczej utworu, ale nadal nie doceniała specyfiki literackiej. Krytyka literacka w „Kuźnicy" odwrotnie — przez oddzielanie tak zwanych wartości formalnych, w imię specyfiki literackiej często traciła z oczu ideowe znaczenie utworu. W tym stanie rzeczy krytyka literacka przodujących czasopism nie mogła odegrać roli wychowawczej w stosunku do pisarzy. Nie odegrała jej w stosunku do Rudnickiego, Jastruna, Borowskiego, nie odegrała w stosunku do wielu młodych pisarzy. Szczególnie zaniedbała sprawę poezji. Tym się tłumaczy dezorientacja artystyczna, gorączkowe poszukiwanie jakiejś „recepty" przez młodych poetów. Podczas niedawnej dyskusji o poezji wyszło na jaw, że kursują jeszcze w środowisku literackim wygłaszane niegdyś w 1946 roku najgłupsze formalistyczne sądy o normach poetyckich, jak to, że wiersz wolny jest kanonem twórczej poezji, a wiersz regularny — kataryniarstwem, że istnieją rytmy i rymy banalne, które trzeba zwalczać. Sądy takie mogły się utrzymać dlatego, że krytyka literacka dużo mówiła o tak zwanych wartościach formalnych, a nic rzeczowego o formie nie powiedziała.

Niedojrzałość krytyki marksistowskiej, odłączanie tak zwanych wartości formalnych utworu od jego wartości ideowej, poznawczej, determinującej jego przydatność w walce o rozwój życia — idzie na rękę przeciwnikom krytyki marksistowskiej. Można się było o tym przekonać na zjeździe młodych polonistów i na zjeździe literacko-polonistycznym w ostatnich tygodniach. Przeciwnicy, nie mogąc przeciwstawić żadnego systemu krytyce marksistowsko-leninowskiej, proponowali wyrok salomonowy — rozciąć krytykę na pół, pozbawić ją życia: jedna połowa dla marksistów, druga dla nich. Naturalnie ta jedna połowa to byłaby ułomna interpretacja ideologiczna bez uwzględnienia formy, a druga — dywagacje formalistyczne. Wiemy, że przeciwnik zawsze wyczuwa słabe miejsce. Idealiści wyczuli, gdzie tkwi słabość obecnego stanu krytyki marksistowsko-leninowskiej w Polsce.

W związku z reorganizacją czasopism literackich nastąpiło skupienie sił, wzmocnienie krytyki literackiej w „Nowej Kulturze" i we „Wsi". Prace recenzyjne Ryszarda Matuszewskiego (o Borowskim, Kubiaku, Adolfie Rudnickim) pogłębiły się ideowo. Równocześnie widać, jak krytyk, który w centrum rozważań stawia wartość ideową utworu, uzyskuje jaśniejsze, trafniejsze spojrzenie na formę i styl. Zasady krytyki marksistowskiej przyswaja sobie również Janina Preger w „Nowej Kulturze". Anna Kamieńska i Jan Śpiewak specjalizują się w krytyce poetyckiej. O coraz lepszym opanowaniu tych zasad świadczą ostatnie prace młodych krytyków „Wsi", zwłaszcza Wasilewskiego. Młodzi krytycy starają się usunąć dawny mankament, który

polegał na nieuwzględnieniu specyfiki ideologii literackiej. Wszystko to wskazuje na wzrastanie sił krytyki marksistowskiej w Polsce.

Jakie wnioski nasuwa nam obecna sytuacja literacka?

Perspektywa rozwojowa literatury polskiej jest jasno zarysowana. Zmiana orientacji na rzecz realizmu socjalistycznego ogarnia coraz szersze kręgi literatów. Jest to proces nieodwracalny, zespolony ściśle z kierunkiem rozwojowym Polski Ludowej. Napływ nowych sił literackich, wrażliwych na nowe przejawy życia, działa ożywczo na problematykę literacką. W miarę wzrastania awansu społecznego mas robotniczych i chłopskich, w miarę coraz nowego przypływu sił proces ten będzie się wzmagał i pogłębiał.

Dojrzewanie literatury realizmu socjalistycznego uzależnione jest od dokładnej znajomości życia i od poziomu ideowego literatów. Podjęta w tym roku akcja związania literatów z terenem, była pierwszą planową próbą zbliżenia ich do dzisiejszych zagadnień rozwoju społecznego. Podniesienie poziomu ideowego stanowi nieodzowny warunek rozwoju realistycznego warsztatu pisarskiego. Wymaga to intensywnej pracy ideologicznej na terenie Związku Literatów, przekształcenia organizacji literackiej w samodzielny ośrodek twórczy pisarzy. Czerpanie nauki z doświadczenia radzieckiego, oparcie się na krytycznie ujętej postępowej tradycji narodowej, wzmocnienie ideowej postawy literatów, uściślenie ich więzi z postępowym nurtem życia — przyśpieszy dojrzewanie literatury realizmu socjalistycznego w Polsce, metody literackiej, która buduje życie i stanowi najlepszą metodę walki o pokój.

Adam Ważyk

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Aktualne zadania i stan nauki o literaturze w Polsce

Referat wygłoszony na V Zjeździe Literatów Polskich

Zadania badacza literatury — to są zadania społeczne. Wiemy od Lenina, jak istotną rolę w procesie tworzenia nowej, socjalistycznej kultury odgrywa wchłonięcie twórczych i postępowych tradycji przeszłości. Te tradycje, w sztuce tradycje wolnościowe, realistyczne mają znaczenie ogólno-wychowawcze dla współczesności, z kolei stanowią glebę, z której wyrasta nowa literatura epoki. Odkrycie, pełne wyjaśnienie i zrozumienie tych tradycji może dokonać się tylko w walce z wrogą im reakcyjną historią kultury. Zadaniem nowoczesnego badacza literatury jest odkłamanie jej historii. Lecz „chronić tradycję, to nie znaczy ograniczać się do tradycji". Toteż, jak się mówiło, badacz literatury to jednocześnie historyk, teoretyk i krytyk. Punkt widzenia współczesnego nowatorstwa literackiego otwiera właściwie perspektywy na przyszłość literacką, daje kryteria wyboru właściwych tradycji. Tak pojęte literaturoznawstwo jest walką o postęp. Chce torować i może torować drogę literaturze w służbie narodu, literaturze, która odkrywa perspektywy budownictwa socjalistycznego, uczy nowego życia, kształtuje pozytywny ideał człowieka naszej epoki, zwalcza wszystko co stare, co nosi na sobie piętno kapitalistycznego niewolnictwa w życiu, moralności, poglądach, obyczajach. Takie literaturoznawstwo dobywa z przeszłości i przekazuje dzisiejszemu życiu te treści, które były wyrazem prawdziwego humanizmu, wyrazem buntu przeciw uciskowi klasowemu, wyrazem woli przekształcenia świata zgodnie z interesami mas ludowych, a to znaczy także — zgodnie z godnością człowieka.

Realizacja tych zadań wymaga szczegółowej i szerokiej pracy nad dziejami literatury polskiej. Osiągnięcia i pilne zadania tej pracy w stosunku do poszczególnych epok — należy omówić z punktu widzenia powyższych zadań.

Na plan pierwszy wysuwa się konieczność sformułowania marksistowskich koncepcji całych epok. Syntezy te wyznaczyłyby właściwe miejsca historyczne poszczególnym pisarzom, zakreśliłyby główne linie rozwojowe, uwypukliłyby podstawowe konflikty klasowo-ideowe epoki. Punktem wyjścia bowiem szczegółowych badań monograficznych musi być nowe, marksistowskie rozumienie procesu historycznego rozwoju literatury polskiej. Oczywiście ta wstępna synteza winna być z kolei modyfikowana i weryfikowana w drodze szczegółowych poszukiwań, ale już w ramach nowej, marksistowskiej problematyki wysuniętej przez nową syntezę.

W zakresie syntezy renesansu przełamać trzeba zainicjowaną przez Burckhardta i żywą jeszcze tradycję skrajnie idealistycznej interpretacji renesansu jako obiektywizacji określonej, ponadindywidualnej struktury duchowej.

Potrzebne nam jest inne niż dotąd spojrzenie na polski renesans. Nie jest główną cechą tej poezji i publicystyki pochwała szlacheckiego dostytu i uroków życia rodzinnego (Windakiewicz), ale celna i odważna walka obejmująca wszystkie dziedziny życia, walka z zastojem i zacofaniem. Engels zarysował koncepcje renesansu jako bujnej twórczości wyrosłej z wszechstronności społecznego nowatorstwa. Potrzebne są nam monografie, które by z tego punktu widzenia ukazały drogę twórczą Biernata z Lublina, Reja, Kochanowskiego. Narodziny polskiej literatury narodowej muszą być ukazane zgodnie z prawdą jako odbicie ideowe przełomu ustrojowego, przełomu w układzie sił klasowych, a nie jako rezultat terminowania u starożytnych. Tu może silniej aniżeli w stosunku do którejkolwiek innej epoki przezwyciężona być musi kosmopolityczna postawa tradycyjnej historii literatury w stosunku do rozwoju kultury narodowej.

O ile odnowa naszej wiedzy o renesansie wymaga ostrej walki z burżuazyjnym spirytualistycznym strukturalizmem w humanistyce, o tyle znów odnowa naszej wiedzy o następnej epoce kontrreformacji wymaga ostrej walki z burżuazyjnym formalizmem.

Mozolnie, przy pomocy apriorycznych, ponadczasowych kategorii form sztuki ukutych przez Wölflina konstruowano pojęcie stylu barokowego. Badacze burżuazyjni epoki imperializmu zgodnie z dążeniami estetycznymi swej klasy starali się niezgodnie z danymi historycznymi wykazać, że literatura baroku — to twór czystej wyobraźni poetyckiej, to prekursorka dekadenckiego nadrealizmu XX w.

Trzeba sprawiedliwie powiedzieć, iż były odosobnione głosy protestu przeciw tej mitologii historyczno-literackiej. Szczególne zasługi położył

tu K. Badecki, wydawca utworów antagonistycznego, plebejskiego nurtu naszej literatury XVII w. Toteż główne zadanie, które stoi przed nami — to opracowanie tego nurtu antagonistycznego poetów ariańskiego radykalizmu społecznego, poetów mieszczańskich, poetów chłopskiej nędzy i buntu. W XVII wieku występuje po raz pierwszy w naszej literaturze taki nurt antagonistyczny, samodzielny, niezależny od szlacheckich dążeń postępowych, które były żywe w XVI wieku, a w XVII zniknęły. On też rozstrzyga o interpretacji literatury XVII wieku i o jej dynamice.

Podstawowym zadaniem w stosunku do XVIII wieku było zagadnienie periodyzacyjne. Burżuazyjna historia literatury od Woronicza do Artura Górskiego interpretowała nowożytną literaturę polską jako konsekwentny rozwój fideizmu, mistycyzmu i mesjanizmu w literaturze. Pozytywizm uważano za żenujący zaściankowy margines, obcy duchowi kultury polskiej (Feldman). W romantyzmie uwydatniono wsteczne, mistyczne tendencje. Od nich liczono nowożytną literaturę polską. W literaturze XX wieku, w dekadenckiej, schyłkowej, antyrealistycznej literaturze burżuazji epoki imperializmu z radością widziano odrodzenie głębi i polotu tj. odrodzenie mistyki. Umiano nawet rewolucyjnego Słowackiego, autora „Odpowiedzi autorowi trzech psalmów" — przerobić na patrona i prekursora dekadentyzmu poetów Chimery.

Tymczasem zgodnie z rzeczywistym rytmem przemian społecznych i ideologicznych — literatura Oświecenia otwiera nowożytną literaturę polską jako zapowiedź literatury polskiej okresu kapitalizmu.

Należy oczekiwać, iż Rok Kołłątajowski poważnie wzbogaci plon prac nad XVIII wiekiem.

Dziś bowiem możemy się uczyć na postępowej tradycji polskiego Oświecenie: na jej błędach i na jej osiągnięciach.

Brak nam dotąd nawet najbardziej szkicowej koncepcji epoki romantycznej. Ale jest to też epoka najbardziej zakłamana przez burżuazyjną historiografię. Trzeba ją odkłamać drogą badań szczegółowych. Dokonywuje się to w większym jeszcze stopniu niż w stosunku do XVIII wieku, w ogniu polemiki z ciągle ukazującymi się idealistycznymi i fałszywymi pracami.

Główne zadanie — to ukazać postępowe, realistyczne, istotnie związane z życiem i walką klasową postępowych grup społecznych, oblicze literatury romantycznej, związki tej literatury z utopijnym socjalizmem, jej treści rewolucyjno-demokratyczne.

I tu wielkie zadanie odkłamania burżuazyjnej historii literatury stoi politycznie najostrzej. Literatura romantyczna przyniosła bodaj najwyższe osiągnięcia naszego piśmiennictwa w przeszłości. O wielkości tej sztuki decydowała jej osiągalna w antagonistycznym społeczeństwie ludowość i narodowość. To było celowo zamazywane przez reakcję. Interpretowała ona poezję romantyczną jako wyraz indywidualnych przeżyć niezwykłych jednostek. Izolowała je od nurtu społecznego. Ręce pisarzy — to nie miały być ręce walczące za lud piórem, ale ręce notujące indywidualny pamiętnik duchowy. Centralnym zagadnieniem wobec literatury romantycznej, z jej wielkimi indywidualnościami rewolucjonizującymi nasze piśmiennictwo, jest przeto zagadnienie drogi twórczej tych postępowych, borykających się ze sprzecznościami pisarzy. Właśnie ich droga twórcza uczyła, że wielka literatura powstaje jako narzędzie działania społecznego w duchu nowatorstwa, narzędzie oddziaływania na masy, mobilizującego świadomość rewolucyjną. Reakcja chciała narzucić natomiast przez zakłamanie historii postępowych pisarzy romantycznych — jako wzór drogi twórczej — drogę pisarza odchodzącego od życia, osiągającego doskonałość artystyczną przez ucieczkę od spraw społecznych w dziedzinę oderwanej problematyki moralnej, w dziedzinę kontemplacji religijnej, drogę tylko rozwoju wewnętrznego, a nie drogę działania społecznego na rzecz postępu, które dopiero kształtuje wielką, oryginalną indywidualność.

Jedno poważne zadanie czeka rozwiązania w ramach problematyki pozytywizmu: wydobycie teoretyczne różnic między realizmem krytycznym a socjalistycznym. Realizm krytyczny — to bliska nam tradycja. Ale realizm socjalistyczny to nie jest powrót do realizmu krytycznego. Realizm socjalistyczny rozwija się inaczej. Reakcja tymczasem walczy z ideologią rewolucyjną realizmu socjalistycznego przeciwstawiając mu rzekomą wyższość artystyczną realizmu krytycznego. Głosi hasło: „Z powrotem ku pozycjom i założeniom estetycznym realizmu krytycznego". Wina obciąża tu także naszą postępową krytykę z lat 1945-1948. Krytyka ta zwalczając najbardziej dekadenckie, antyrealistyczne gusty mieszczańskie — wysuwała jako ideał realizm krytyczny, cofała się w czasie idąc naprzód w estetyce od Conrada do Balzaca i Diderota. Nasz realizm krytyczny — i to od strony artystycznej — znamy dobrze, dzięki pracom Kotta i studium Markiewicza o artyzmie Prusa. Lecz tu praca teoretyczna musi być dalej posunięta. To jest ostry, aktualny problem polityczny. Trzeba pokazać granice realizmu krytycznego zdeterminowane przez klasową ograniczoność postępu mieszczańskich krytyków

mieszczaństwa. Ta historyczna paralela między realizmem krytycznym a socjalistycznym winna ukazać odrębność, nowatorstwo, jedynie przodujący charakter realizmu socjalistycznego dzisiaj. Sztuki nie tylko socjalistycznych krytyków burżuazji, ale i sztuki współtwórców, współodpowiedzialnych za socjalistyczne społeczeństwo. Ta zaś postawa współodpowiedzialności wyrażająca się nie tylko w świadomej, pełnej, naukowej krytyce, ale przede wszystkim w sile i prawdzie pozytywnego ideału była obca wszystkim realistom przedsocjalistycznym.

Kadra krytyków była w Polsce po 1944 r. niesłychanie szczupła. Świadomy wysiłek pedagogiczny „Kuźnicy" i IBL wzbogacił ją poważnie w ciągu 1949-50. Przełom ideowy, który przyniosło zjednoczenie ruchu robotniczego i rozgromienie odchylenia oportunistyczno-nacjonalistycznego, uzbroił naszych krytyków, umożliwił ich rozwój umysłowy we właściwym kierunku. Przykład i pomoc krytyki radzieckiej wreszcie zdecydowały o poważnych zmianach na lepsze, jeśli chodzi o tendencje krytyczne w naszych czasopismach. Należy tu uwydatnić poważne zasługi teoretyków naszej krytyki: Melanii Kierczyńskiej, Pawła Hoffmana i Włodzimierza Sokorskiego. Można stwierdzić, iż od Zjazdu Szczecińskiego ci, co się ostali w krytyce, wyraźnie i konsekwentnie zdążają ku pozycjom marksizmu w estetyce. Na czoło naszej krytyki z racji swej wszechstronnej i pracowitej działalności wysuwa się Ryszard Matuszewski. W znacznej mierze wyzbył się on dawnego eklektyzmu. Umie dać szkice bezkompromisowe i mądre jak np. krytyka „Godziny śródziemnomorskiej" Parandowskiego, „Pogranicze powieści" Wyki czy „Opowiadań z gazet" Borowskiego. Nie znaczy to jednak, iżby zajmował już w pełni marksistowskie pozycje. Taka jest bodaj jedynie działalność krytyczna Kierczyńskiej, która niestety odzywa się dość rzadko. Podobnie jak Matuszewskiego wypadłaby charakterystyka innych wybitniejszych i czynniejszych krytyków jak Hieronim Michalski, Henryk Markiewicz. Nie brak było w naszej krytyce wystąpień zupełnie fałszywych, obiektywnie broniących pozycyj reakcyjnych, czego świadectwem były liczne dyskusje (np. o powieści Wilczka, o tym, czy i walka gustów jest walką klas). Szczególnie duże nadzieje budzą młodzi krytycy, z których niektórzy umieją zajmować naprawdę konsekwentnie marksistowskie ideowe i artystyczne stanowisko. Młoda kadra krytyków wymaga jednak na ogół jeszcze opieki i to starannej opieki ideologicznej — wielu z nich bowiem grzeszy formalizmem, nieśmiałością, grzecznością, a przeto, co tu gadać, eklektyzmem sądów.

Co innego — charakterystyka rozwoju poszczególnych indywidualności krytycznych, a co innego — syntetyczna ocena funkcji społecznej tej krytyki w sumie. W tym względzie ostatnia dyskusja o tzw. młodej poezji wykazała poważne braki naszej krytyki. Wykazała, iż krytyka nasza stanowczo niedostatecznie interesuje się młodymi pisarzami, nie toruje jeszcze świadomie drogi nowatorstwu literackiemu. W tym zakresie oczekujemy poważnego postępu w ciągu najbliższych miesięcy, postępu, którego zapowiedzi mamy już w polityce redakcyjnej „Nowej Kultury". Pismo to jednak ciągle jeszcze nie umie stawiać szerokich, aktualnych problemów literackich, raczej ogranicza się do nie bardzo sumujących się wystąpień recenzenckich, trafniejszych ideowo niż w poprzednich latach, ale zbyt szczegółowych, niedostatecznie uogólnionych, traktujących każdy fakt z osobna, nie w dialektycznym związku z całością rewolucji kulturalnej w Polsce i jej centralnymi problemami. Nie czuje się, iżby zespół redakcyjny „Nowej Kultury" fascynowały intelektualne problemy nowatorstwa literackiego w Polsce i na świecie, by dostatecznie pilnie śledził, co się pisze, by w pełni dostrzegał związki spraw polskich z postępową myślą na świecie, a zwłaszcza w ZSRR.

Najogólniejszym estetycznym i teoretycznym zagadnieniom literatury poświęca się ciągle mało uwagi, raczej luźne uwagi o problemach estetyki marksistowskiej, najczęściej formułowane na marginesie innych studiów. Nie mamy bojowej, konsekwentnej krytyki burżuazyjnej teorii literatury spod znaku fenomenologii i tzw. „poetyki czystej". A zagadnienie to wymaga walki — bo teorie fenomenologów ciągle są żywe wśród naszych nauczycieli i studentów, przenikają do krytyki i szkodzą, i bruździą.

Wyniki toczącej się w ZSRR dyskusji o językoznawstwie winny być wykorzystane do jasnego i precyzyjnego ustalenia zakresu i charakteru badań nad morfologią języka literackiego, języka dzieł artystycznych. Chodziłoby dla przykładu o stosunek do badań historyczno-literackich wiedzy o systemach wersyfikacyjnych, które odznaczają się większą trwałością i innym rytmem zmian aniżeli kierunki i style literackie. To jest tylko jeden dowolnie wybrany przykład, ale otwiera on perspektywy na całe zespoły analogicznych zagadnień, które bada się u nas nieraz z dużym powodzeniem, ale bez jasnej świadomości metodologicznego charakteru tych badań i ich stosunku do historii literatury.

Interesującą książką teoretyczną jest „Szkoła Klasyków" Kotta. Jest to studium dynamiki przełomu literackiego. Właściwie metaforyczna

książka o współczesnych procesach literackich. Zasługą jej jest, iż po raz pierwszy ukazuje marksistowski obraz przełomu literackiego, jego klasowe korzenie na przykładzie literatury mieszczańskiej XVIII w. Wadą — iż autor pojmując różnice między realizmem krytycznym a socjalistycznym, w toku wywodów raczej uwypuklał podobieństwa mniej istotne aniżeli różnice najbardziej zasadnicze.

Podstawowe zagadnienie realizmu socjalistycznego nie doczekało się prac poważnych. A bez tego nie ruszymy naprzód z całą naszą wiedzą o literaturze. Jak mówiłem wyżej — tylko poprzez dynamikę realizmu socjalistycznego w Polsce można podjąć dynamikę literatury polskiej w przeszłości, tylko z pozycyj rozumianego dobrze współczesnego procesu literackiego można należycie wyjaśnić i ocenić literaturę przeszłości. Jesteśmy u początku prac kolektywnych i zorganizowanych nad problemami realizmu socjalistycznego. Myśli się o tym i w IBL i w PIS przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, i w redakcji „Nowej Kultury". Powinno się myśleć i w ZLP. Od powodzenia i intensywności tych prac zależy wiele. Należy na tym problemie skupić pośrednio czy bezpośrednio uwagę wszystkich naszych literaturoznawców.

Walce z kosmopolityzmem w literaturoznawstwie, obronie samodzielności literatury polskiej były poświęcone w odpowiednich partiach bodaj wszystkie wybitniejsze — a wyżej cytowane — prace. Badacze nowatorzy, ustalając stosunek dzieła do konkretnej rzeczywistości społecznej, wykazywali, jak kultura nasza wyrasta z narodowych potrzeb i dążeń, jak czerpie soki żywotne z międzynarodowego braterstwa myśli postępowej ludzi walczących o nowy ład swojego czasu.

Praktycznym wyrazem realizacji pozostałych haseł było zbliżenie (jeszcze bardzo niedostateczne) do szkoły, do masowego odbiorcy. Liczniejsze niż dotąd wydawnictwa popularne, skomentowane antologie (np. nie wolna od błędów trzytomowa antologia pozytywistycznych tekstów pod red. Kotta, Janionówny, Kamieńskiej i Żmigrodzkiej, która po raz pierwszy pokazała antagonistyczne zróżnicowanie nurtów literackich jednej epoki, odpowiadające antagonistycznemu zróżnicowaniu klasowemu społeczeństwa).

Jest rzeczą ważną, iż wysiłki badawcze wyżej charakteryzowane wiążą się ściśle z akcją upowszechniania książki. Wiele już prac ukazało się lub zostało przeredagowanych jako komentarze do coraz szerzej czytanych książek klasyków polskich. W ten sposób gromadzenie wiedzy o postępowej tradycji idzie w parze z przenikaniem treści tej

tradycji do świadomości masowego cztelnika. Jeszcze nie stworzyliśmy wzorowej biblioteki skomentowanych klasyków na wzór wielu takich seryj wydawniczych radzieckich. Ale i „Książka i Wiedza", i PIW pracują intensywnie, popełniając błędy i naprawiając je, nad stworzeniem takiego typu seryjnego wydawnictwa.

Dorobek nowatorski narastał w ciągu pięciu lat. Był w dużej mierze szkołą badaczy, którzy dopiero wystąpią z większymi pracami. To, co zrobiono dotychczas, zbyt wiele ma uchybień, błędów, sądów chybionych, bo zarażonych wpływami oportunistyczno-nacjonalistycznej ideologii.

Naszej nauce o literaturze należałoby postawić wiele zarzutów, gdyby ją oceniać surowo z punktu widzenia osiągnięć przodującego literaturoznawstwa radzieckiego. Sądzę jednak, że na obecnym etapie rozwoju literaturoznawstwa polskiego istotną sprawą było przeciwstawienie się konkretne — choćby w szczegółach — dominującej ilościowo tradycji idealistycznej i zerwanie z oportunizmem i eklektyzmem w krytyce, odwrócenie się od formalizmu i ponadklasowości, aspołecznej interpretacji literatury. Te pierwsze kroki zostały poczynione. W przyszłym roku winniśmy wymagać więcej, zwłaszcza z punktu widzenia konkretnych rezultatów badawczych, ich naukowej marksistowskiej konsekwencji i planowości poczynań.

Referat mój nie jest rejestrem bibliograficznym — wydobywam to, co jest istotne dla procesu rozwojowego naszej wiedzy o literaturze: zapowiedzi nowego. Nie znaczy to jednak, iż krytyka polska nie kształtuje się w ogniu walki klasowej, nie odbija tej walki, że nie ma już objawów zacofania w nauce. Jest przeciwnie. Napomykałem o tym na wstępie i już wyżej parę razy mówiłem o polemikach z idealistami.

Walkę z wrogimi wpływami widzimy często w twórczości jednego i tego samego krytyka. Ileż jest jeszcze przezwyciężanego, ale nie przezwyciężonego do końca formalizmu w pracach Wyki. Ile zwulgaryzowania socjalizmu u naszych — prawie bez wyjątku — dopiero początkujących marksistów.

Urzeczywistnienie trudnych zadań historii literatury polskiej we właściwym czasie — mimo że jesteśmy dopiero u progu odnowy polskiej nauki o literaturze — jest możliwe w oparciu o to wszystko, co jest postępowe, cenne, empirycznie trafne w tradycji naszego literaturoznawstwa. Takich danych faktycznych, częściowych interpretacyj, pozytywnych sądów naukowych nagromadzono wiele. Na tym fundamencie trzeba dalej budować. Przez wszystkie referaty Zjazdu

Polonistów czerwoną nicią przewijała się tendencja wydobycia konkretnych osiągnięć nauki poprzednich lat. Księga zjazdowa wskazywać będzie konkretnie — ujęcia, sądy, zbiory materiałów, dane faktyczne, które nie tylko nie straciły wartości, ale są punktem wyjścia postępu w historii literatury.

Czasem próbuje się przeciwstawić marksizmowi katolicką wiedzę o literaturze. Ale nie ma religijnej metodologii naukowej. Literaturoznawcy dają wyraz swoim sympatiom ideowym w swych pracach. Tak np. Konrad Górski bada piśmiennictwo reformacyjne jako „literaturę heretycką". Ustalając jej stosunek do dogmatów katolickich, nie dostrzega istotnych treści społecznych tej publicystyki różnowierczej w kostiumie sporów dogmatycznych. Borowy krytykuje Krasickiego za brak szacunku do oficjalnej filozofii kościoła — scholastyki. Ale gdy formułuje się problemy naukowe, obrońcy katolickiej metodologii po prostu bronią burżuazyjnego idealizmu, burżuazyjnego formalizmu i kosmopolityzmu w humanistyce.

Ogólnie mówiąc zainicjowany przez awangardę postępową kierunek rozwojowy naszej nauki o literaturze jest prawidłowy. Małe są jeszcze osiągnięcia. Niewielki rozmach pracy — wołający o kolektywne, planowe badania. Niedostateczna znajomość podstaw estetyki marksistowskiej. Często niezadowalająca konsekwencja ideologiczna. Faktem jest przecież, iż patos nowego życia w Polsce pociąga i badaczy literatury drogą ku socjalizmowi, pociąga do współbudowania socjalizmu. Nowy, masowy czytelnik, który chce rzetelnego, naukowego komentarza, swoją postawą urabia nowego literaturoznawcę. Ci, którzy piszą dla radia, dla masowych wydawnictw, dla szkół, uczą się z dnia na dzień pracować lepiej i rzetelniej. Daleki jestem od tendencji samouspokajania. W stosunku do potrzeb — literaturoznawstwo nasze jest na początku drogi. Potrzeby i zaniedbania są olbrzymie. Omal wszystko jest jeszcze do zrobienia. Brak nam podręczników i monografij. Brak nam komentarzy do masowo czytanych klasyków. Nie mamy nawet nowej, naukowej monografii Mickiewicza, nie mówiąc o Kochanowskim czy Potockim. Ale pojawiły się dobre zapowiedzi nowego. Można powiedzieć, iż od Zjazdu Szczecińskiego postępowa część literaturoznawców naszych wreszcie znalazła właściwą drogę. Potrafiła uczyć się od nauki radzieckiej. Potrafiła słuchać nakazów życia. To dyktuje mi akcenty optymistyczne w sądach o krytyce.

Stefan Żółkiewski

LEON KRUCZKOWSKI

O roli i zadaniach Związku Literatów Polskich

Referat wygłoszony na V Zjeździe Literatów Polskich.

I

Ewolucja, jakiej ulega nasz pogląd na rolę i zadania organizacji pisarzy w Polsce Ludowej, jeśli w niedostatecznym jeszcze stopniu objęła naszą świadomość, to już zupełnie prawie nie znajdowała dotąd i nie znalazła wyrazu w przeobrażeniach i poczynaniach organizacyjnych. Zasadniczy kierunek tej ewolucji rysuje się dość jasno: Związek Literatów Polskich powinien stać się żywym i twórczym, zdolnym do samodzielnych działań ośrodkiem kształtowania świadomości ideologicznej pisarzy w duchu walki o postęp społeczny oraz rozwijania jak najpomyślniejszych warunków moralnych i materialnych dla ich pracy, pojętej nie tylko jako zawód, ale i jako wysoka funkcja społeczna.

Dokonana na poprzednim, Szczecińskim Zjeździe zmiana nazwy związku była trafnym, ale raczej symbolicznym tylko zaznaczeniem takiego właśnie kierunku ewolucji. Jak dotąd jednak fakt ten pozostał faktem bez żadnych niemal dalszych konsekwencji, czy to w przebudowie struktury wewnętrznej czy w treści, metodach i stylu pracy związkowej.

Konsekwencje te są dzisiaj jeszcze bardziej nieodzowne niż półtora roku temu. Cóż bowiem przyniósł nam — w życiu literackim i związkowym — okres, dzielący na od Zjazdu Szczecińskiego? Mieliśmy niewątpliwie pewne dodatnie i dobrze wróżące przejawy aktywizowania się naszych środowisk literackich, jak chociażby niedawna, wielka i gorąca dyskusja o poezji. Mieliśmy pewne nowego typu akcje organizacyjne, zmierzające do pobudzenia woli twórczej pisarzy, jak ostatnia akcja wyjazdów w teren. Mieliśmy wreszcie w jednym z oddziałów Związku pomyślny rozwój systematycznej pracy z najmłodszym pokoleniem literackim. Równocześnie jednak obserwujemy niewątpliwie — mimo kilku godnych uwagi książek o tematyce nowatorskiej — trwający od dłuższego czasu pewien kryzys, pewne zahamowanie w samej twórczości, kryzys, którego nie przełamią same tylko konkursy czy wyjazdy pisarzy do fabryk i wsi spółdzielczych.

Obserwujemy również i inne zjawiska. Styl pracy naszych wielkich wydawnictw nie tylko nie sprzyja przezwyciężaniu tamtych zahamowań, ale sam jeszcze przyczynia się w niemałym stopniu do nikłości obrazu nowej produkcji literackiej. Z drugiej strony znów brak do-

statecznie wyraźnego, zgodnego z naszym ustrojem określenia społeczno-prawnej sytuacji pisarza budzi niekiedy szkodliwe tendencje doraźnego interpretowania jej, w pewnych praktycznych zagadnieniach, w sposób, wywołujący słuszne sprzeciwy środowiska pisarskiego (np. zaliczanie literatów, ze strony niektórych ogniw aparatu państwowego, do kategorii „inicjatywy prywatnej"). A wreszcie, tak doniosłe dziś zagadnienie kadr i właściwego ich wykorzystania — i ono również rozwija się dotąd wciąż raczej w sposób przypadkowy i żywiołowy niż w ramach jakiejś celowej dyspozycji.

Obraz sytuacji w jakiej — w półtora roku po Szczecinie — zebrał się nasz obecny, piąty Zjazd Delegatów, byłby niezupełny, gdybym nie wspomniał o kilku, w toku będących sprawach o zasadniczym znaczeniu zarówno dla każdego z nas pisarzy osobiście, jak i dla życia naszego Związku. Parę miesięcy temu rozpoczęły się, częściowo z udziałem władz związkowych, prace nad nowym ustrojem zrzeszeń artystycznych w Polsce, nad nowelizacją ustawy o prawie autorskim, nad utworzeniem Funduszu Popierania Twórczości Artystycznej, wreszcie — nad nową konwencją wydawniczą. Prace te nie zostały jeszcze definitywnie zakończone, ale przez sam fakt ich podjęcia, kierunki oraz przebieg ich rozwoju — uwydatniła się jeszcze bardziej dojrzewająca od dawna konieczność postawienia w całej pełni i w całej ostrości sprawy, określonej tytułem tego referatu: sprawy „roli i zadań Związku Literatów Polskich", roli i zadań organizacji pisarzy w społeczeństwie budującym podstawy socjalizmu.

Rozważenie tej sprawy i znalezienie dla niej właściwych ujęć i rozwiązań organizacyjnych — jest jednym z głównych celów naszego Warszawskiego Zjazdu.

II

Punktem wyjścia dla tych rozważań powinny być, moim zdaniem, dwie podstawowej natury przesłanki:

1. właściwe określenie i zrozumienie **funkcji pisarza** w społeczeństwie budującym socjalizm (przesłanka „subiektywna");

2. nowe **warunki ustrojowe życia kulturalnego** i nowa **uspołeczniona polityka kulturalna** (przesłanka „obiektywna").

Przypomnijmy sobie wczorajsze, mieszczańskie pojęcie „zawodu" literackiego. Wedle tego pojęcia, pisarz był sobiepankiem, rzekomo „wolnym" i rzekomo „samodzielnym" **producentem** dzieła literackiego. Jego inwencją twórczą rządziła żywiołowość, przypadek lub — „rynkowa" koniunktura, w jego postawie wobec świata dominował swoisty elitaryzm, jego wiarą był „talentyzm", magia „rzemiosła" i kult sukcesu. Poczucie **funkcji społecznej** było w tym zespole pojęciowym mniej lub więcej przytłumione, a niekiedy doszczętnie wyparte — przez niewidzialną, bezosobową abstrakcję „rynku", którego jedynym żywym, konkretnym, prawie zawsze antagonistycznym przedstawicielem był — przedsiębiorca wydawniczy.

W tych warunkach organizacja zrzeszająca pisarzy musiała być w głównej mierze korporacją o charakterze cechowym, służyć miała przede wszystkim obronie interesów „zawodowych". Jej nikłe życie wewnętrzne redukowało się do obcowania klubowo-towarzyskiego i wystąpień okolicznościowo-dekoratywnych. Nie znaczy to, że przedwojenny ZZLP nie odgrywał określonej roli polityczno-ideologicznej. O roli tej, pozbawionej zresztą poważniejszego znaczenia praktycznego, decydowała zarówno struktura klasowa większości środowiska pisarskiego jak i bieżące potrzeby rządów ziemiańsko-burżuazyjnych.

Wielkie przeobrażenia społeczno-gospodarcze, dokonane w Polsce przez władzę ludową, wymagają zupełnie innego, nowego ujęcia funkcji, znaczenia i roli pisarza (i w ogóle twórców w dziedzinie kultury). Można by to ujęcie określić krótko mianem **aktywizmu społecznego.** Dla uniknięcia nieporozumień chcę od razu wyjaśnić, co rozumiem przez to określenie. Chodzi tu nie tylko i nie tyle o aktywizm w sensie praktycznej działalności społeczno-politycznej, której zresztą pisarz powinien się poświęcać w miarę swoich indywidualnych skłonności i uzdolnień, ale głównie i przede wszystkim o **czynną i świadomą funkcjonalność społeczną samej twórczości,** o współodpowiedzialność aktów twórczych za budowanie nowych form życia, nowej socjalistycznej kultury i nowego, socjalistycznego człowieka. Chodzi o ten rodzaj aktywizmu społecznego, który tętnił — w różnych epokach literatury — w twórczości wielkich i największych poetów świata. Chodzi o ten rodzaj aktywizmu społecznego, w którym dzisiaj przoduje światu literatura radziecka, współtwórczyni życia swych narodów.

Jest rzeczą jasną, że takie ujęcie roli i zadań pisarza, wyzwolone z mieszczańskiej ciasnoty gabinetowego „literactwa", z sobiepaństwa i indyferentyzmu społecznego (który miał zresztą swój określony sens klasowo-ideologiczny) — musi znaleźć swój wyraz również w organizacyjnym ujęciu środowiska pisarskiego, a zatem w nowym określeniu roli i zadań ZLP. Związek, w oparciu o swój aktyw partyjny, o teorię marksizmu-leninizmu, powinien stać się organizatorem świadomości społecznej pisarzy, organizatorem — jak mówił kiedyś Gorki — „ich kolektywnej odpowiedzialności za wszystkie zjawiska zachodzące w środowisku literackim". Powinien również — zarazem — zapewniać i zabezpieczać pisarzowi ową, tak mocno podkreślaną przez Lenina, „szeroką przestrzeń dla własnej inicjatywy i indywidualnych skłonności, przestrzeń dla myśli i fantazji zarówno w formie jak i w treści", zabezpieczać ją przed biurokratyzmem i sekciarstwem.

Lecz nowe określenie roli i zadań Związku będzie wynikać nie tylko z nowego określenia subiektywnej funkcji pisarza w społeczeństwie budującym socjalizm. Musi ono być również — jak już wspomniałem — konsekwencją ogólnych przemian ustrojowych, dokonanych w Polsce, przemian, które przyniosły nową ekonomikę i politykę kulturalną.

W warunkach Polski wczorajszej, ziemiańsko-burżuazyjnej, w warunkach przeważającej prywatno-kapitalistycznej struktury obiegu dóbr kulturalnych, ówczesny ZZLP nie mógł odgrywać żadnej istotnej

roli publicznej, nie był i nie mógł być wyposażony w żadne atrybuty czynnika, kształtującego w jakiś widoczny, realny sposób rozwój życia i kultury literackiej kraju albo wpływającego na politykę państwa w tym zakresie. Przecież, w gruncie rzeczy, nie spełniał on nawet tamtej, ciaśniejszej, syndykatowej roli, roli obrońcy interesów „zawodowych", do której się w zasadzie ograniczał, lecz w której z kolei ograniczała go dotkliwie — dysproporcja siły ekonomicznej między pisarzem-chałupnikiem, a kapitałem nakładczym, oraz wynikająca z ustroju nikłość bazy społecznej ówczesnego życia kulturalnego, ówczesnego czytelnictwa itd.

Opracowując ten referat, miałem w rękach wydaną przed dwudziestu laty książkę pt. „Pamiętnik Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie 1920—1930". Publikacja ta mówi, że suma wszystkich subwencji państwowych i samorządowych dla ZZLP w okresie 10-lecia wynosiła, w realnym przeliczeniu, mniej niż połowę naszego tegorocznego budżetu związkowego. Mówi ona o zupełnie bezskutecznych, wieloletnich staraniach ówczesnego Związku o jeden bodaj dom wypoczynkowy dla pisarzy (znamiennie zwany tam „schroniskiem"). Mówi ona, że w dwunastym roku kapitalistycznej „niepodległości" pisarze polscy nie posiadali jeszcze swojej siedziby, „Domu Literatury" w Warszawie (dodajmy: nie posiedli go i w ciągu dalszych ośmiu lat 20-lecia). Mówi wreszcie o trwających kilka lat, daremnych zabiegach Związku o stworzenie publicznego Funduszu literackiego o nieco pompatycznej nazwie „Skarbu Narodowego Literatury" oraz o wielu innych, równie bezowocnych akcjach i inicjatywach w zakresie ochrony lub polepszenia warunków egzystencji i pracy pisarza. Cała ta żałosna kronika jest wymowną ilustracją stosunku klas posiadających i ich klasowego państwa — do pisarzy i ich organizacji zawodowej.

Dokonane dzisiaj w Polsce przez władzę ludową niemal całkowite uspołecznienie przemysłu wydawniczego, teatru, filmu, stworzyło i na tym odcinku zupełnie nową sytuację. Jeszcze wprawdzie — jak wspomniałem — nie została ostatecznie unormowana nowa, zgodna z tą wielką przemianą, prawno-ekonomiczna sytuacja zawodu pisarskiego, ale układ stosunków, który o niej decyduje, stracił swój dotychczasowy antagonistyczny charakter. Nie koniunktura i kalkulacje przedsiębiorcy, lecz rozwijająca się gwałtownie skala potrzeb kulturalnych mas ludowych oraz społeczne kryteria wartościowania dzieła literackiego stały się podstawą pracy i egzystencji pisarza. Tym samym otworzyły się przed naszym Związkiem możliwości realnego i odpowiedzialnego udziału w kształtowaniu polityki kulturalnej kraju, dróg rozwojowych narodowego piśmiennictwa.

I ten fakt również nie może pozostać bez wpływu na nowe ujęcie roli i zadań, struktury i metod pracy Związku.

III

Spróbujmy, biorąc pod uwagę wszystko, co dotąd powiedziałem, rzucić okiem na ubiegłe pięć lat naszego życia związkowego, pierwsze pięć lat działalności Związku w warunkach Polski Ludowej.

Na zewnątrz w okresie tym już dość wyraźnie uwydatniła się nowa pozycja Związku, wzrost jego autorytetu, znaczenia i funkcji w życiu publicznym, poważny wzrost podstaw i środków materialnych, wreszcie, realny udział — zwłaszcza w ostatnim okresie — w pracach, dotyczących ustroju, urządzeń normatywnych i instytucji naszego życia kulturalnego. Nie zawsze i nie wszędzie spotykaliśmy się z właściwym i dostatecznym zrozumieniem spraw, nieraz nawet najbardziej decydujących dla naszej pracy twórczej. Niejedno uprzedzenie, niejeden krótkowzroczny pogląd i niejedną wulgaryzację trudnych i delikatnych zagadnień będziemy jeszcze musieli zwalczać na tej drodze. Myślę, że przyjdzie nam to tym łatwiej, im bardziej nasze **wewnętrzne życie związkowe** będzie się wzmagać i natężać, nadążać za życiem kraju, za bujnym wzrostem potrzeb kulturalnych społeczeństwa w marszu do socjalizmu, a przede wszystkim: im bardziej nasza twórczość będzie się stawać orężem klasowej walki o socjalizm.

Jakże to nasze wewnętrzne życie związkowe rozwijało się w okresie ubiegłych pięciu lat? Czy, w porównaniu z okresem przedwojennym, uległo ono jakimś widocznym, istotnym zmianom, odpowiadającym nowej sytuacji ustrojowej, nowym potrzebom społecznym, nowym funkcjom twórczości literackiej?

Niestety, z całym samokrytycyzmem musimy sobie powiedzieć, że w tym wewnętrznym życiu Związku przemiany są o wiele mniej widoczne niż w jego pozycji na zewnątrz. Nie potrafiliśmy jeszcze — my, aktywiści związkowi, których większość znajduje się na tej sali, a jeszcze ściślej: my, pisarze — członkowie Partii — nie potrafiliśmy jeszcze ożywić naszych środowisk literackich i pracy naszych władz związkowych tym samym duchem, który przenika codzienne zwycięstwa naszej klasy robotniczej. Nie zdołaliśmy jeszcze w pełni przełamać dawnego stylu życia pisarskiego, klikowości i fałszywego solidaryzmu „branżowego". Nie potrafiliśmy jeszcze — a to jest nasze wyłącznie zadanie — rozbić owych „szklanych kloszów neutralności", o których mówił wczoraj premier Cyrankiewicz.

Po dawnemu główny nurt życia związkowego przepływa jeszcze wciąż w łożysku spraw i zagadnień „zawodowych", bytowo-ekonomicznych. One to absorbowały dotąd w przeważnej mierze czynności władz związkowych, one skupiały na sobie uwagę i zainteresowanie większości masy członkowskiej. Czy to znaczy, że Związek wcale nie powinien się nimi zajmować? Nic podobnego, oczywiście. Sprawy te istnieją w życiu i wiemy, że nie zawsze tam najlepiej wyglądają. Chodzi o to, aby przestały być głównym nurtem życia związkowego.

Prawda, o wiele inny niż we wczorajszej Polsce charakter mają nasze Zjazdy Delegatów. Kraków, Łódź, Wrocław, Szczecin, a teraz Warszawa — to nie tylko uroczyste daty w kronikach Związku, to również wydarzenia ideowe, obrachunki naszych pisarskich sumień, zakręty drogi, po której idziemy. Prawda, że i w codziennym życiu Związku nie brak przejawów rosnącej aktywizacji ideowej, coraz żywiej rozwija się również udział środowisk związkowych w życiu spo-

łeczno-kulturalnym otaczających terenów. Prawdziwy przełom jednak nie został jeszcze dokonany, „stare" przeważa wciąż nad „nowym". Określenie: „zawodowy" zniknęło z nazwy Związku, lecz nadal **dominuje** w jego rzeczywistych funkcjach.

Jakież są przyczyny tego stanu rzeczy?

Najważniejsza z nich, decydująca, tkwi w nas samych, w fakcie, że większość naszych pisarzy — mimo najlepszej nieraz woli i chęci — nie zdołała jeszcze znaleźć swojej drogi, twórczej drogi, do głównego nurtu współczesnego życia polskiego. Na tej drodze najbardziej nawet szczery, ale deklaratywny tylko czy intelektualny stosunek do toczącej się w tym życiu walki — walki klasowej — absolutnie nie wystarczy; to nie jest droga dla niedzielnych spacerowiczów, tę drogę trzeba przeżywać i kochać, bo to jest droga do wielkich celów i do wspaniałej literatury. Walka klasowa toczy się nie tylko w obiektywnej rzeczywistości, ale i w mózgu każdego z nas — i tam musimy ją wygrywać.

Są jednak, prócz tych które tkwią w nas samych, i inne jeszcze przyczyny faktu że Związek nasz nie stał się dotąd Związkiem naprawdę „twórczym", nie zdołał się decydująco przeobrazić z branżowego „syndykatu" — w warsztat przełomu literackiego.

Jedną z nich widzę w niewykrystalizowanej dotąd ostatecznie koncepcji ustrojowej naszego „samorządu kulturalnego", naszych zrzeszeń i stowarzyszeń artystycznych, popularnie zwanych związkami „twórczymi". Że opracowanie i zrealizowanie takiej koncepcji jest dzisiaj sprawą paląco pilną, o tym wie doskonale każdy, kto blisko i praktycznie zetknął się z pracą związkową. Powstała bowiem paradoksalna sytuacja: z jednej strony rozrosły się niezmiernie funkcje i zadania Związków po linii spraw „bytowych" (wspomnę choćby o tych, które wynikają dziś z prowadzenia domów wypoczynkowych i mieszkalnych oraz „domów pracy"), z drugiej zaś — stoją przed nami zupełnie nowe, niewykonywane dotąd, zadania wielkiej wewnętrznej pracy ideologicznej. W tych warunkach sam dobór ludzi do władz związkowych staje się w pewnym sensie kwadraturą koła, jest bowiem rzeczą jasną że prowadzenie spraw „bytowo"-zawodowych wymaga innych kwalifikacji niż kierowanie pracą ideologiczną.

Sądzę, że rozwiązanie tej sprzeczności może przynieść projektowane od paru miesięcy powołanie do życia „Funduszu Popierania Twórczości Artystycznej". Instytucja ta, o charakterze prawno publicznym, skupiłaby w sobie większość spraw „bytowych" twórców w dziedzinie literatury, muzyki, plastyki i architektury. Oparta o poważne, ustawowo określone środki, płynące głównie z wygasłych praw autorskich, spełniałaby nie tylko funkcje o charakterze samopomocy i opieki socjalnej, ubezpieczeń i lecznictwa, ale byłaby również — a nawet przede wszystkim — doniosłym instrumentem polityki związków w zakresie popierania twórczości, rozwijania pomyślnych warunków pracy twórczej. Byłaby czymś w rodzaju banku inwestycyjnego w dziedzinie kultury.

Tak pomyślany Fundusz będzie mógł spełnić swoje zadania tylko pod warunkiem, że jego działalność kierowana będzie bezpośrednio przez zarząd, złożony z przedstawicieli czterech zainteresowanych związków. Wszelkie próby zbudowania go jako jeszcze jednej agendy tego czy innego, choćby bardzo wysokiego urzędu państwowego, opartego na subwencjach i dotacjach, oznaczałyby wypaczenie zasadniczego sensu Funduszu, sensu, który polegać musi na uwolnieniu Związków „twórczych" od konieczności codziennego, bezpośredniego zajmowania się mnóstwem spraw gospodarczo-administracyjnych i na stworzeniu im zarazem sprawnego instrumentu dla technicznej, „materialnej" realizacji właściwych, programowych, merytorycznych zadań związkowych.

Ale stworzenie tak pojętego Funduszu będzie tylko częścią nowej koncepcji organizacyjnej Związku. Dla pełniejszego wyjaśnienia tej koncepcji należy sięgnąć głębiej, w wewnętrzną strukturę Związku, w jego strukturę członkowską.

Struktura ta, w zasadzie i w rzeczywistości, nie różni się dziś od przedwojennej. Nie dlatego, że Związek zrzesza nadal, tak jak dawniej, ogół pisarstwa polskiego, bez różnicy przekonań i światopoglądów, partyjnych i bezpartyjnych; ten fakt nie koliduje bynajmniej z naszą współczesną rzeczywistością. Nie, chodzi raczej o to, że nie uległo zmianie zasadnicze, statutowe kryterium przynależności do Związku. Jakież to jest kryterium?

„Podstawą formalną zgłoszenia się do Związku — czytamy w naszym statucie — jest autorstwo dwóch książek oryginalnych albo sztuk scenicznych, lub wybitny przekład czterech książek autorów obcych. W wyjątkowych wypadkach Zarząd Główny może odstąpić od tych wymagań."

To rzeczywiście czysto formalne kryterium musiało mieć podobne skutki jak każda inna formalistyka: z „litery" często ulatywał „duch".

Dwie książki... cztery przekłady... i do tego jeszcze: możliwość odstąpienia od tej zasady „w wyjątkowych wypadkach"... Starsi koledzy pamiętają doskonale, że przed wojną, kiedy Związek miał w znacznej mierze charakter klubowo-towarzyski, dostanie się w jego szeregi było sprawą raczej łatwą niż zbyt trudną. Ale my wiemy, że „dwie książki" nie robią pisarza, a „wyjątkowe wypadki" nie były tak bardzo wyjątkowe... Toteż wśród członków Związku w owych latach znalazło się niemało takich, których jedyną podstawą przynależności do organizacji, nazywającej się „zawodową", był jakiś — poetycki przeważnie — „grzech młodości", jakaś zgubiona w odległym nieraz czasie i w niepamięci ludzkiej pozycja bibliograficzna.

W warunkach ówczesnych mogło to nie mieć większego znaczenia — były przecież, jak już wspominałem, inne, daleko ważniejsze, ustrojowe przyczyny nikłości wewnętrznego życia Związku oraz jego niewielkiej roli publicznej, społecznej i państwowej.

Zupełnie inaczej musimy spojrzeć na to dzisiaj, w rewolucyjnym okresie najwyższego napięcia, aktywności i dynamiki na wszystkich odcinkach naszego życia. Jak wiadomo, Związek nasz, reaktywowany

w roku 1945 po okupacyjnej przerwie, wszedł w nowy okres swej historii z niezmienioną zasadniczo strukturą przedwojenną, z niezmienionymi w każdym razie kryteriami członkowstwa. W nowych warunkach wnet musiał się ujawnić brak wśród tych kryteriów jednego, niezwykle dziś istotnego: kryterium **aktywności, produktywności pisarskiej,** żywego i trwałego związku z piórem jako narzędziem twórczości, krytyki czy publicystyki. Nie mogło to pozostać bez pewnego wpływu na tętno i temperaturę, na kierunek życia związkowego. Nie zamierzam przeceniać tego wpływu, szukać wśród „martwych dusz" związkowych okoliczności, usprawiedliwiających nasze własne winy. Wiemy jednak z licznych doświadczeń, zwłaszcza z przebiegu ogólnych zebrań członkowskich w oddziałach Związku, że „martwe dusze" budziły się energicznie, gdy była mowa o (ważnych skądinąd) „bonach tłuszczowych" czy zniżkach kolejowych — i zasypiały na ogół z powrotem, gdy dochodziło do głosu jakieś istotne, twórcze zagadnienie pisarskie. Koledzy mi wybaczą, że tak otwarcie dotykam wstydliwych miejsc naszego związkowego środowiska, nie sądzę jednak, aby zamykanie przed nimi oczu pomogło nam w przezwyciężaniu wszystkiego, co stoi nam na drodze nowych zadań i nowej roli naszej organizacji.

Jedno nie ulega wątpliwości: paląca sprawa postawy naszego pisarstwa wobec nowej, rewolucyjnej rzeczywistości państwa ludowego i jego problematyki może się twórczo przełamywać jedynie w świadomości **pisarza-aktywisty,** dla którego — wcześniej czy później — musi się stawać sprawą jego najgłębszego „być albo nie być", sprawą o znaczeniu nie tylko „życiowo" ale i duchowo — decydującym. Droga aktywizmu pisarskiego, to jest właśnie ta droga, po której doszło do Polski Ludowej wielu naszych kolegów, którzy w dążeniu do niej nie brali dawniej udziału. **Kryterium aktywności pisarskiej powinno stać się zasadą decydującą o przynależności do Związku Literatów Polskich, a tym samym o jego nowej roli i zadaniach.**

Przyjęcie tej zasady nie będzie miało nic wspólnego z jakimś zacieśniającym elitaryzmem, z ochroną wąsko pojętego zawodowstwa. Wręcz przeciwnie, konsekwencją tej zasady musi być uchylenie wszelkiej formalistyki, szerokie otwarcie dostępu do szeregów związkowych dla każdego ujawniającego się talentu — i troska, solidarna troska związkowa o to, aby talenty te rozwijać, podtrzymywać w aktywności.

Przyjęcie tej zasady nie umniejszy w niczym powagi i znaczenia tych pisarzy-członków Związku, którzy po twórczych, bogatych w dorobek latach odłożyli lub odłożą pióra. Statut Związku powinien przewidywać sposób i formę podkreślenia ich zasług i pozycji w literaturze narodowej.

IV

Oczyszczenie szeregów związkowych z elementów fikcyjnych, przypadkowych, nieproduktywnych, nie wyczerpuje jednak sprawy przebudowy struktury wewnętrznej Związku. Jedną z przyczyn, hamujących właściwy rozwój życia związkowego i konkretyzację prac związkowych,

była dotychczasowa — powiedziałbym — bezpostaciowość masy członkowskiej, brak spoistości i ściślejszych powiązań, wynikających z rodzaju zainteresowań twórczych.

Ten stan rzeczy może i powinien ulec głębokiej zmianie przez powołanie w ramach Związku **sekcji** roboczych: poetów, prozaików, dramaturgów, literatury dziecięcej, tłumaczy oraz ewentualnie krytyków i publicystów literackich. Każdy z członków Związku byłby zobowiązany brać udział w pracach przynajmniej jednej sekcji, według głównego z uprawianych przez siebie rodzajów twórczości. Nie precyzując tutaj szczegółowo organizacyjnego ujęcia tych sekcji, pragnę jedynie podkreślić, że pozwoliłyby one nie tylko ożywić, ale i urealnić prace związkowe, związać je w sposób ciągły, programowy, z konkretną problematyką ideową i artystyczną, z konkretnymi przejawami twórczości w danej dziedzinie.

Zasadnicze znaczenie dla całości życia literackiego, dla jego problemów generalnych, należałoby przewidzieć dla inaczej niż dotąd pojętej instytucji **Plenum Zarządu Głównego.** Byłyby to, raz na rok mniej więcej zwoływane, dwu- lub trzydniowe sesje z udziałem szerszego aktywu związkowego z terenu całego kraju, poświęcane węzłowemu w danym okresie zagadnieniu. Takie sesje plenarne miałyby podwójne znaczenie: przekładając bieżące zagadnienia walki klasowej i budownictwa socjalistycznego na język problemów literackich, środowiskom związkowym na terenie kraju dawałyby podstawowy materiał dla bieżącej pracy wewnętrznej, społeczeństwu zaś sygnalizowałyby etapy rozwojowe życia literackiego.

Doroczne sesje plenarne Zarządu Głównego pozwoliłyby, zgodnie z wysuwanymi już nieraz sugestiami, odbywać Walne Zjazdy Delegatów nie co roku, jak dotychczas, lecz raz na trzy lata.

V

Jak kolegom wiadomo, na obecnym etapie naszego socjalistycznego budownictwa wysunęło się na pierwszy plan zagadnienie kadr i właściwego ich wykorzystania. Jak zagadnienie to przedstawia się na odcinku literatury, jak powinniśmy je widzieć w perspektywie nowej roli i zadań naszego Związku?

Mówiłem już o konieczności przebudowania struktury członkowskiej Związku pod hasłem: **Tylko aktywni pisarze w szeregach ZLP!** Podkreśliłem, że wprowadzenie tej zasady otworzy szeregi związkowe dla dopływu nowych talentów, wyłaniających się z mas ludowych oraz zobowiąże władze związkowe do zwiększonej troski o ich szybki rozwój i rosnącą aktywizację. Na ten odcinek będzie musiała być skierowana również czujna i troskliwa praca sekcji roboczych Związku.

Anachronizmem jest już dziś pogląd, że pisarstwa nie można się „uczyć". Trudno zalecać w tej mierze amerykańską metodę podręczników w rodzaju tego, jaki widziałem w księgarni nowojorskiej: gruby tom pod blagierskim i tak bardzo znamiennym tytułem. „Jak napisać i **sprzedać** powieść?" Słuszniej będzie skorzystać z doświadczeń „stu-

dium literackiego" prowadzonego przez Związek Pisarzy Radzieckich; w rozwiązywaniu u nas zagadnienia nowych kadr pisarskich doświadczenia te na pewno znakomicie ułatwią nam zadanie.

Oczywiście, na odcinku literackim zagadnienie kadr jest zagadnieniem nie tyle ilościowym ile jakościowym. Prawdziwy talent pisarski jest w każdym razie niezmierną rzadkością. Na ogół, samo ujawnianie się takich talentów wśród mas ludowych jest względnie łatwe w dzisiejszych warunkach, dysponujemy mnóstwem dróg i sposobów ich „wychwytywania". Rzecz sprowadza się głównie — w ramach Związku — do otaczania tych talentów naprawdę troskliwą i mądrą opieką, nie tylko w sensie pomocy materialnej, ale przede wszystkim w sensie troski o dojrzewanie i rozwój ideologiczny i artystyczny.

Ale w naszym literackim środowisku inny jeszcze akcent zagadnienia „kadrowego" posiada dzisiaj szczególne znaczenie. Dopływu nowego „narybku" nie da się tutaj ani przewidywać, ani tak planowo regulować, jak w innych dziedzinach produkcyjnej pracy. Tym bardziej więc narzuca się konieczność najbardziej celowego wykorzystania istniejących już, sformułowanych kadr. Rzucone przez Prezydenta Bieruta na IV Plenum KC PZPR hasło: „Inżynierowie i technicy — do produkcji" musi być jak najdobitniej przeniesione na odcinek literacki w prostej i jasnej trawestacji:

P i s a r z e — d o t w ó r c z o ś c i!

Myśl wyrażona w tym wezwaniu nie znajdowała u nas dotąd dostatecznego zrozumienia i — zastosowania. Jeśli nawet uznaje się ją w zasadzie, nie zawsze stosuje się ją w życiu. Związek nasz, trzeba przyznać samokrytycznie, nic dotąd nie uczynił dla wywalczenia tej zasadzie pełnego znaczenia praktycznego. Zaniedbanie to musi być energicznie odrobione. Jeśli jednym z głównych zadań Związku ma być aktywizacja twórczości jego członków, musi on przeciwstawiać się wszystkiemu, co aktywizację tę utrudnia czy uniemożliwia — na zewnątrz jak i na wewnątrz.

Chodzi tu m.i. o zwalczanie pewnego niepokojącego zjawiska, znamiennie występującego dotąd w naszym życiu publicznym oraz wewnętrzno-związkowym. Mam na myśli zjawisko bardzo nierównomiernego udziału naszych pisarzy zarówno w jednym jak i w drugim. Hasło naczelne: aktywizacji twórczości nie da się w pełni zrealizować bez bardziej niż dotąd równomiernego rozłożenia w środowisku pisarzy — sumy pewnych niezbędnych funkcji ogólno-społecznych, zwłaszcza związkowych. Choć brzmi to na pozór dziwnie, stwierdzić trzeba, że hasło: „Pisarze do twórczości", powinno być uzupełnione drugim wezwaniem: „Pisarze do szerokiej współpracy z masowym ruchem kulturalnym!" oraz „Pisarze do pracy związkowej!" Sprzeczność tego sformułowania, jest, wierzcie mi, koledzy, naprawdę tylko pozorna.

Chciałbym się jednak zastrzec: hasło „Pisarze do twórczości" nie powinno być rozumiane jako apel do twórczości „w ogóle", do twórczości „jako takiej". Gdyż twórczość „jako taka" wcale nie istnieje. Pisarstwo, które nie wyrasta z walk i dążeń klasy, reprezentującej w da-

nej epoce postęp społeczny, nie jest twórczością lecz wszystkim innym: czepianiem się wczorajszego dnia lub, jak powiedział Majakowski, „obmyślaniem zeszłorocznego śniegu", narkomanią duchową, rejestracją procesów gnilnych, albo po prostu formalistycznym zabawkarstwem. Duży i ponury wybór tego wszystkiego można znaleźć w dzisiejszej literaturze amerykańskiej, francuskiej, zachodnio-niemieckiej...

Nie, „pisarze do twórczości" to nie znaczy: pisarze do gabinetów z pozamykanymi szczelnie oknami. To może znaczyć jedynie: otworzyć szeroko okna pracowni pisarskich! Usłyszeć i zobaczyć, a przede wszystkim przeżyć wewnętrznie i pojąć istotę wielkiego, gwałtownego procesu dziejowego — i znaleźć do niego prosty, solidny, nie zanadto wymyślny, nie wysztuczniony klucz pisarski!

Łatwe? Przeciwnie, bardzo trudne. Trudniejsze od najbardziej wykwintnego szamaństwa „warsztatowego". Trudniejsze, ale warte trudu.

VI

Nasz piąty, Warszawski Zjazd ma do spełnienia niezwykle doniosłe zadanie. Jak już powiedziałem w moim zagajeniu, w dniu otwarcia obrad, fakt że po raz pierwszy zebraliśmy się we własnej siedzibie związkowej, w tym pięknym stołecznym Domu Literatury, ma swoją symboliczną wymowę. Czujemy wszyscy, że w tych murach, w których dopiero co umilkły odgłosy pracy robotników, w tych murach, przez których okna raduje oczy piękność trasy W—Z, w tych starowarszawskich a tak bardzo odmłodzonych murach zacznie się nowy, bujniejszy, piękniejszy okres naszego związkowego życia. Cóż ma być główną treścią tego życia, jakim zadaniom mają służyć te odbudowane mury i ta nasza organizacja pisarska, którą w nich chcemy dzisiaj przebudować?

W swym przemówieniu wrocławskim w listopadzie 1947 powiedział Prezydent Bierut:

„Wolny od przesądów działacz naukowy i kulturalny, twórca czy wychowawca, musi zdawać sobie przede wszystkim sprawę, że podstawowym źródłem jego twórczości jest ciężka praca robotnika i chłopa, codzienny mozolny wysiłek ludu pracującego, który go żywi i karmi... Obowiązkiem twórcy, kształtującego duchową dziedzinę życia narodu, jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknoty i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym winno być podniesienie i uszlachetnienie poziomu życia tych mas."

W świeżych murach tego Domu przytoczone słowa Pierwszego Obywatela naszego kraju powinny stać się dla nas szczególnie zrozumiałe i szczególnie — obowiązujące. W społeczeństwie budującym socjalizm literatura przestaje być — jak wczoraj — czymś, co się zatacza z nogi na nogę gdzieś pomiędzy rzeźnią miejską a sklepem perfumeryjnym; w społeczeństwie budującym socjalizm literatura odzyskuje ziemię pod nogami, ziemię do głębi poruszoną pługiem wielkiego przewrotu społecznego. Na takim gruncie trzeba nauczyć się chodzić. Nie wystarcza

zawierzyć tylko instynktowi pisarskiemu oraz zgromadzonemu w innej epoce zapasowi środków i środeczków artystycznych. „Inżynierstwo dusz" — któryż pisarz nie marzy o posiadaniu takiej sztuki i takiej władzy? Ale „inżynierstwa dusz" trzeba się uczyć, trzeba się uczyć tak żarliwie, jak się uczył ów Stanisław Pierzynka, syn górnika, robotnik dąbrowiecki, który przed trzema laty, sam mając wówczas lat 47, uzyskał dyplom inżyniera w Krakowskiej Akademii Górniczej.

Półtora roku temu nasz Zjazd Szczeciński proklamował realizm socjalistyczny jako twórczą metodę pisarską — metodę nie tylko widzenia i wyjaśniania, ale i przeobrażania rzeczywistości przez pisarza. Proklamacja ta wrasta coraz głębiej w naszą świadomość — i ona to wyznacza jedno z naczelnych zadań Związku. Główny nurt życia związkowego i najistotniejsza rola związkowego kierownictwa musi polegać na rozwijaniu w środowisku literackim pełnej wiedzy, postawy i świadomości pisarza-realisty, oraz pełnego poczucia indywidualnej i kolektywnej odpowiedzialności za socjalistyczne budownictwo na odcinku literatury.

Nie chodzi o żadną szkółkę czy przedszkole, nie chodzi o prowadzenie grzecznych pisarzy za rękę — przeciwnie, Związek musi energicznie walczyć z tak pojmowaną biurokratyczną metodą niańczenia nowej, z trudem rodzącej się twórczości. Być może, jest to metoda najłatwiejsza, ale powiedział kiedyś Stalin, pisząc o sprawach literatury, że „nie wolno... uważać rzeczy najłatwiejszej za najlepszą". Rodzenie się nowej, godnej naszego czasu twórczości literackiej jest procesem bardzo trudnym — i Związek nasz powinien stworzyć i zabezpieczyć pomyślny klimat dla tego procesu; powinien przyjąć główną odpowiedzialność za jego przebieg i rozwój, ale i posiąść zarazem jak największy autorytet i samodzielność w ocenie poszczególnych zjawisk literackich, indywidualności pisarskich i ich poczynań twórczych.

Konkluzje powyższe przedstawiam kolegom do rozważenia w dyskusji. Jestem głęboko przekonany, że dyskusja ta, nie rezygnując z żadnej nasuwającej się uwagi krytycznej, nie straci jednak z oczu głównego zadania, stojącego przed tym Zjazdem: przeobrażenia naszego Związku w tętniące, żywotne i ruchliwe środowisko walki o nową, socjalistyczno-realistyczną literaturę polską, w warsztat krytycznej i samokrytycznej myśli pisarskiej, w świadomy, solidarnie odpowiedzialny za twórcze przemiany w życiu i sztuce, czołowy aktyw rewolucji kulturalnej w Polsce.

Leon Kruczkowski

D Y S K U S J A

W dyskusji ideologicznej pierwszego dnia obrad przemawiali: T. Borowski, M. Jastrun, Z. Wróblewski (ZMP), Z. Lichniak, W. Dewicowa (ZHP) i H. Bobińska.

TADEUSZ BOROWSKI:

Wydaje mi się, że nieproduktywność i pewne — powiedziałbym — karykaturalne męki duchowe pisarzy wynikają nie tylko z potrzeby warsztatu twórczego. Mnie się wydaje, że jeżeli tutaj będziemy o tym dyskutować, nie zapominajmy, że za warsztatem twórczym kryje się materiał krytyczny. Jeżeli nie chcemy go obrabiać, to świadczy to o jasnej, zdecydowanej, świadomej, czasami może zagubionej postawie politycznej. Rozum i uczucie pisarza to dwie jego ręce, którymi kształtuje rzeczywistość. Możemy rozumowo zgodzić się z Polską Ludową czy socjalizmem. Możemy mówić: ja i socjalizm sobie nie przeszkadzamy, ale tak nie stworzymy żadnej literatury. Tylko gorące uczucie, tylko zrozumienie dziejących się u nas przemian pozwoli nam dostrzec je w życiu każdego człowieka, z którym mówimy. Winniśmy w każdej chwili, którą przeżywamy, dostrzegać wszędzie procesy przemiany, przebudowy i wyrastania nowych objawów życia: ta traktorzystka, która pieszczotliwie zwraca się do traktora i mówi rubasznie, że te traktory są jak nasi mężowie i my z nimi razem stanowimy parę, te dzieci, które śpiewają pieśń i ci robotnicy, którzy uczą się i zajmują odpowiedzialne stanowiska, te setki i tysiące PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych, które wyrastają z agitacji tych właśnie dziewcząt i tych robotników— to wszystko stanowi wielki i piękny materiał dla sztuki, jeżeli pragnie ona żyć, a nie — jak powiedział przed kilku godzinami Premier — żywcem kłaść się do trumny.

Nie ma walki pokoleń, jest walka klas: w rzeczywistości historycznej i społecznej, w literaturze, w malarstwie, w plastyce. Wydaje mi się, że my wszyscy, którzy w niej bierzemy udział, musimy się w tej walce rozeznać, musimy wyrobić w sobie czujność, ażeby reagować w każdej chwili i w każdym miejscu na działalność i ideologię wroga klasowego.

Wydaje mi się, że powinniśmy niesłychanie czujnie i niesłychanie krytycznie przeglądać swój warsztat twórczy, kiedy układamy dialog, opis, kiedy komponujemy opowiadanie, kiedy myślimy o wierszu, kiedy budujemy dramat, kiedy budujemy nawet przemówienie. Niekiedy wkradają się do naszych dzieł tamte złe wpływy, tak jak do moich nowel — wpływy Steinbecka. Dziś te rzeczy nawet dla mnie stają się niekiedy nieczytelne. Musimy z niesłychaną pilnością studiować osiągnięcia literatury radzieckiej i postępowej literatury świata.

Czasami, gdy myślę trochę zbyt pesymistycznie o naszej literaturze, wy-

daje mi się, że jest ona lampą naftową. Ale myślę wtedy z nadzieją i dumą o oczekującej nas pracy, o tym, że i my potrafimy zmienić ją w lampę elektryczną, która oświetli i pokaże nam postępowe obszary świata, obszary Polski Ludowej w całej ich piękności, w całej ich nadziei i wierze.

MIECZYSŁAW JASTRUN:

Niegdyś we wstępie do włoskiego wydania Manifestu Komunistycznego pisał Fryderyk Engels:

„Zmierzch feodalnego średniowiecza, zorzę współczesnej ery kapitalistycznej znaczy gigantyczna postać: to Włoch, Dante, ostatni poeta średniowiecza i zarazem pierwszy poeta czasów nowożytnych. Obecnie jak około roku 1300, otwiera się nowa era historyczna. Czy dadzą nam Włochy nowego Dantego, który upamiętni godzinę tej nowej proletariackiej ery?"

W kilkanaście lat później pojawił się ów oczekiwany przez Engelsa piewca proletariackiej ery. Pojawił się nie we Włoszech jednak, lecz w Rosji: sądzę, że „gigantyczna postać" Włodzimierza Majakowskiego wyznacza w poezji początek nowej ery proletariackiej.

Był on poetą wielkiego przełomu i zarazem poezja jego otwiera ogromne perspektywy na przyszłość, na ową „dal komunistyczną", którą miał stale przed oczami.

Trzeba czytać na nowo okolicznościowe wiersze a także niektóre poematy Majakowskiego, by uprzytomnić sobie, z jaką sprawiedliwą nienawiścią uderzał ten poeta wielkich treści w ówczesną mieszczańską lirykę w rodzaju Balmonta lub Siewierianina. Upolitycznił on poezję rosyjską tego czasu, dał jej nie tylko rozmach, ale także poczucie odpowiedzialności za słowo, któremu wyznaczał rolę wychowawczą i współbudującą historię.

Wokół sprawy dziedzictwa przeszłości, o ile może ono nam być przydatne dzisiaj w naszej pracy literackiej, wytworzyło się bodaj najwięcej nieporozumień. Jasną jest rzeczą, że to, co w przeszłości było twórcze, postępowe, rewolucyjne, może nam dzisiaj służyć nie jako bezpośredni wzór do naśladowania, lecz jako kierunek.

Należy to podkreślić, gdyż nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, jaki ma być nasz stosunek do piśmiennictwa przeszłości. Niektórzy literaci, zwłaszcza początkujący, sądzą, że chodzi tu o naśladowanie treści i form, które oczywiście nie mogą być powtórzone w innym czasie, w innych warunkach społeczno-politycznych. Tymczasem zerwanie z naszą literacką tradycją narodową, którą w okresach dekadencji, formalistycznego stosunku do sztuki usiłowano nie twórczo zastępować przeciwnymi wzorami, nie wychodziło na dobre ani naszej prozie, ani naszej poezji. Zamiast czerpać z żywego źródła postępowej rewolucyjnej poezji polskiej czy to w wieku XVIII, czy w wieku XIX, nawiązywano często do wzorów zagranicznych z okresów dekadencji i nie usiłowano nawet tych wpływów asymilować.

Te wyraźnie kosmopolityczne tendencje miały również za podstawę niezrozumienie roli języka jako narzędzia literatury narodowej. Przeceniano często rolę pewnych ubocznych zjawisk języka, przypisując im nadmierne znaczenie. Tak np. w ostatnich czasach, usiłując tłumaczyć rewolucję, jakiej dokonał Mickiewicz w poezji polskiej, jednostronnie przeciwstawiano język jego ballad językowi klasyków warszawskich, przyjmując za założenie, że klasycy warszawscy mówili właściwie innym, odrębnym językiem, przy czym przemilczano sprawę języka Słowackiego, który jak wiadomo dokonał ró-

wnież wielkiej, może w nie mniejszym stopniu niż Mickiewicz, rewolucji w dziedzinie poezji polskiej. A nie posługiwał się on prowincjonalizmami, mową gminną w tak szerokim zakresie jak Mickiewicz.

Z tego błędnego pojmowania pochodzi również nieporozumienie w dziedzinie języka współczesnych wierszy. Często pseudo-proletariacką gwarę przyjmuje się i wysuwa jako język współczesnej, proletariackiej poezji. Oczywiście chodzi tu o szkodliwą przesadę w ujmowaniu tych zagadnień, gdyż nie podobna zaprzeczyć roli, jaką prowincjonalizmy, wyrażenia tzw. pospolite, odegrały zwłaszcza w początkach naszego romantyzmu i roli, jaką może odegrać wprowadzenie żywego, potocznego języka ludzi pracy do dzisiejszej poezji, co zresztą już się częściowo dokonuje.

Młoda Polska ze szczególną zaciętością psuła, kaleczyła język różnymi pseudo-ludowymi neologizmami i wyrażeniami gwarowymi. W takim stosunku do języka narodowego niewątpliwie przejawiała się również jej reakcyjność społeczna. Jest w tym wydziwianiu językowym typowo inteligencki stosunek do ludu, stosunek letnika, który stara się mówić gwarą, sądząc, że jest to najlepszy środek zespolenia się z masą ludową.

U wybitnych poetów polskich ostatniego czasu można obserwować, jak w wierszach ich współżyje mowa największego okresu naszej poezji, mowa poezji romantycznej z żywiołem dzisiejszego potocznego języka. Zjawisko to zachodzi ze szczególną wyrazistością w poezji Broniewskiego i Tuwima.

Tworzyć można jedynie z materiału żywego, z bogactw współczesności. Wcale nam nie chodzi o to, by produkować „plutony epigonów bez krztyny talentu" — jak mówił Majakowski. Przeciwnie, powinniśmy dążyć do podniesienia zarówno ideologicznej jak i artystycznej jakości poezji w Polsce.

ZDZISŁAW WRÓBLEWSKI (ZMP):

Literatura nasza w minimalnym, zupełnie niewystarczającym stopniu pomaga młodzieży w kształtowaniu jej poglądu na świat, w wychowaniu mas młodzieży w duchu miłości własnej ludowej ojczyzny, miłości do Związku Radzieckiego i braterstwa z walczącymi o wolność i postęp ludami świata. W niedostatecznym stopniu budzi ona w młodzieży wolę walki z tymi, którzy chcą świat zapalić pożogą nowej wojny, z imperialistami amerykańskimi, z rodzimą reakcją, która drogą morderstw, sabotażu, kłamstw i oszczerstw próbuje odwrócić bieg historii i usiłuje wciągać młodzież w ciemne matnie politycznego podziemia.

Byłoby ślepotą polityczną nie dostrzegać faktu, że w obecnym niesłychanie nasilonym i ostrym stadium walki klasowej wróg klasowy koncentruje swoje ataki na odcinku młodzieży, stara się ją wciągnąć do band, demoralizuje ją plotkami, że szczególnie w naszych szkołach średnich walka ta przybiera niesłychanie różnorodne i ostre formy. W tej toczącej się ostrej walce literatura nie stała się dotąd bronią w naszym ręku, stoi ona niejako na marginesie. Twórcy w dużej części zajęli pozycję beznamiętnych obserwatorów, nie tkwią w jej gorącym nurcie. A książka polskiego literata powinna być przyjacielem, doradcą i nauczycielem młodego działacza ZMP-owskiego, młodego przodownika pracy, walczącego z sabotażem i marnotrawstwem, młodego chłopa walczącego o spółdzielczość produkcyjną, ucznia zdobywającego wiedzę, walczącego z wrogiem w szkole o postępową treść nauki i o jej dobre wyniki.

Jest w naszej historii wiele takich postaci, na których życiu i walce wy-

chowywać się powinny całe pokolenia. Są takie piękne, bohaterskie drogi życia, jak pełna walki i chwały droga Marcelego Nowotki, droga Mieczysława Kalinowskiego, która wiodła od szewskiego stołka do czołówki działaczy Międzynarodówki Komunistycznej Młodzieży, i do bohaterskiej śmierci w szeregach Pierwszej Armii, jak droga życia Janka Krasickiego, Hanki Sawickiej i wielu innych.

Jest wreszcie nasza dzisiejsza rewolucyjna rzeczywistość — walka z wrogiem, bohaterska walka starych i młodych robotników o produkcję, walka chłopów o spółdzielczość na wsi. Rosną nowi mocni ludzie epoki socjalizmu i na nich chce się wzorować młodzież.

ZYGMUNT LICHNIAK:

Nie roszczę sobie pretensji do reprezentowania wszystkich pisarzy katolickich w Polsce Ludowej. Występuję, ażeby wyjaśnić przynajmniej w ogólnym szkicu motywy tej linii krytycznej „Dziś i Jutro", które nie odpowiadają kol. Ważykowi. Uważam jednak, że dla właściwego postawienia zagadnienia konieczne jest pewne zupełnie konkretne wyjaśnienie. Te postulaty, te ideały, te obowiązki, które pisarstwu polskiemu postawił referent na początku swojej wypowiedzi, a przede wszystkim podkreślony przez niego obowiązek służenia najistotniejszym potrzebom społecznym naszych czasów, konieczność pogłębienia poczucia odpowiedzialności pisarzy za pokój i za socjalizm, uważamy za jak najsłuszniejsze i jak najbardziej również za nasze. Uważamy, że w walce o ideały pokoju miejsce pisarza katolickiego powinno być możliwie konkretne i możliwie jasne. Przyznam, że pisarstwu katolickiemu można postawić z tego punktu widzenia, zwłaszcza jeżeli chodzi o zainteresowanie się życiem współczesnym, wiele zarzutów. Chciałbym przypomnieć, że sam te zarzuty niejednokrotnie formułowałem. Te zarzuty postawione czy sugerowane w referacie kol. Ważyka, przyjmujemy jako słuszne, nie możemy jednak przyjąć i nie przyjmujemy zarzutów, które wynikają z oceny naszych metod krytyki, dokonanej przez Ważyka, jakoby religijny pogląd na świat uniemożliwiał zajęcie prawidłowej postawy politycznej, jakoby uniemożliwiał prawidłową postawę naukową.

WIKTORIA DEWICOWA (ZHP):

Chciałabym nawiązać do przemówienia kol. Wróblewskiego i mówić w imieniu najmłodszych odbiorców literatury, w imieniu dzieci szkół podstawowych, których organizację tutaj reprezentuję. Nasza praktyka, nasza praca, potwierdza codziennie tezę omawianą na Zjeździe Literatów w Związku Radzieckim o nierozerwalnym związku literatury dziecięcej z pedagogiką. Dobra książka dla dzieci, to dziś nie tylko poważne zagadnienie literackie, to także palący codzienny problem w naszej pracy wychowawczej, tym bardziej że same dzieci dopominają się, ażeby książka pokazała im wzór, żeby była dla nich drogowskazem w tych wszystkich problemach, w tych trudnościach, w tej walce, która ma miejsce w środowisku dziecięcym, w szkole, w życiu koleżeńskim, w życiu domowym.

Wydaje mi się, że te sprawy literatury młodzieżowej są bardzo poważne. Jest to zadanie, nad którego rozwiązaniem pracuje się w Związku Radzieckim i w krajach Demokracji Ludowej. Literatura dziecięca czeka na wyciągnięcie wniosków z doświadczeń literatury radzieckiej.

W drugim dniu obrad przemawiali: M. Kierczyńska, W. Woroszylski, J. Kott, S. Cieślikowska (CRZZ), A. Surkow, K. Wyka, S. Żółkiewski, A. Słucki, W. Sokorski, A. Wydrzyński, W. Żółkiewska, K. Gruszczyński, J. Siekierska, R. Matuszewski i J. Putrament.

MELANIA KIERCZYŃSKA:

Realizm socjalistyczny nie jest dziedzicem realizmu krytycznego, nie wywodzi się z niego. Stanowi on w stosunku do realizmu krytycznego tak samo rewolucyjny skok, jak skokiem rewolucyjnym jest materializm naukowy, marksizm - leninizm, w stosunku do feuerbachowskiego, przedmarksowskiego materializmu. Jest jego przezwyciężeniem, jego negacją (w marksistowskim znaczeniu tego słowa, zakładającym wchłonięcie pierwiastków istotnych i słusznych przy jednoczesnym wzniesieniu się na inny nowy poziom warunkujący całkowicie nową jakość zjawiska).

Materializm przedmarksowski usiłował tylko objaśnić świat, materializm naukowy stawia sobie za zadanie torować drogi przeobrażeniu świata, w oparciu o poznane po raz pierwszy prawa rozwoju społecznego. Stąd postulat naczelny *jedności teorii i praktyki*, a w dziedzinie sztuki, w dziedzinie literatury postulat *aktywności* postawy twórczej pisarza epoki realizmu socjalistycznego, jego włączenia się pisarstwem swoim w walkę awangardowej klasy społecznej, w sprawę budowania socjalizmu. Z naczelnej przesłanki, że wszelka teoria, ideologia w społeczeństwie klasowym uwarunkowana jest pozycją zajętą w walce klas, że całkowicie słuszna i prawdziwa, jedynie zatem naukowa, jest pozycja teoretyczna ideologicznych przedstawicieli awangardowej klasy, proletariatu — wynika, że jedynie aktywne, emocjonalne zespolenie się twórcy ze sprawą przodującej klasy zapewnia słuszne widzenie i rozumienie świata. Stąd walka z postawą *obiektywistyczną*, stąd apel o *partyjną* postawę twórcy-realisty socjalistycznego, o partyjną postawę bezpartyjnego na równi z pisarzem-członkiem partii. Po obaleniu panowania klas wyzyskujących, po zniesieniu ustroju wyzysku, wytwarza się stopniowo moralno-polityczna jedność narodu.

Socjalizm buduje cały naród pod przewodnictwem klasy robotniczej, a partia jest mózgiem tej klasy, ona wytycza drogi realizacji celów, które stały się ogólnonarodowymi celami. Stąd partyjną postawę zajmuje każdy pisarz, którego twórczość tym celom służy, który ma w sobie zrozumienie rzeczy, żarliwość, czujność i oddanie sprawie, właściwe postawie partyjnej.

Nie ma właściwego rozumienia rzeczywistości bez głębokiej znajomości otaczającego nas życia, znajomości nieosiągalnej inaczej jak poprzez aktywny w nim udział. Dopiero na bazie takiego uczestnictwa w najważniejszej sprawie epoki, w sprawie budownictwa socjalizmu, walki o pokój, o wyzwolenie ludzkości materializm naukowy staje się niezawodną busolą w rozumieniu świata. Zanika typ pisarza, który byłby realistą „wbrew" swojemu poglądowi na świat, którego słuszne, realistyczne widzenie rzeczywistości byłoby zachwaszczone i zniekształcone przez wpływ błędnych, idealistycznych

koncepcji. Materializm naukowy, coraz głębiej przyswajany, potęguje ogromnie zdolność widzenia twórcy, ukazując mu słuszne i dalekie perspektywy rozwojowe, pozwalając tym samym w zarodku jakiegoś zjawiska dostrzegać jego przyszłą rozwiniętą postać.

Ten *zmysł nowego*, umiejętność dostrzegania i właściwej oceny kiełkujących dopiero, zarodkowych form rodzącej się nowej rzeczywistości, jest niezmiernie ważną cechą pisarza-realisty socjalistycznego. Walka nowego ze starym jest najistotniejszym momentem epoki budowania socjalizmu i komunizmu. Nigdy nowe pierwiastki nie wyłaniały się w takiej obfitości ani w takim tempie. Toteż jedną z istotnych różnic między realizmem krytycznym a realizmem socjalistycznym jest ta, że realizm krytyczny czerpał tworzywo swoje z układów życia, które w danym ukształtowaniu pozostawały przez dłuższy okres czasu; majsterstwo pisarza polegało na tym, żeby dać kształt artystyczny tym wyraźnie uformowanym rzeczom i sprawom. Realizm socjalistyczny ma do czynienia z rzeczywistością zmieniającą się, przeobrażającą z dnia na dzień. Nie wystarczy tu najbardziej nawet wyostrzona zdolność widzenia w najkonkretniejszych szczegółach tego, co stało się formacją typową, na pewien okres czasu zgrubsza biorąc statyczną. Realista socjalistyczny nie spełni swego zadania, jeśli na dzień dzisiejszy nie potrafi spojrzeć *z pozycji jutra*, tzn. nie dostrzeże miejsca, jakie jutro zajmie zjawisko, które dziś dopiero kiełkuje, które jeszcze nie narzuca się oku. Najlepsze osiągnięcia realizmu socjalistycznego w literaturze radzieckiej mają dlatego właśnie znaczenie prekursorskie, że nadają formę zjawisku (a zatem utrwalają je w powszechnej świadomości), które poza tym nie zostało jeszcze uchwycone w całej swojej złożoności, swoistości i znaczeniu. Dla przykładu wymienię powieść Krymowa „Statek Derbent", która dała wyraz artystyczny rodzącemu się wówczas ruchowi stachanowskiemu, stając się transmisją doprowadzającą ten ruch do świadomości mas.

Warto przypomnieć tu, że Krymow pracował przez lat parę jako inżynier na tankowcach morza Kaspijskiego (jednym z takich tankowców jest właśnie jego „Derbent").

Krymow wstąpił do partii dosłownie w przededniu śmierci (zginął podczas wojny, w 1941 r., na Ukrainie, kiedy niedobitki jego oddziału usiłowały przedrzeć się przez zwarty pierścień hitlerowskich wojsk). Ale wybitnie partyjna postawa tego bezpartyjnego pisarza łącznie z tym, że ludzi i sprawy, o których pisał, znał nie z doraźnych tylko wypraw „w teren", lecz z wieloletniej pracy zawodowej — zadecydowały o konkretności, żywości i sile obrazów tej powieści. *Konkretność* odtworzenia rzeczywistości jest niezbędnym warunkiem przekonywającej prawdy i mocy oddziaływania utworu, a osiągnąć jej nie można bez bogatej znajomości życia.

Nie idzie przy tym tylko o znajomość rzeczowych konkretów, realiów. Dopiero taka znajomość rzeczywistości, która daje głęboki wgląd w duszę działającego na danym odcinku *człowieka*, będzie miała dla utworu decydujące znaczenie. Nosicielem przemian rewolucyjnych jest człowiek. Przetwarzając życie, rzeczywistość, człowiek sam się przeobraża, a szybkości narastania nowych pierwiastków w rzeczywistości zewnętrznej i w układzie międzyludzkich stosunków odpowiada szybkość przemian w stosunku człowieka do pracy, w jego horyzoncie umysłowym, w jego moralnej jakości. Ukazać nową jakość czło-

wieka — budowniczego socjalizmu, jakość inną na każdorazowym nowym etapie rozwoju socjalistycznego budownictwa — to jedno z naczelnych zadań literatury realizmu socjalistycznego. Znawstwo duszy ludzkiej obowiązuje pisarza dziś równie jak ongiś, ale znawstwo istotne, głębsze, gdyż wynikające ze zrozumienia społecznego uwarunkowania najsubtelniejszych nawet reakcji i impulsów w człowieku.

„Inżynierami dusz ludzkich" są pisarze właśnie dlatego, że postaci przez nich tworzone ogniskują w sobie najistotniejsze rysy tej cudownej przemiany, tej nowej jakości, jaką wyzwolił w człowieku ustrój sprawiedliwości społecznej, posiadają więc zdolność zarażania, zniewalają urokiem moralnej siły, bohaterstwa, duchowego piękna, pobudzają do naśladownictwa. *Pozytywny bohater* — postać niemal z reguły papierowa w utworach realizmu krytycznego, stał się najżywszą, centralną postacią w literaturze socjalistycznego realizmu, literaturze, którą cechuje jedność *celów poznawczych i celów wychowawczych.*

Z tego co powyżej powiedziane było o szybkości przemian dokonywających się w naszej epoce zarówno w świecie zewnętrznym, jak w twórcy tych przemian, człowieku, z tego, że literatura, by spełniać swe zadania musi za tymi przemianami nadążać, wynika postulat *aktualności.* Żeby chwytać in statu nascendi rzeczywistość, trzeba tematów ostro aktualnych. Uważnego czytelnika literatury radzieckiej uderza fakt, jak szybko w tematyce powieści czy opowiadania spotyka się sprawy i zjawiska, które stanowią novum, coś co dopiero wypłynęło jako zagadnienie.

Nie wynika stąd wcale, jakoby w literaturze realizmu socjalistycznego znajdowały wyraz artystyczny tylko pierwiastki nowe, pozytywne. Epoka budowania socjalizmu jest epoką nieubłaganej, zaciętej walki zarówno z wrogiem klasowym (na pierwszym jej etapie), jak z przeżytkami przeszłości w psychice człowieka, które są silnym i długotrwałym obciążeniem. Rzecz jasna, że odsłanianie tej walki, demaskowanie tych przeżytków, obrazy ich przezwyciężania stanowią bardzo istotny moment w twórczości pisarzy socjalistycznych. Jednakże bez względu na to, jak ciężkie zmagania są przedmiotem utworu, wydźwięk jego jest *optymistyczny* i nie do pomyślenia jest, aby mógł być inny, gdyż klasa o tak doniosłej misji dziejowej, klasa zwycięska (która już zwyciężyła, albo tam, gdzie nie zwyciężyła jeszcze, ma pewność, że zwycięży jutro) nie może zrodzić literatury pesymistycznej. Dzisiaj, w dobie ostatecznej rozgrywki na całym świecie, pesymizm i optymizm stały się kategoriami klasowymi, nie sprawą usposobienia, dyspozycji psychicznych jednostki, lecz sprawą pozycji klasowej, poglądu na świat. Nie mówiąc już o utworach literatury radzieckiej, których optymizm nasycony jest patosem zwycięskiej, dokonywanej siedmiomilowymi krokami drogi ku komunizmowi — ale nawet „Reportaż spod szubienicy" Fuczika, czy „Listy rozstrzelanych" najlepszych synów Francji, tak pełne grozy, mają w sobie jakże wielki ładunek optymizmu.

Realizm tej literatury jest przeto w swoisty sposób zespolony z *romantyzmem.* To, co idealizm burżuazyjny rozgradzał, szufladkował jako zjawiska odrębne, nieprzenikające się wzajemnie — realizm i romantyzm, rzeczywistość i marzenie — tego jedność postuluje realizm socjalistyczny. Epoka budownictwa socjalizmu łączy w sposób nierozerwalny realizm twardej, ciężkiej pracy przy warsztacie, na rusztowaniu

budującego się gmachu, i romantyzm tworzenia nowego sprawiedliwego świata. Praca człowieka jest zarówno aktem realnego budownictwa, jak ucieleśnieniem marzenia. Jej rozmach, jej perspektywy, jej nowa jakość pracy twórczej decyduje o tym.

I dlatego właśnie, że praca, walka, budownictwo, przezwyciężanie przeszłości zarówno w rzeczywistości samej jak w psychice tworzącego ją człowieka, stanowią zasadnicze tworzywo literatury realizmu socjalistycznego — jej cechą wybitną — mówię tu o prozie opowiadającej — jest jej *akcyjność*.

„Naszym punktem wyjścia — stwierdzali Marks i Engels — jest nie to, co ludzie mówią, co sobie wyobrażają i przedstawiają, nie są ludzie ujęci w słowie, w myśli, w przedstawieniu i wyobrażeniu, nie od nich idziemy do ludzi rzeczywistych, naszym punktem wyjścia są ludzie istotnie czynni, z ich rzeczywistego procesu życiowego wyprowadzamy również rozwój ideologicznych odzwierciedleń i oddźwięków tego procesu życiowego" („Niemiecka ideologia").

Proza realizmu socjalistycznego nie może być amorficzna, pozbawiona konstrukcji i akcji; traktując wszelkie przemiany w psychice, w ideologii, w świadomości człowieka jako „odzwierciedlenia i oddźwięki procesu życiowego", musi ona odtwarzać ten proces życiowy ze wszystkimi jego perypetiami, aby ukazać człowieka, który go tworzy i jest przez niego tworzony. Sprawa kompozycji, sprawa nasycenia fabularnego, nasycenia akcją nie jest sprawą formy tylko, jest sprawą treści, sprawą ideologii.

*

Jest rzeczą znamienną, że samo określenie charakteryzowanej wyżej metody twórczej jako „realizmu socjalistycznego" zrodziło się nie w środowisku literackim, lecz poza nim. Tymi słowami określił literaturę epoki socjalizmu Stalin. Określił ją na początku lat trzydziestych największy kontynuator Marksowskiej myśli, a jednocześnie największy wódz i strateg proletariatu w jego codziennej walce i pracy.

Określenie to wskazuje zarówno na konieczność prawdziwego, głębokiego odtwarzania rzeczywistości — *realizm* — jak i na swoistą jakość tego realizmu, „odtwarzanie rzeczywistości w jej rewolucyjnym rozwoju" (Żdanow).

Można wyodrębnić w analizie poszczególne cechy, właściwości tej metody twórczej, ale pamiętać trzeba o tym, że nie stanowią one jakichś niezależnych jedna od drugiej, niepowiązanych ze sobą jakości, lecz tylko poszczególne strony postawy twórczej, korzeniami swymi tkwiącej w dialektycznym materializmie, jako filozoficznej podstawie marksizmu.

„Linię rozwoju marksizmu jako całości, i dialektycznego materializmu jako jego filozoficznej podstawy określały zawsze najistotniejsze interesy partii i rewolucyjnego ruchu robotniczego, była ona zawsze wytyczana i wypracowywana w toku rozwiązywania politycznych zadań proletariatu". (M. A. Leonow „O przeobrażającej roli materializmu dialektycznego", „Woprosy filosofii" Nr 2, 1949.)

Tym się tłumaczy ogromne znaczenie dla literatury epoki socjalizmu cechującej ją jedności metody twórczej i poglądu na świat najwybitniejszych jej przedstawicieli.

WIKTOR WOROSZYLSKI:

Wydaje mi się, że tu jest właściwa trybuna, ażebym się ustosunkował do błędów, jakie popełniłem kilka miesięcy temu, pisząc artykuł i zabierając głos w dyskusji o poezji współczesnej. Jakie to były błędy? Zasadniczym błę-

dem w moim artykule było potraktowanie tradycji Majakowskiego w jakiś sposób formalistyczny. Z artykułu mego wynikało, że nawołuję do naśladowania i do przejęcia przez współczesnych poetów rewolucyjnych, socjalistycznych — techniki Majakowskiego. Było to niesłuszne. Obok techniki Majakowskiego, obok rodzajów poetyckich, które on uprawiał, istnieje mnóstwo innych możliwości i poezja z tych możliwości nie powinna i nie ma prawa rezygnować. Sam Majakowski mówił o tym, że powinno być jak najwięcej poetów dobrych i różnych.

Punkt następny. Błędem moim były pewne — o tym mówił Tadeusz Borowski — sugestie jakiejś rzekomej walki pokoleń istniejącej wśród pisarzy. Oczywiście jest to zupełny nonsens. Nie wypowiedziałem tego bezpośrednio jako tezy o walce pokoleń, ale wynikało to z doboru poezji, którą uważałem za dobrą, bo dałem przykłady z utworów poetów młodego pokolenia. To było niesłuszne. Mógłbym dać równie dużo przykładów postępowych, twórczych poetów starszego pokolenia. Jeżeli w ogóle mówi się o zagadnieniu młodych pisarzy, to trzeba mówić w tym sensie, że powinniśmy zdawać sobie sprawę, iż mamy większe obowiązki niż starsi, bo jesteśmy często niedouczeni. Musimy się więcej uczyć, musimy więcej pracować i to jest jedynym naszym przywilejem. Chcę tu przytoczyć słowa Gorkiego z listu do pewnego początkującego pisarza. „Talent — to znaczy miłować swoją pracę, pracować, a przede wszystkim trzeba się uczyć.“ Tak jest, przede wszystkim trzeba się uczyć!

Chciałbym powiedzieć jeszcze kilka słów w sprawie liryki osobistej. Zagadnienie to wypływało i wypływa niejednokrotnie. Zdarza mi się w czasie dyskusji w różnych środowiskach słyszeć pytanie, czy liryka osobista jest potrzebna, czy ma u nas rację bytu. Myślę, że nie ulega wątpliwości, że jest potrzebna. Ale jaka liryka? Radziecki poeta Szczypaczew, liryk, pisze krótkie wiersze liryczne o miłości, o przyjaźni, o tych wszystkich ludzkich sprawach— ale jak pisze? Myślę, że to jest liryka przejęta głębokim, tak bardzo ludzkim optymizmem. Bohaterem lirycznych wierszy Szczypaczewa i innych liryków socjalistycznych jest właśnie człowiek budujący socjalizm. Każdy robotnik może — czytając te wiersze — uznać je za swoje, bo znajduje w nich własne uczucia, własne myśli. Oczywiście taka liryka jest potrzebna.

JAN KOTT:

Jeżeli chodzi o referat kol. Ważyka, to uderzyło mnie w nim przesunięcie pewnych akcentów. Z referatem zasadniczo się zgadzam. Ale w referacie tym nie występuje, wydaje mi się, z dostateczną ostrością to, co jest najistotniejsze, najcięższe, najtrudniejsze w naszej literaturze. Chciałbym dać przykład książki Paukszty, której Ważyk poświęcił wiele słusznych słów. Książka jest politycznie szkodliwa, fałszywa artystycznie i przedstawia nicość. Nie sądzę, ażeby ta książka i inne książki w tym rodzaju przedstawiały największą przeszkodę na drodze naszej literatury. Są przeszkody gorsze. Ta książka była napisana 10 lat temu, i jeżeli zespół „Dziś i Jutro“ próbuje ożywić tego trupa, to nie ma powodu, żeby Ważyk walczył z trupem na serio, bo to jest literatura martwa.

Rzecz dalsza i następna. Nastrój lekkomyślnego zadowolenia z siebie przebijał silnie w wystąpieniu kol. Borowskiego.

Mam stale koło siebie bardzo dużą grupę młodzieży i to młodzieży — tak jak to jest już nareszcie na naszych uniwersytetach — w 65% robotniczo-

chłopskiej. Stykam się z nią nie raz na tydzień, czy raz na miesiąc, ale codziennie i wiem dobrze, jak ona reaguje na literaturę. I tutaj właśnie należałoby o tym powiedzieć. Młodzież nie znajduje literatury, która by ją w jakiś sposób wychowywała, a sądy głoszone dzisiaj w naszym czasopiśmie literackim wydają się tej młodzieży po prostu stanowczo za łagodne, gdyż w ogromnej mierze odbiegają od rzeczywistej wartości utworów.

Jeżeli z jednej strony w referacie kol. Ważyka było przecenianie niebezpieczeństwa trupa, to z drugiej strony mieliśmy przecenianie tej drugiej fali, małej zresztą, kilkunastu książek napisanych przez zdolnych studentów. Jest w nich niewątpliwie — to trzeba przyznać, tego absolutnie nie wolno lekceważyć — zalążek nowego, jest zwrócenie się w stronę nowej tematyki, jest próba obserwacji nowego życia, jest coraz słuszniejsze stanowisko polityczne, ale jeśli przychodzimy na Zjazd z 12 książkami pół reportażami, pół powieściami młodych studentów-polonistów, to nie mamy być z czego dumni.

Zdaje mi się, że sprawą w tej chwili istotną i ważną jest sprawa „Nowej Kultury". „Kuźnica" popełniała wiele błędów, z błędów tych zdajemy sobie sprawę i nie mamy zamiaru ich ukrywać. Muszę jednak powiedzieć po prostu z praktyki nauczycielskiej, że wychowując pewną grupę młodych ludzi, ażeby wskazać przykłady krytyki i zagadnień historyczno-literackich sięgam częściej do starych roczników „Kuźnicy", niż do „Nowej Kultury". Tak jak nasz Zjazd przechodził dotąd obok istotnej problematyki życia literackiego, tak i „Nowa Kultura" w dużej mierze też obok niej przechodzi. Ani żywej problematyki, ani zespołu ideowego, który tworzy nowe wartości i w nauce, i w literaturze, my w „Nowej Kulturze" dotychczas nie znajdujemy. Pismo jest bardziej martwe, niż pisma, z których połączenia powstało i do roli istotnej, roli wychowawczej właśnie dla młodego pokolenia — pokazującej w sposób najbardziej szczery, jasny i otwarty, zarówno wielką problematykę czasów poprzednich, jak i wielką problematykę literatury radzieckiej, jak i po prostu dzisiejsze trudności, z którymi się wszyscy zmagamy — temu pismu nie udało się jeszcze dotrzeć. Oczywiście w tym jest wina i nas samych i wina krytyków.

STEFANIA CIEŚLIKOWSKA (CRZZ):

O tym, jakie są zadania literatury w Polsce obecnej, już chyba nie ma potrzeby w tej chwili mówić. Całkowicie solidaryzuję się z postulatami wysuniętymi w referatach, oraz z szeregiem przemówień delegatów. Ale pragnę przy tej okazji zwrócić uwagę na jeden rodzaj literatury, który jeszcze jest niedostatecznie uprawiany. Mam na myśli literaturę dla ogromnego teatru świetlicowego, gdzie mamy do czynienia z teatrem milionów, bo w ciągu dwóch miesięcy jesteśmy w stanie dać przedstawienia dla milionów widzów. Dla tego teatru pisać warto. Myślę, że tu należałoby zastanowić się nad zagadnieniem jeszcze pokutującego pojęcia o teatrze peryferyjnym i teatrze amatorskim. A jeszcze gorszym kopciuszkiem jest teatr niezawodowy. Czy nie należałoby skontrolować tych kryteriów i sięgnąć do nawyków, do pokutujących uprzedzeń i nieporozumień? Bo któż jest na naszych peryferiach, któż mieszka na peryferiach miasta, któż mieszka w osiedlach robotniczych, kto mieszka w oddalonych od centrum osiedlach?

Tam mieszkają bohaterowie pracy, tam mieszkają robotnicy, tam mieszkają nowatorzy, racjonalizatorzy, tam mieszkają ludzie nowych czasów. Słyszałam niedawno, że dla teatru na Pra-

dze nie warto dawać dobrych sztuk. A kto mieszka na Pradze? W tej sprawie pokutuje jeszcze nieporozumienie.

A więc krótko mówiąc, trzeba nam ściśle, na codzień powiązać się ze środowiskiem robotniczym i chłopskim za pośrednictwem klubów fabrycznych, świetlic, domów kultury, powiązać się tak, żeby pisarze mogli bezpośrednio brać udział w rozwiązywaniu wielkich trudności życia kulturalnego. Trzeba, ażeby pisarze przezwyciężyli pokutujące nieporozumienie i uprzedzenie do teatru niezawodowego, który niewątpliwie w życiu naszym odgrywa i będzie odgrywał kolosalną rolę. Trzeba więc sztuk dobrych, sztuk—powiedziałabym—pierwszego gatunku dla tego teatru, tak samo jak trzeba książki dobrej, książki pierwszego gatunku pod względem artystycznym i ideologicznym dla najszerszych mas.

ALEKSY SURKOW *):

Istnieje przysłowie: „Do cudzego klasztoru nie pchaj się ze swoim regulaminem". I jakkolwiek literatura polska nie jest dla nas, pisarzy radzieckich, „cudzym klasztorem", nie ośmielam się brać udziału w dyskusji bezpośrednio w kwestiach bieżącego rozwoju literatury polskiej, omawianych z tej trybuny. Nie znam wystarczająco przedmiotu, by móc to czynić. Nie mam zresztą prawa udzielać pouczeń stojąc na uboczu. Jednakże, jak wykazała to treść referatów i dyskusji, w doświadczeniach naszej literatury radzieckiej jest wiele rzeczy, które was dzisiaj żywo i do głębi interesują. Jakkolwiek historia się nie powtarza, narody rozwiązujące jednakowe zadania w różnych okresach i w różnych warunkach historycznych mają wiele wspólnego w swej drodze. Siedząc w tej sali, słuchając mówców, przenosiłem się myślami w lata dwudzieste bieżącego stulecia, kiedy my, pisarze radzieccy, rozstrzygaliśmy dla siebie problemy, których rozstrzygnięcia mamy już od dawna za sobą, ale które dzisiaj żywo i do głębi was interesują.

Po zwycięstwie rosyjskiej klasy robotniczej w naszym kraju narodziła się nowa literatura różniąca się zasadniczo swymi podstawowymi cechami od poprzedzającej ją rosyjskiej literatury burżuazyjnej i współczesnej literatury społeczeństwa kapitalistycznego. W przeciwieństwie do literatury burżuazyjnej — służki panującej mniejszości wyzyskiwaczy — młoda literatura radziecka postawiła sobie jako główny szczytny cel: być głosem ludu pracującego, służyć mu, wyrażać jego uczucia, myśli, nadzieje. Temu szczytnemu celowi służyliśmy w ciągu wszystkich minionych 32 lat życia naszej literatury. Cel ten dopomógł literaturze w znalezieniu drogi do serc milionów ludzi pracy, uczynił z niej skuteczne narzędzie budownictwa nowego świata, narzędzie przebudowy charakteru, psychiki ludzi budujących socjalizm.

Ten sam cel postawili również przed sobą pisarze krajów demokracji ludowej. O wykonaniu tego celu mówicie również wy na waszym zjeździe.

Wróg klasowy, wyparty z panujących pozycji w ekonomice, w życiu politycznym narodu, usiłował umocnić się w „nadbudowie", wykorzystać literaturę do walki z krzepnącym nowym socjalistycznym ustrojem społecznym lub też, w ostatecznym wypadku, przeszkodzić jej wzrostowi.

Wielu z was pamięta z pewnością jedną alegorię ewangeliczną. Szatan za-

*) Pełny tekst przemówienia opublikowała „Nowa Kultura" w nr 15 z dnia 9.VII. br.

prowadził nocą Chrystusa na wysoką górę, pokazał mu wszystkie królestwa tego świata i począł wystawiać na pokusę jego ziemskie namiętności, malując mu wszelkie ponętne rozkosze.

Gdy spoglądamy wstecz na przebytą drogę, staje przed nami obraz, na którym widzimy, jak bezzębny, łysy szatan starego świata natrętnie usiłuje skusić budowniczych nowej literatury ponętnymi mirażami i bajkami, zrodzonymi przez chorą fantazję jego spróchniałego sklerotycznego mózgu.

A pierwsza jego pokusa — to bezgraniczna wolność twórczej woli pisarza, niezależność jego fantazji od realnego życia, niezależność jego pobudek od tego, czym żyje społeczeństwo.

Jakże mogą mówić o „swobodnej woli twórcy" ludzie, akceptujący bez sprzeciwu lub z entuzjazmem ustrój społeczny, w którym wszystko, aż do „największego sanktuarium", do wolnej suwerennej osobowości stanowi przedmiot kupna-sprzedaży, gdzie wszystko podporządkowane jest żelaznemu prawu rynku, osławionej „wolnej konkurencji".

My, pisarze radzieccy, i wy, pisarze krajów demokracji ludowej, sprzęgając swój los z losem naszych narodów, poznając i zgłębiając uczuciem fakt nieuchronnej zagłady świata przemocy i wyzysku, a zwycięstwa socjalizmu i komunizmu — uzyskaliśmy, po raz pierwszy w dziejach literatury światowej, prawdziwą wolność twórczości.

Uskrzydleni poczuciem głębokiej słuszności swego stanowiska, my, pisarze radzieccy, wierszami Majakowskiego mówimy klasie robotniczej, twórczyni przyszłego szczęścia całej pracującej ludzkości:

całą swą dźwięczną siłę poety
tobie oddaję, klaso, która nacierasz.

My nie chowamy się za parawanem nadklasowości, nie wstydzimy się tego, że wiernie służymy ludowi pracującemu, klasie robotniczej. Przecież klasa robotnicza, „grabarz kapitalizmu", dokonuje wielkiego, historycznego dzieła postępu: toruje ludzkości drogę do bezklasowego społeczeństwa, a pisarzom świata — drogę do bezklasowej literatury.

Druga pokusa, za pomocą której adwokaci szatana kapitalistycznego nęcą ubogich duchem — to pokusa „czystej sztuki", sztuki dla sztuki, niezależnej od „prozy życia", tzn. od kolizji i tragedii społeczeństwa, w którym rozwija się i zaostrza walka między klasą wyzyskiwaczy a wyzyskiwaną większością.

Dekadencja i teoria czystej sztuki to bliźnięta. Obie zrodziły się z łona śmiertelnie chorej burżuazji, ze śmiertelnej choroby kapitalizmu czującego zbliżającą się zagładę. Ideologowie i artyści imperialistycznego kapitalizmu, czując swoją intelektualną niemoc, swoją niezdolność do poniesienia w lud takich haseł, jak „wolność, równość i braterstwo", które nieśli ich poprzednicy w przeddzień triumfu burżuazji — zajęli się jedyną robotą, którą umieją: próbują za pomocą filozofii fałszującej historię, za pomocą dekadenckiej sztuki i literatury odciągnąć człowieka od rzeczywistości, zdegradować go do roli bydlęcia, podważyć w nim wiarę w siebie i w ludzkość, a z literatury i sztuki uczynić zabawkę dla przesyconych snobów.

Trzecia pokusa, za pomocą której adwokaci szatana kapitalistycznego usiłują znęcić ubogich duchem, to pokusa przeciwstawienia formy-treści, pokusa samego tylko mistrzostwa formalnego i formalnego „nowatorstwa". Ci panowie oskarżają nas również o to, żeśmy za-

przepaścili mistrzostwo, że nie „szukamy", lecz idziemy udeptaną ścieżką nudnego tradycjonalizmu.

Ci, których ustami przemawiały postępowe tendencje epoki, przynosili jako zwycięski wynik swych nowatorskich poszukiwań nowy, wyższy stopień prostoty i jasności. Ci, którzy nie mieli nic do powiedzenia ludziom, ci którzy chcieli wyrazić swą bezdenną pustkę duchową, starali się rzekomym nowatorstwem, ekscentrycznością i ekstrawagancją form zastąpić to, co się zastąpić nie dawało, maskowali pustkę duszy swoją wpadającą w mistycyzm manierą. Dekadencja zubożyła literaturę zarówno duchowo, jak i formalnie. Ludziom nowej literatury socjalizmu wypadło oczyszczać pole do nowego zasiewu, oczyszczać z wszystkich chwastów, które rozpleniły się w dobie dekadencji, przeciągać nić ciągłości ku tradycji klasyków poprzez głowy swych poprzedników - dekadentów.

Budowaliśmy naszą młodą literaturę, znajdując się stale wobec groźby, że martwy schwyta żywego, że zepchnie go z drogi prawdziwego nowatorstwa, które nakazuje sama młodość epoki, na drogę powtórzenia historycznych grzechów naszych najbliższych poprzedników. I wielu spośród nas, zwłaszcza w pierwszych etapach rozwoju, chorowało jak na ospę na wszelkie recydywy pokus „czystej sztuki", na dążenie do tanich „zwycięstw" formalistycznego bawienia się w sztukę, mającego reprezentować „lewicowość", „nowatorstwo".

Nasza literatura rosła, przy czym w walce ustalała się granica między tym co postępowe, a tym co zacofane, nieruchawe, obce naturze naszego społeczeństwa.

Dla pisarzy polskich plan 6-letni jest nie tylko faktem zrodzonym z dążenia narodu, by w zjednoczonym bohaterskim wysiłku szybciej iść do socjalizmu, ale też zagadnieniem przyszłości samej literatury, jej najważniejszym, głównym tematem. Temat walki o pokój jest dla każdego pisarza, który tak samo jak jego czytelnik pragnie, ażeby wspaniale wznosząca się z krwi bohaterów, z popiołów i ruin nowa Warszawa nie obróciła się znowu w zgliszcza pod miażdżącym uderzeniem bomby atomowej — tematem na wskroś osobistym, głęboko lirycznym i koniecznym.

Adwokaci szatana kapitalistycznego, ich świadomi lub mimowolni sprzymierzeńcy wśród nas — oskarżają budowniczych nowej literatury socjalizmu o to, że zabijają lirykę, że wypleniają z twórczości wszystko, co osobiste, indywidualne, własne. Jeżeli widzieć lirykę w tym, co poeta sto tysięczny sto pierwszy raz posępnie i monotonnie odmienia na stary temat „on, ona i księżyc", milion razy robi odkrycia z tego, że kiedy jest deszcz, to na duszy smutno, a kiedy jest słońce, to na duszy radośnie, albo tworzy jeszcze jeden szkic słowny „neutralnego" pejzażu — wtedy nasi krytycy mają chyba rację. Taka liryka nie cieszy się u nas szacunkiem. Jeżeli jednak przypomnimy sobie pełne gniewu wiersze Puszkina lub Mickiewicza, wstrząsający wiersz Lermontowa „Na śmierć poety" lub wszystko najlepsze, co napisał Majakowski, uważać będziemy, że liryka jest wszystkim tym, z czym poeta zwraca się bezpośrednio do czytelnika, wszystkim tym, w czym poeta odsłania bieg swoich myśli, ruch swojej duszy; wtedy jasne się stanie, że wiersz Puszkina „Pamiętam cudowną chwilę" i wiersz adresowany do dekabrystów są wierszami lirycznymi.

Nie jesteśmy przeciw liryce. Przeciwnie, chcemy, dążymy do tego, ażeby liryka przenikała wszystko, co jest na-

prawdę poetyckie w naszej literaturze. Ale czytelnik nasz chce, żeby liryka socjalizmu była nie tylko i nie tyle liryką małego świata jednostki, lecz liryką wielkiego świata bogatej i wszechstronnej indywidualności nowego człowieka, budowniczego socjalizmu. Czytelnik chce ponadto, ażeby poeta-liryk, pogrążając się w mały świat osobowości, kierując wzrok na przyrodę — ten mały świat i „wieczne piękno przyrody" widział oczami współczesnego człowieka, dla którego przyroda jest polem działania w walce ze ślepymi siłami żywiołu, a nie wielkim ogrodem do spacerowania, jak wyobrażali ją sobie poeci klas pasożytniczych.

To samo doświadczenie wyciągnięte z budownictwa socjalizmu w naszym kraju uczyło i uczy pisarzy, że literatura nie może rozwijać się pomyślnie, jeżeli środowisko literackie nie będzie odczuwało potrzeby krytyki i samokrytyki. W ciągu długich lat rozwoju literatury radzieckiej nagromadziło się mnóstwo faktów, świadczących o tym, że kiedy pisarz stracił zdolność krytycznego stosunku do swej twórczości, kiedy jest głuchy na głosy krytyki, kiedy cechuje go egocentryczne rozmiłowanie się w sobie — wszystko to prowadzi zawsze do zastoju i kryzysu twórczości.

Przy całym naszym dumnym poczuciu „twórców" i „władców myśli" powinniśmy wzorować się na naszych czytelnikach, na robotnikach, którzy umieją już czuć się gospodarzami kraju i swej fabryki. Motorem ich działalności stała się nie indywidualistyczna konkurencja, lecz szlachetne współzawodnictwo, w którym ludzie nie ukrywają jeden przed drugim swych „tajemnic", a przodownicy hojnie dzielą się swym doświadczeniem z towarzyszami pozostającymi w tyle, gdzie ludzie nauczyli się słuchać nie tylko słów pochwały, lecz odważnie wysłuchiwać krytyki swych kolegów, nie uważając ich potem za swych osobistych wrogów.

W prowadzonej tu dyskusji pisarz Borowski, występując w obronie młodych pisarzy, powiedział, że w literaturze polskiej odbywa się nie walka pokoleń, lecz walka klas. Miał bezsprzecznie słuszność. Lecz przy fałszywej polityce związku literatów i pisarzy starszego pokolenia wobec młodzieży wchodzącej do literatury—zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że zamiast dodatniego wpływu walki klas na rozwój literatury mogą powstać bardzo szkodliwe tendencje do antagonizmu między pokoleniami.

My, pisarze radzieccy, na szczęście nie doświadczaliśmy i nie doświadczamy na sobie tych antagonizmów wywołanych wiekiem pisarza, bo wspaniały przykład Maksyma Gorkiego, który przez całe swe życie troskliwie wychowywał i popierał młode talenty, nadał właściwy kierunek stosunkom między młodymi i starszymi pisarzami. Ale może też być inaczej. Może się okazać, że starsi pisarze, mistrzowie pióra, powodowani zazdrością w stosunku do pisarzy młodych (jak gdyby bojąc się, że młodzież zajmie ich miejsce!) lub też wskutek indywidualistycznego zasklepienia się w dusznym światku nielicznej kasty „mistrzów", mogą okazać się głusi na niecierpliwe stukanie do drzwi, oznajmiające nadejście młodych. Młodość jest zapalczywa i bezpośrednia. Kiedy nie zechcą jej otworzyć drzwi, może zacząć wybijać szyby. Wchodzi ona do literatury z poczuciem swego szczytnego prawa przemawiania w imieniu nowego pokolenia i słusznie domaga się zrozumienia i uznania swych praw. W przyjacielskiej atmosferze jej

wybuchowość łatwo zamieni się w twórcze skupienie. Obcowanie z doświadczonymi mistrzami gotowymi uzbroić młode talenty w oręż literackiego doświadczenia i wycyzelowanego artyzmu ustrzeże młodzież przed niepotrzebnymi i szkodliwymi fajerwerkami, da właściwą oprawę jej talentom. A zapalczywość i bezpośredniość młodzieży, która nie przyswoiła sobie wyszukanej dyplomacji w sądach i ocenach, wniesie do środowiska mistrzów potrzebny im świeży powiew krytyki i samokrytyki, obudzi w sercach starszych zazdrosną troskę o to, żeby ich młodzi nie wyprzedzili, wpłynie więc na rozwój twórczego współzawodnictwa wśród starszych mistrzów pióra.

I kiedy stworzy się młodzieży taką właśnie atmosferę przy jej wkraczaniu do literatury, będzie można z całym przekonaniem powiedzieć, że młody Woroszylski lub Borowski znajdą o wiele więcej wspólnych zainteresowań z Iwaszkiewiczem czy Kruczkowskim, niż z niektórymi swymi rówieśnikami, którzy mając dwadzieścia sześć lat przeżuwają bezzębnymi ustami dawno przebrzmiałe „objawienia" ideowych kastratów, którzy chcą, aby wytarte od wieloletniego użycia miedziaki ich błędów uchodziły za olśniewające nowe objawienia.

Budowanie nowej literatury jest dziełem trudnym, lecz i niezmiernie radosnym. Nasza bohaterska epoka pierwsza wyniosła literaturę na szczyt, z którego poprzez horyzonty widać przyszłość ludzkości. Nasza bohaterska epoka pierwsza pozwoliła spojrzeć prosto w słońce dziejów ludzkości i nie oślepnąć od jego blasku.

I żadne wysiłki rzeczników kapitalistycznego szatana nie potrafią zmącić spokoju naszych serc ani skłonić nas do zamiany naszej roli budowniczych literatury przyszłej ludzkości na miskę soczewicy rzekomych „swobód" literatury burżuazyjnej. Mamy dostatecznie wielkie doświadczenie, aby wiedzieć, że kajdany pozłacane pięknym kłamstwem tak samo boleśnie ściskają ręce, jak prozaiczne kajdany gestapowskiego kata.

Największą radością pisarza jest radość obcowania z czytelnikiem. Im więcej nas czytają, tym większego sensu nabiera nasze życie. My, pisarze radzieccy, odczuliśmy już w pełni radość, jaką daje przyjaźń szerokich rzesz czytelników.

Przed tak wielką rzeszą czytelników nie wolno zamykać się w „wieży z kości słoniowej". Nie wolno obrażać zdrowego smaku artystycznego takiego czytelnika zgniłą „strawą duchową" dekadenckiej literatury. Przed takim czytelkiem wstyd jest zajmować się pustą, formalistyczną zabawą w słowa. Po to, aby czytelnik taki chętnie nas czytał, trzeba być z nim w jego smutkach i radościach, nie chować się przed nim pod szklanym kloszem zamkniętego światka literackiego.

Brak kontaktu z ludem, świadomość rozbieżności interesów swej klasy z interesami mas ludowych, brak wejrzenia w przyszłość były tragedią największych nawet artystów świata kapitalistycznego, jako pisarzy i jako ludzi.

Szczęście nasze polega na tym, że żyjemy w społeczeństwie, w którym najśmielsze marzenia artysty odpowiadają nadziejom i marzeniom milionów, w którym literatura stała się codzienną potrzebą wielomilionowych mas ludowych, a przed pisarzem, synem ludu i piewcą ludu, otwiera się przyszłość ludzkości. Wiemy, że im bardziej idziemy naprzód, tym jaśniejsze staje się życie ludzkie. Wiemy, że wówczas, gdy już nie stanie nas na tym świecie, będzie on lepszy i jaśniejszy od tego,

który opuściliśmy, i że w bohaterskiej walce o taki świat my także wzięliśmy udział.

KAZIMIERZ WYKA:

Połączenie perspektyw rozwojowych literatury polskiej z należytą i podstawową oceną przeszłości, z wydobyciem realistycznego nurtu naszej literatury, zapewne nie pojawia się na Zjeździe w sposób przypadkowy. Sprawa ta jednak winna wystąpić jako jedno z najgłówniejszych i najważniejszych zadań i ogniw twórczości literackiej. Dlatego właśnie o tych związkach i sprawach, które może nie całkiem jasno wystąpiły w dyskusji, a powinny w niej być podkreślone, chciałbym mówić.

Chodzi mi o to, że nigdy jeszcze badania literackie i polonistyczne tzn. naukowe nie stały tak blisko zadań rozwojowych literatury polskiej jak w chwili obecnej. A przecież tego rodzaju związki w dyskusji na Zjeździe polonistów przez przeciwników naszych były negowane. Tam referentom brano za złe, że mieszają krytykę i publicystykę z nauką, jak gdyby między nimi była różnica jakościowa i jak gdyby badania naukowe nie były kamuflarzem badań literackich.

Jeżeli mówię o tym, to dlatego, że stan rzeczy w badaniach literackich przeszłości i stan rzeczy w obecnej krytyce nie wydaje mi się, aby został całkowicie słusznie i zgodnie z oceną zjawisk nakreślony w referatach. Tu nie chodzi o samochwalstwo, ale niewątpliwie lepiej przedstawia się dzisiaj sytuacja w badaniach literackich szczególnie jeżeli chodzi o dopływ nowego narybku, aniżeli w bieżącej krytyce literackiej.

Będę zmierzał od razu do wniosków, które się nasuwają. Przemiany, które się dokonują, nie należą do dziedziny przemian żywiołowych. Jeżeli w polonistyce postąpiliśmy pół kroku dalej, to mogę stwierdzić, że te pół kroku w trudnej zespołowej pracy, którą prowadzi Instytut Badań Literackich, więcej nauczyło mnie niż całe lata pracy literackiej. Otóż sądzę, że te ćwierć czy pół kroku poszliśmy dalej tylko dlatego, że istniał i istnieje pewien ośrodek. A my tymczasem tych form pracy, tej organizacji pracy nie mamy i musimy je stworzyć czy to w formie nowego statutu, czy w formie nowego etapu pracy. Musimy znaleźć tego rodzaju formy organizacyjne, które by ujęły te procesy żywiołowe dokonujące się same przez się zbyt wolno, które nadałyby im tempo i kierunek przez nas pożądany.

Dlatego właśnie rozpocząłem od określenia tych związków, przy czym wydaje mi się osobiście, iż rozbieżność między badaniami polonistycznymi a zbyt małym zainteresowaniem krytyką literacką, szczególnie ze strony młodych kadr literackich, jest zastanawiająca.

Chodzi mi o to, że na każdym ze zjazdów dorocznych dokonuje się przeglądu dorobku prozaicznego i poetyckiego, ale mimo iż zdajemy sobie sprawę, że pierwsze lata powojenne stanowią całość skończoną już i zamkniętą, całość chronologicznie przynależną do literatury powojennej a ideologicznie również i do okresu okupacji, mimo że w ciągu 1949 r. dokonał się wyraźny przełom — nie mamy czegoś, co nazwałbym sumą literatury powojennej, która by określała dlaczego, z jakich pozycji ideologicznych, z jakich poetyk wywodzący się pisarze dochodzili do błędnych wniosków w pierwszym okresie literatury powojennej.

Nie spełnia tego zadania książka Matuszewskiego, jak i moje „Pogranicze powieści", a wydaje mi się, że jest obowiązkiem krytyki tego dokonać.

Chodzi o to, że jeżeli przyjmiemy, iż z pisarzy pokolenia średniego czy starszego, którzy zaczynali swoją twórczość według innych założeń ideologicznych i artystycznych aniżeli założenia realizmu socjalistycznego — nikt nie jest stracony, każdy może być użyteczny i wydobyty dla nurtu postępowego. Jeżeli więc tak jest, to wynikają stąd specyficzne obowiązki krytyki, które nie są dostatecznie spełnione.

Jeżeli linią dojścia, do której prowadzić mamy literaturę polską, ma być realizm socjalistyczny, a stanowisko wyjściowe u większości pisarzy nie było tym stanowiskiem, wynika z tego tylko jedna konieczność, ta mianowicie, że krytyka musi być bezwzględna jeśli idzie o kierunek, do którego dąży, i kierunek, który ukazuje pisarzowi. Ale powinna być indywidualna w metodach i wskazaniach drogi pisarzowi.

Mówię o tym dlatego, ponieważ wydaje mi się, że w referacie kol. Ważyka pewnego typu pisarze zostali wrzuceni do jednego kosza, gdy tymczasem w tym koszu mieszczą się twory różnego pochodzenia.

Proszę kolegów! Uwagi moje zaczynały się od powiązania zadań, które łączą badania polonistyczne z badaniami literackimi. Przy tym powiązaniu okazuje się, że trzeba było przejść do spraw dotyczących przyszłości. Trzeba było pójść dalej dlatego, że droga, którą będą kroczyć postęp i badania literackie i droga, którą kroczyć będzie twórczość literacka i krytyka nasza, chociaż najeżona trudnościami, jest określona, jest jedna dla nas wszystkich. Obowiązki badaczy literackich, tak samo jak obowiązki pisarzy są po stronie ludu i po stronie jego wysiłków oraz po stronie jego walki o dobro społeczne, po stronie jego walki o postęp.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI:

Od odzyskania Niepodległości upłynęło 5 lat. W ciągu 5 lat można napisać dużo powieści. W ciągu tych 5 lat wielu pisarzy milczy. Niejednokrotnie musimy mówić o pisarzu na podstawie tego, co wydał kiedyś, na podstawie tego ładunku, z którym wszedł do literatury powojennej. I tu trzeba wyraźnie powiedzieć — w r. 1949 nie ukazało się tak wiele książek, jak byśmy chcieli, odpowiednio do realnych potrzeb. Krótko mówiąc nie wszyscy pisarze zostali wciągnięci, nie wszyscy pisarze stanęli wyraźnie po stronie gospodarzy swego kraju, nie wszyscy pisarze razem z nami pracują. Wydaje mi się, że należy zbadać, jakie są przeszkody, jakie są opory, gdzie jest źródło nieporozumień i jakie one mają znaczenie obiektywne. Mówiąc o pięcioleciu literatury stwierdzić trzeba, że często nie mieliśmy odwagi sięgnąć do nowej rzeczywistości. Nic więc dziwnego, że krytyka gorąco podejmuje osiągnięcia tych pisarzy, często debiutantów, którzy odważnie zetknęli się z naszym życiem, którzy z niewątpliwą ambicją wprowadzili do literatury problemy współczesne. Faktem jest, że na czoło literatury wysunęli się pisarze młodzi, debiutanci, faktem jest, że młodzi pisarze istotnie torują drogę literackiemu nowatorstwu. To jest fakt historyczny i o tym nie wolno nam zapominać.

Czy z tego wynika, że innych pisarzy nie mamy? Mamy. Czy oni nie znaleźli się obok młodych pisarzy? Właśnie, że nie. Z trudem mogę mówić o tym zagadnieniu, bo trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego pisarz milczy, dlaczego pisze niewiele, dlaczego uprawia nie ten centralny zagon, który wymaga traktorów, dlaczego uprawia miedzę, na której można dziobać motyką. To są problemy, gdzie bardzo ścisłe sformułowanie zagadnień nie jest łatwe. Myślę,

że dałoby się to wyraźnie powiedzieć. Pisarz mówi: nie mogę być pisarzem, bo wymaga się dziś ode mnie, żebym znał plan 6-letni, bo żąda się, żebym beletryzował procesy techniczne, żebym interesował się wyrobem cukierków, czy organizacją spółdzielni produkcyjnej. To stanowisko właśnie zadziwia. A na czym ma się pisarz znać? Jeżeli plan 6-letni określa całość naszego życia zbiorowego, a więc i życia indywidualnego, najbardziej typowego życia nowego człowieka naszej epoki, życia racjonalizatorów i przodowników pracy, to trzeba te zagadnienia zbiorowego wysiłku budowania nowego ustroju przemyśleć, trzeba przenikać wszystkie dziedziny i osiągnięcia tego człowieka. Czy Homer powiedziałby, że nie zna się na żegludze i na uzbrojeniu żołnierzy? Czy powiedziałaby Orzeszkowa: „Nie orientuję się zupełnie w zagadnieniach uwłaszczania chłopów i dlatego dajcie mi święty spokój." Orzeszkowa w młodości miała takie okresy, kiedy nie orientowała się w tych zagadnieniach i łatwo rysowała czyste dramaty moralne. Właśnie czarnobiałe konflikty papierowych bohaterów operetkowych, nie związanych z żadną rzeczywistością. Orzeszkowa zorientowała się jednak, że jej Marty, jej wiejskie kobiety, jej młodzi szlachcice, młodzi kupcy to są ludzie, o których może mówić tylko wtedy, jeżeli się dobrze zorientuje w zagadnieniu uwłaszczenia chłopów po roku 1863.

Co powiedzielibyśmy o Prusie, gdyby nam powiedział, że nie zna się na handlu, że zupełnie nie interesują go te sprawy, że nie interesuje go rozwój gospodarki, rozwój burżuazyjnego życia kapitalistycznego Polski, że nie interesuje go wcale Warszawa, że on nic nie potrafi powiedzieć na temat bankructw i licytacji, operacji kantoru bankowego, na temat prawa wekslowego tego okresu i nie potrafi narysować całej drogi upadku Maruszewicza. Co byśmy powiedzieli o takim pisarzu? O czym on właściwie wie? Czym się interesuje? Wydaje mi się, że jeżeli dzisiaj mówimy, że pisarz powinien się interesować planem 6-letnim, to mówimy, że powinien się interesować ludźmi. Prus nie był przecież teoretykiem prawa wekslowego, ale znał kupców warszawskich. Bo przecież Orzeszkowa nie była agronomem, ona tylko znała panienki z dworów szlacheckich i bankrutujących szlachciców na swoich zagrodach po uwłaszczeniu w Polsce. I dzisiaj pisarz, który ma znać plan 6-letni, powinien znać nowych ludzi, racjonalizatorów, powinien o nich wiedzieć wszystko. Bo cóż on stworzy bez tej o nich wiedzy?

Co pisarz chce powiedzieć, gdy mówi, że pragnie kreślić dramat postaw moralnych. Pisze dziś autor opowiadanie o okupacji i kreśli dramat postaw moralnych członka organizacji, który znalazł się w jakimś konflikcie wynikłym z jego udziału w walce z niemieckim okupantem. Nie wiemy, jaka to była organizacja, nie wiemy, o co ta organizacja walczyła, jaki był jej program, jak odnosił się ów bohater, przeżywający dramat moralny, do konkretnych problemów owego czasu. Wiemy przecież, że były różne organizacje. Procesy, o których gazety pisały, wykazują, że były organizacje, pozostające wręcz na usługach niemieckich, ba, nawet organizacje, które prowadziły walkę z ludem polskim, walkę z ludem uważały za swoje główne zadanie i nie cofały się nawet przed najhaniebniejszymi metodami. A więc, co znaczy wobec tego, jeżeli pisarz mówi: ja nie chcę wiedzieć, co to za organizacja, to mi przeszkadza, to mi zamazuje czystość dramatu moralnego tego człowieka. Ja nie chcę wiedzieć bliżej, jakie były jego poglądy społeczne, nie chcę wiedzieć, co

on myślał o reformie rolnej, to mnie nie obchodzi, ja chcę widzieć tylko konflikt moralny, ot na przykład, czy załamie się on na śledztwie, czy nie. Zdumiewa taka pogarda realiów, taka pogarda wiedzy o świecie. Dlaczego pisarz ma walczyć o przywilej ślepoty, niewiedzy? Czyż nie powinien on dzisiaj walczyć przede wszystkim o przywilej ostrowidztwa, dostrzegania wszystkiego, sięgania do sedna zjawisk? Cóż znaczy ta dokonywana przez pisarza selekcja? Bo przecież, kiedy kreśli sobie czysty dramat postaw moralnych, to tylko pewne elementy wiedzy o świecie odrzuca, te, które go rzekomo nużą. On nie chce przede wszystkim nic wiedzieć o politycznym obliczu swego bohatera. I dlaczego niewygodnie mu wiedzieć, jakie było to polityczne stanowisko? Często dokonuje on tej selekcji wybierając bynajmniej nie typowego bohatera. Przykładem walczącego z najeźdźcą obywatela jest były porucznik ułanów, gospodarujący na roli. Dlaczego? Do czegóż pisarzowi taka selekcja służy? Wydaje mi się, że taka selekcja niezależnie od zamierzeń pisarza będzie służyć za narzędzie walki z socjalizmem. Kiedy pisarz będzie miał niedokładną, niedostateczną, mętną, zamgloną, fałszywą wiedzę o świecie, o rzeczywistości, kiedy zamknie oczy na najistotniejsze problemy naszych czasów, kiedy będzie chciał wiedzieć o duszy człowieka, a nie o jego światopoglądzie, kiedy będzie tak sztucznie całość ludzką selekcjonował, wydobywał niektóre tylko elementy wiedzy o świecie, to stworzy jedynie fałsz, fałsz szkodliwy. Jeżeli pisarz nie chce nic wiedzieć o planie 6-letnim, nie chce nic wiedzieć o racjonalizatorach, nie chce nic wiedzieć o tym, co jest w życiu nowe, co powstaje właśnie przez budownictwo socjalistyczne, to znaczy, że nic nie chce wiedzieć o socjalizmie, to znaczy, że jest przeciwny socjalizmowi, że ten socjalizm przeszkadza mu spokojnie dumać o przeszłości, że taki pisarz nie tylko wycofuje się na pozycję człowieka zbędnego, ale z tej swojej niewiedzy chce robić argument przeciwko tej walce, którą właściwy gospodarz kraju prowadzi.

Kolega Lichniak stwierdził, że wierzący i niewierzący w Polsce bronią pokoju i budują socjalizm. I to jest prawda. Na pewno i wierzący, i niewierzący w Polsce bronią pokoju, na pewno i ci, i ci budują socjalizm, ale to jest prawda niepełna, a jako prawda niepełna może być rozumiana fałszywie i może być fałszem, i dlatego trzeba z nią walczyć. Tu jest coś niedopowiedzianego, skrzywionego. Wiemy, że budowanie socjalizmu w Związku Radzieckim, gdzie ten proces jest ukończony, i w krajach demokracji ludowej, to jest praca, to jest twórczość, której podstawą teoretyczną jest marksizm-leninizm. Że masy, które budują socjalizm pozostają pod wodzą partii robotniczych, partii marksistowskich, wyraźnie wyposażonych w przodującą teorię, w przodujący pogląd na świat. I nie wolno twierdzić, że nie ma żadnego związku między budowaniem socjalizmu a światopoglądem.

Ze światopoglądem marksistowskim wiąże się właśnie ten głęboki pogląd humanistyczny, internacjonalistyczny, oparty na braterstwie narodów. Socjalizm, to jest idea pełnego człowieczeństwa. Socjalizm jest w tym procesie budowy nowego ustroju świadomą siłą organizującą wolę milionów pracujących, jest siłą, którą posługuje się klasa robotnicza kierowana przez partię marksistowską. Jeżeli tego się nie powie wyraźnie, to wypaczy się istotę socjalizmu i istotę dzisiejszego procesu budowania socjalizmu.

Kiedy mówimy o budowaniu socjalizmu nie można wobec tego przeprowadzać znaku równości między marksistami i katolikami. Masy pracujące w Polsce w znacznej części wierzące, katolickie wdrożyły się do budownictwa społeczeństwa socjalistycznego. Wdrożyły się dlatego, że przewodzi im Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, a ona kieruje się ideą marksizmu, marksistowskim poglądem na świat. Trzeba umieć widzieć tę istotną różnicę między katolikami a marksistami. Trzeba widzieć tę różnicę w sprawie socjalizmu, w sprawie budownictwa socjalistycznego i trzeba o tym powiedzieć wyraźnie, żeby móc w sposób istotnie właściwy określić możliwość wspólnej walki wierzących i niewierzących o pokój i socjalizm.

Tutaj chciałbym poświęcić kilka słów przemówieniu kol. Kotta. Przemówienie jego odczułem jako polemikę ze mną, ze stanowiskiem, które zająłem wobec nowatorów literackich. Oceniłem ich bardzo pozytywnie i niejednokrotnie dawałem temu wyraz. Myślę, że krytyka Kotta poszła w niewłaściwym kierunku. Nie możemy nie doceniać z punktu widzenia najbardziej zasadniczego spraw, o których mówiłem poprzednio — przodującej roli tych młodych pisarzy, którzy są pisarzami w całym tego słowa znaczeniu, którzy do literatury należą i których książki świadczą o znajomości życia, o znajomości marksizmu. Czy o pełnej znajomości życia, pełnej znajomości marksizmu — to inna sprawa. Krytyka nie powinna iść w kierunku lekceważenia tych osiągnięć, bo wtedy lekceważąc fakty jesteśmy w konflikcie z prawdą, że w 1949 r. te kadry wysunęły się na czoło. One dokonały przełomu. Ten przełom odczuli na sobie pisarze, którzy debiut mają daleko za sobą, odczuli oni na sobie nacisk, o którym mówiłem referując sprawę nauki w literaturze, nacisk młodzieży literackiej na starszych profesorów. Nie wstydzę się przyznać, że wielu rzeczy dowiedziałem się od moich młodych uczniów. Podobne procesy zaszły w literaturze pięknej. Może nawet większe.

Dlatego chciałbym bardzo wyraźnie odciąć się od oceny danej przez Kotta. Zdaję sobie sprawę, że literatura młoda wymaga krytyki, wymaga właśnie jak najistotniejszego zainteresowania się ze strony krytyki.

Otóż w związku z tym, w sprawie „Nowej Kultury" chciałbym wypowiedzieć się już jako referent. Chciałbym ustosunkować się do krytyki tego pisma, która padła tutaj z ust Kotta.

Wyraźnie podkreśliłem w swoim referacie, iż polityka redakcyjna „Nowej Kultury" rokuję nadzieje na poprawę sytuacji, że jest ideologicznie słuszniejsza niż polityka redakcyjna pism poprzednich i chciałbym podtrzymać tę tezę, bo padły słowa, że „Kuźnica" wychowywała, a „Nowa Kultura" nie wychowuje kadry krytyków. Ważne jest jak się wychowuje. To przecież obciąża i mnie jako redaktora i zespół, że właśnie „Kuźnica" wychowywała jednak w atmosferze fałszywych sądów obciążonych tradycjami drobnomieszczańskimi, oportunistycznymi, nacjonalistycznymi, że właśnie z rezultatami tego wychowania trzeba dzisiaj walczyć, że one to opóźniają postęp naszej krytyki, one to właśnie ciążą i muszą być usuwane, żeby oczyścić drogę.

„Nowa Kultura" wychowuje przez ideową trafność swej redakcyjnej polityki. Błędy jej tkwią — jak mówię — w innej dziedzinie, głównie w tym niewielkim rozmachu, w tym niewielkim zainteresowaniu dla zagadnień literatury postępowej w Związku Radzieckim, w tym, że nie ma tam stałej, systematycznej informacji o tych dyskusjach,

które w Związku Radzieckim się toczą, nie ma tam dostatecznej informacji o rozwijającej się myśli teoretycznej, literackiej, marksistowskiej, nie stawia się dostatecznie uogólnionych problemów bieżących. Być może, że zespół redakcyjny za mało czyta, za mało interesuje się tymi sprawami. Rzeczywiście temperatura intelektualna jest tam może za niska, ale to jest co innego aniżeli przeciwstawienie słusznie przezwyciężonej przeszłości temu, co się dzieje w tej chwili.

ARNOLD SŁUCKI:

Było naszym grzechem, pierworodnym grzechem krytyków, że do dzieł literackich podchodziliśmy z gotową receptą. Stworzyliśmy szereg ogólnych recept, tez, do których wtłaczaliśmy każde dzieło. Wydaje mi się, że z nieodpowiednich założeń krytyki wynikło doktrynerstwo. Krytycy nie znali życia, dowiadywali się o tym życiu z książek beletrystycznych. I w tym zawiera się zasadnicza trudność. Należyte rozwiązanie spraw organizacyjnych pomoże także krytykom poznać życie w ramach wyjazdów w teren. Wydaje mi się, że trzeba tu zwrócić uwagę na niewystarczalność zasobu doświadczeń krytyków. Często krytyk pomija dzieła, które podejmują nowe zagadnienia życia, dlatego, że nie jest poinformowany o nowych zjawiskach rzeczywistości. Stąd wywodzi się to lawiranctwo krytyków, którym nie tyle zła wola, ile brak doświadczeń utrudnia ocenę zjawisk literatury współczesnej.

Jeszcze jedna sprawa, sprawa młodych krytyków. Krytyka ta wyrosła w atmosferze seminaryjnej. Najistotniejsze jest jednak to, że młodzi krytycy potrafili się przeciwstawiać fałszywym pozycjom literackim. Nienormalne jest jednak to, że młodzi krytycy nie żyją zagadnieniami nowej literatury, że nawet nie mają stosunku koleżeńskiego, nie mają właściwych form organizacyjnych, które pomogłyby im właściwie oceniać dzieła literackie. Fadiejew ostrzegał, że nie można krytykować literatury, nie walcząc jednocześnie o nową literaturę. Jest zjawiskiem zatrważającym, że najmniej zajmują się nową literaturą krytycy, że są oderwani od życia i nie nawiązują do dnia dzisiejszego. Chcę wskazać na przykład krytyki właściwej, chcę wskazać na takich wielkich krytyków jak Bieliński, Bolcow, Łagieniew, którzy żywo interesowali się nową literaturą, byli przyjaciółmi młodych poetów i prozaików. Ta pomoc Bielińskiego, wielkiego krytyka i działacza, jego krytyczna prawda pomogła literatom. Nie chcę się ograniczać do moralizatorstwa. Nie o to chodzi. Chodzi o stworzenie ram organizacyjnych dla młodych krytyków, o wyrwanie ich z seminariów uniwersyteckich. To jest zagadnienie nie tylko literackie, to jest zagadnienie zawodowe, żeby krytycy znaleźli miejsce w życiu literackim, żeby razem z młodymi poetami i prozaikami potrafili rozwijać cały szereg zagadnień.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI:

Niewątpliwie nie tylko ja, ale wszyscy na tym Zjeździe zastanawialiśmy się, dlaczego w toku tej dyskusji nie zostały obnażone, ujawnione istotne tendencje, istotne procesy zachodzące w naszej literaturze. Dlaczego ta dyskusja nie wydobyła tego, czym żyje przecież olbrzymia większość pisarzy i to nie tylko młodego pokolenia, ale i pisarzy starych. A przecież mamy za sobą wielką akcję Związku Literatów, akcję wyjazdu w teren. W terenie w ciągu trzech miesięcy przebywało 82 pisarzy. Tkwili w terenie, pracowali i mamy już konkretne rezultaty ich spostrzeżeń i przeżyć. Część tych pisa-

rzy pozostała nadal w ośrodkach pracy, niektórzy z nich pracują w spółdzielniach produkcyjnych, kilku zaś związało swoją dalszą pracę zawodową z pracą fabryki, do której się udali. I zachodzi pytanie, dlaczego o tym dotąd głucho na Zjeździe , mimo iż wiemy, że pisarze nie tylko oglądali fabryki, czy też starali się zrozumieć prawdziwy proces pracy na niej, że mamy za sobą szereg dzieł, szereg sztuk, z których możemy być dumni. Mamy za sobą ciekawe nowele Konwickiego, Zalewskiego, wiersze Woroszylskiego, artykuły Borowskiego. Wiemy o tym, że pisarze pracują nad kilkunastu powieściami, nowelami, sztukami, poematami. I dlatego mamy prawo postawić pytanie, dlaczego te sprawy nie znalazły wyrazu w toku dyskusji? Dlaczego pisarze nie przyszli na Zjazd ze swoją problematyką? Dlaczego nie przyszli, żeby podzielić się z nami trudnościami, troskami, przeszkodami, które hamują ich prace. Dlaczego nie spotkaliśmy się na tym Zjeździe z próbą ujawnienia tego trudnego procesu dojrzewania pisarza, jaki faktycznie zachodzi? Mam wrażenie, że przyczyny tej postawy pisarzy są istotne i głębokie i że musimy spróbować faktyczny stan rzeczy ujawnić.

Sądzę, że większość pisarzy zdaje sobie sprawę z tego, że wielkość ich twórczości, perspektywa ich rozwoju związane są z wielkością i perspektywą naszej epoki. Zdajemy sobie sprawę z tego, że klasa robotnicza jest tym gospodarzem, jest tą przodującą klasą, która prowadzi naród w przyszłość. Ale jednocześnie pisarze są jakby pełni niepokoju, pełni wewnętrznych hamulców, czy to bezsporne już dzisiaj wyjście naprzeciw nowego świata nie odbije się w jakiś sposób na ich rzemiośle twórczym. Czy nie załamie ich dotychczasowego profilu twórczego to, że będą pisać o wielkich zjawiskach naszego życia, że będą widzieć ludzi w planie 6-letnim, że będą widzieć ludzi przekształcających naszą wieś? Te obawy, te pewne hamulce ciążą, mam wrażenie, mocno na całym naszym życiu artystycznym.

I tutaj trzeba całą sprawę rozszyfrować jasno do końca. Są jeszcze pisarze, chociaż ich jest bardzo niewielu, którzy wręcz stoją na stanowisku, że walka o plan sześcioletni nie jest ich sprawą, że to nie jest sprawa godna pióra twórczego, że ich twórczość powinna wydobywać istotę przeżycia artystycznego, natomiast nie powinna sięgać do istotnych namiętności ludzkich, istotnych ludzkich procesów. Co się kryje za tą pseudo-artystowską postawą nietwórczej rezerwy? Za tą pseudo-artystowską postawą kryje się w gruncie rzeczy niezrozumienie zjawisk naszego życia. Pisarze o takiej postawie świadomie czy nieświadomie stanęli w gruncie rzeczy w poprzek idących procesów rozwojowych. I dlatego trzeba to sobie jasno powiedzieć, że podobna postawa, zwłaszcza w obliczu walki klasowej naszych czasów, w obliczu walki o pokój, to postawa wrogiego, klasowo-wrogiego stanowiska, niezależnie nawet od stopnia uświadomienia sobie własnej pozycji po stronie wrogów naszego ustroju.

Taka jest istota tej pseudo-artystowskiej postawy artystycznej. Ale ja bym powiedział, że niemniej niebezpieczna jest postawa pojednawcza, ugodowa w stosunku do wyżej omawianych zjawisk w naszym życiu literackim, co idzie jednocześnie niemal z reguły w parze z niedostrzeganiem tego, co jest istotne w naszej twórczości.

Bo jakże inaczej wytłumaczyć, że w naszej krytyce literackiej właściwie nie mamy tego świeżego nurtu, który by wszędzie na każdym kroku stawiał na

to, co jest nowe, co może jeszcze jest słabe, co może jeszcze jest nieporadne, lecz co w pełnym tego słowa znaczeniu pokazuje nową tematykę naszego życia, nowych ludzi i nowe zjawiska. Wprawdzie rozumiemy doskonale, że pisarze pochodzący z inteligencji niejednokrotnie mają olbrzymie trudności w poznawaniu psychologii człowieka pracy, a tym samym mają duże trudności w pokazaniu prawdy ideologicznej w prawdzie psychologicznej poszczególnego bohatera. To jest trudna sprawa. My wiemy, że to wymaga wielkich walk, przede wszystkim poznania człowieka, wymaga zbliżenia się do niego, poznania wszystkich jego zainteresowań i przede wszystkim wymaga przestawienia swojego warsztatu twórczego. A nie jest łatwo dotychczasowy warsztat nastawiony na podchwytywanie pseudo - psychicznych spostrzeżeń przestawić na zjawiska odzwierciadlające wielkie namiętności ludzkie, na psychologię nowego człowieka, budującego nowe życie. To jest trudny proces i z tego musimy sobie zdawać sprawę.

I tutaj leży ogromna rola wychowawcza krytyki naszej, środowiska literackiego, środowiska partyjnego, rola Związku Literatów: umieć podchwycić, pokazać właściwą drogę, poprawiać i stworzyć przychylną atmosferę dla każdego nowego zjawiska w naszej literaturze. Pod tym względem mamy bardzo wiele jeszcze do zrobienia i do przezwyciężenia.

I dlatego sądzę, że wielki wysiłek bardzo dużej liczby pisarzy (82 pisarzy przebywa w terenie), to jest na tyle wielkie wydarzenie w literaturze polskiej, że musimy przełamać w tej sprawie milczenie i obojętność naszej prasy, a między innymi również „Nowej Kultury", ponieważ jak dotąd głównie „Wieś" drukowała opowiadania pisarzy, którzy pracują w terenie. W „Nowej Kulturze" natomiast sprawa omówienia, zachęcania i podtrzymywania tego codziennego wysiłku pisarzy nie znalazła dostatecznego zrozumienia. I to trzeba sobie wyraźnie powiedzieć.

I jeszcze jedna sprawa.

Jest to zagadnienie nie tylko umiejętności dostrzeżenia w literaturze tych pisarzy, którzy może z trudnością, z brakami formalnymi sięgają do nowej tematyki, nie tylko umiejętności pomożenia im w przestawieniu swojego warsztatu na nowy realistyczny warsztat twórczy. Jest to zagadnienie wytworzenia przychylnej atmosfery w stosunku do młodych w naszej literaturze. I trzeba sobie stanowczo powiedzieć, że kiedy rozpoczęła się dyskusja nad poezją, którą zainicjowali młodzi, staraliśmy się ich wprawdzie poprawiać, wyprostowywać ich błędy, pomóc im w przezwyciężeniu błędów, lecz mam wrażenie, szczerze mówiąc, że w tym poprawianiu zrobiliśmy jeden kapitalny błąd. Myśmy nie dostrzegli, że to był właśnie ten prąd nowego świeżego powietrza, który wdarł się do naszej literatury.

Myśmy słusznie krytykowali ich za próbę podziału na młodych i starych, ponieważ nie ma i nie będzie w naszych warunkach walki dwóch pokoleń. Ale my sami nie potrafiliśmy w stosunku do nowych zjawisk w literaturze przezwyciężyć starego, lekceważącego stosunku, tego stosunku, który i dziś jeszcze znalazł swój wyraz w wystąpieniu kol. Kotta. I to trzeba również szczerze i otwarcie dziś sobie powiedzieć. Przyznam się, że swój błąd w pełni zrozumiałem dopiero dzisiaj, kiedy wysłuchałem wypowiedzi kol. Kotta. Ta wypowiedź obnażyła istotę zjawisk, która ciąży na naszej literaturze krytycznej i ciąży dotąd na całym naszym Zjeździe. Mamy radosne fakty w naszej twór-

czości i cieszymy się, że wśród nowych naszych dramaturgów, nowych autorów nowel i powieści mamy zarówno przedstawicieli starego jak nowego pokolenia. I jako przykład mogę podać, że spośród 25 sztuk zakwalifikowanych do grania mamy sztuki pisarzy zarówno pokolenia Iwaszkiewicza jak i Gruszczyńskiego. I można być tylko dumnym z tego, że w tym wysiłku tworzenia nowej literatury szerokim frontem biorą udział wszyscy pisarze niezależnie od swego wieku. Lecz jednocześnie nie powinno to nam przysłaniać problemu nowego w naszej literaturze. I dlatego idąc szerokim frontem, bijąc się o każdego pisarza, który ma trudności w dojściu do nas, powinniśmy jednocześnie specjalną opieką otoczyć młode pokolenie. Jest to w obecnej chwili wielkie i nowe zagadnienie. Kiedy partia postawiła na IV Plenum problem kadr, to postawiła je w pełnym tego słowa znaczeniu jako nowe zagadnienie. Postawiła zagadnienie stałej walki o wychowywanie nowych kadr, o pomożenie nowym ludziom w ich wzroście, w ich dojrzewaniu, o śmiałe wysuwanie ludzi, stawianie na to, co jest nowe, świeże, o pomaganie młodzieży w pracy nad sobą. Przecież to jest olbrzymia sprawa, która decyduje niewątpliwie o tempie dalszego naszego rozwoju. To jest sprawa nowego człowieka. I to zagadnienie, postawione na IV Plenum, winno w pierwszym rzędzie być podchwycone przez nas również i w twórczości i w polityce związkowej. Codzienne stawianie na nowych ludzi, przyciąganie do swych szeregów robotników, którzy piszą lub zaczynają pisać. A mamy zjawiska wkraczania nowych ludzi w szeregi naszej literatury i znaleźć to powinno wyraz w nagrodach państwowych. Kiedy byłem w Związku Radzieckim, nasi koledzy i towarzysze mówili mi, że talenty trzeba wyszukiwać w narodzie jak diamenty. Często ludzie o wielkim talencie siedzą przy swoim warsztacie pracy i nie wiedzą o swoich możliwościach, są oni tak pochłonięci pracą zawodową, że nie przyjdzie im do głowy przestawić się na pracę artystyczną. Stąd też trzeba wprowadzić w swą codzienną pracę obowiązek obcowania z klasą robotniczą, wychodzenia w teren z pracą oświatową, trzeba wyszukiwać nowych ludzi, trzeba pomóc im przedzierzgnąć się w pisarzy. To jest dzisiaj wielkie, olbrzymie zadanie. I musimy wszystko zrobić, żeby młodzież robotniczą skierowywać na teren twórczej pracy artystycznej i literackiej. I to zagadnienie musi Związek przed sobą postawić. To zagadnienie musi odbić się na całej naszej krytyce, która winna oceniać każdy nowy talent przebijający się w naszej literaturze.

Zagadnienie naszej krytyki, to w pierwszym rzędzie umiejętność pomagania pisarzom w ich dalszym marszu naprzód. I to jest zagadnienie stałych dyskusji, podobnych do tych, jakie mamy w tej chwili w prasie radzieckiej. Musimy zrobić wszystko, żeby „Nowa Kultura" istotnie stała się pismem bojowym, stawiającym na wszystko co nowe, pomagającym młodzieży, pomagającym nowym talentom, umierającym przezwyciężyć tę atmosferę, która między innymi ciąży również jeszcze i na naszym Zjeździe.

A stoi przed nami wielkie zagadnienie nastawienia krytyki na poszukiwanie nowego i przezwyciężenie pogardliwego stosunku do tego, co się rodzi nowego, co przychodzi do nas. Każdy z nas, jeżeli uczciwie zajrzy dzisiaj w swoje sumienie, analizując tę dyskusję, której jesteśmy świadkami, powie na pewno, że najbardziej szczere, mimo tych czy innych niedociągnięć,

były wystąpienia kol. Borowskiego i kol. Woroszylskiego.

Myśmy ten ton powinni pogłębiać, powinniśmy pogłębiać tę atmosferę, w której by dojrzewały tego rodzaju wystąpienia i powinniśmy wytwarzać nastrój nowego na tym Zjeździe i z tym nowym powinniśmy pójść do najszerszych mas, dla których budujemy i tworzymy kulturę.

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI:

Weźmy taką paradoksalną sytuację: pojedzie pisarz w teren, uchwyci konflikt socjalistyczny i przywiezie krytykowi, który zaatakuje to z punktu widzenia formalnego. To jest sprawa, nad którą trzeba się zastanowić, bo przecież ci ludzie piszą swoje krytyki siedząc przy biurku.

Jak oni sobie dają z tym radę? Jeżeli nie można być pisarzem z iskry bożej, to nie można również być krytykiem z natchnienia, trzeba tu mieć konkretny materiał. I tutaj rodzi się taka dosyć dziwna sytuacja, że młodzi pisarze, młodzi w swoim zapale, mają więcej zaufania do polityków niż do krytyków. Z chwilą gdy się zwrócimy czy to do organizacji partyjnej w zakładzie pracy, czy do sekretarzy w komitetach powiatowych, usłyszymy od nich często rzeczy mądrzejsze niż od krytyków.

WANDA ŻÓŁKIEWSKA:

Wpadła mi kiedyś w rękę książeczka dla dzieci w wieku lat od 8 — 10, szlachetna w tendencji, dość ładnie napisana. Autorka pragnie tu wpoić w swoich czytelników zamiłowanie do pracy. Daje przeto swoim bohaterom, dzieciom leśniczego, kawałek ziemi i każe się im samodzielnie rządzić. Dzieci są autorce posłuszne. Zakładają ogródek, sadzą warzywa i kwiatki, budują nawet mały domek, do którego zapraszają na podwieczorek rodziców. Praca umożliwia dzieciom przyjemne spędzenie wakacji, uczy je koleżeństwa. Zdawało by się, że wszystko w porządku i książeczka może spełnić pożyteczne zadanie. Tak by się zdawało. Tak nie jest jednak, bo nikt z czytających nie wie, po co autorka każe dzieciom pracować, komu ma służyć praca dzieci. Praca sama w sobie? Bez celu społecznego, bez sensu społecznego, bez pożytku? Po co się mamy łudzić. W ten sposób pojęta praca staje się zwykłą zabawą dzieci na wakacjach i nie należy mylić pojęć. W ten sposób przedstawiony problem ujawnia mieszczański ideał odizolowania dziecka od istotnego przebiegu wydarzeń w jego kraju, tworzy fikcję, w której nie ma możności zetknięcia się ze sprawami współczesnego życia.

Takich pozycji literatura polska posiada wiele. I takich pozycji wiele wznowiono. Jedne z nich są, jak ta, o której wyżej wspomniałam, szlachetne w tendencji, tylko zupełnie nieporadne ideologicznie, błędne i bezużyteczne wskutek tego. Współczesnemu dziecku nie przydadzą się do niczego. Gorzej jednak, gdy autor świadomie wyraża wsteczną ideologię, bo i to się zdarza. Zdarza się przecież niejednokrotnie, że wznowiona książka budzi w nas grozę. Do takich należy np. „Szkoła narzeczonych" Marii Kruger, nawiązująca bezkarnie do czasów niewolnictwa kobiet i gloryfikująca idee i stosunki, nad którymi wiele lat temu ubolewał postępowi pisarze (Orzeszkowa — „Marta").

Byłoby jednak niesprawiedliwością i zafałszowaniem obrazu faktycznego, gdybym nie wymieniła wśród wznowień literatury dwudziestolecia pozycyj cennych pod względem artystycznym i pedagogicznym. Reprezentują je książki Tuwima, Porazińskiej, Grabowskiego, Zarembiny, Harszewskiej, Wasilewskiej,

Kownackiej, Krzemienieckiej, Broniewskiej, Bobińskiej. Literatura to wszakże nieobfita i jakkolwiek powstała w najlepszych intencjach, to przecież nie wyczerpuje tego wszystkiego, co autorzy mogliby i chcieliby dać.

Nieobfity również jest powojenny plon literacki, zapoczątkowujący nową współczesną literaturę dla dzieci i młodzieży. Powojenna twórczość Krzemienieckiej, Grodzieńskiej, Koszutskiej, Wasilewskiej, Newerly'ego, Bobińskiej, Broniewskiej, Brzechwy, Milskiej i Markowskiej daje próby przezwyciężenia tradycyj mieszczańskich i wprowadza treść bliską ideom nowego budującego się ustroju. Zadanie trudne i nie uwieńczone dotąd jeszcze całkowitym sukcesem.

JADWIGA SIEKIERSKA:

Całą naszą rzeczywistość dzisiejszą cechuje spotęgowana, nieznana w naszych dziejach, rola świadomego czynnika, który opierając się na teorii marksizmu-leninizmu, teorii realizowanej przez czyn milionów pracujących, porwanych entuzjazmem budownictwa socjalistycznego, kieruje naszym życiem. Czy możemy mówić, że literatura wyłamuje się spod tego prawa? Niewątpliwie literatura w sposób swoisty również podporządkowuje się tym nowym prawom naszej rzeczywistości i jeżeli stwierdzamy — a to jest fakt niewątpliwy — zahamowanie, zatrzymanie się w rozwoju, choćby chwilowe, twórczości literackiej, to znaczy, że właśnie ten element świadomego kierownictwa, te mobilizujące wewnętrzne siły twórczości literackiej, jej ładunek ideowy są za słabe, niewystarczające, nie dotrzymują kroku. Czyli inaczej mówiąc, zawiodły źródła, przyczyny subiektywne, kierownicze na odcinku literatury. To, o czym, nie znając może dokładnie naszej sytuacji, a wyczuwając ją tylko z dyskusji, tak trafnie powiedział tow. Surkow. Mianowicie brak siły wewnętrznej, mobilizującej. Wynika z tego, że literaci nie czują się w pełni — niezależnie od tego, czy partyjni, czy bezpartyjni, bo wszystkim jednakowo leży na sercu sprawa przyszłości kultury i jej rozkwitu — gospodarzami literatury. O tym trzeba otwarcie i szczerze do końca tutaj powiedzieć.

Bardzo często w moich osobistych kontaktach z pisarzami, ze światem artystycznym spotykam się z pewnym zdziwieniem, pewną nieufnością, pewnym niezrozumieniem, gdy mówi się o ostrej walce klasowej, która odbywa się i wśród naszych pisarzy, wśród naszych twórców. A przecież proces opanowywania uczuciowego, a nie rozumowego naszej rzeczywistości polega na zdobywaniu przeżyć wewnętrznych, a nie naskórkowych. Zdobywanie prawdy odbywa się właśnie drogą ostrej walki klasowej. Trzeba powiedzieć, że chociaż nastąpiło chwilowe zahamowanie tej twórczości, zahamowanie wynikające z głębokich dziś przeobrażeń w walce odbywającej się pod naciskiem rzeczywistości, to jesteśmy w odróżnieniu od poprzednich etapów na tym szczeblu rozwoju, kiedy olbrzymia większość naszych pisarzy o różnej postawie społecznej, o różnych poglądach, o różnym warsztacie pisarskim, należy do obozu, który pragnie kształtować oblicze nowej Polski i nowej kultury.

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że dzisiaj nasza literatura znajduje się w punkcie zwrotnym. Dziś właśnie znaczna część zarówno partyjnych jak i bezpartyjnych pisarzy poddaje świadomie czy nieświadomie gruntownej rewizji i swój poprzedni dorobek pisarski i warsztat literacki. W tej właśnie walce przełamują się ludzie, idą naprzód lub

cofają się, jak to widzimy na przykładach ostatniego utworu Rudnickiego. A wynika to z tego, że odpłynęli już od starego brzegu, ale nie dopłynęli jeszcze do nowego socjalistycznego brzegu. I na tym właśnie polega trudność, dramatyzm sytuacji. Do tego trudnego procesu, procesu obiektywnego, procesu walki klasowej, musi właśnie włączyć się czynnik świadomości, czynnik wewnętrznej siły ideowej w łonie samej literatury. I najważniejsza rzecz, z czego musimy sobie zdać sprawę, zawsze korzystając z wielkiego, bogatego doświadczenia literatury radzieckiej, że to się samo przez się żywiołowo, na fali przemian rewolucyjnych nie dokona.

Staje tu przed literatami partyjnymi i bezpartyjnymi wielkie zadanie ideowe, artystyczne, polityczne, społeczne, twórcze — chodzi o to, aby stworzyć atmosferę przyjacielskiej krytyki, gdy trzeba podać rękę pomocną. Od tego będzie zależał ostateczny sukces tego trudnego porodowego procesu.

Moi przedmówcy mówili już m. i., że trudności wynikają z braku wnikliwej, głębokiej znajomości naszej rzeczywistości. Tak się złożyło, że miałam ostatnio możność zapoznać się z twórczością dramatyczną naszych młodych pisarzy. I trzeba stwierdzić, że we wszystkich sztukach — wejdą one w najbliższym czasie na sceny naszych teatrów — widać dużo dobrej woli, czuje się nawet pasję, ale równocześnie przebija ze wszystkich sztuk czy to pisarzy partyjnych, czy bezpartyjnych, brak gruntownej znajomości tego, o czym piszą i to często w sprawach elementarnych.

Trzeba do tego dodać, że z tym brakiem łączy się również drugi istotny moment: pewien schematyzm, plakatowość postaci zarówno w naszej literaturze, jak i w naszym dramatopisarstwie. Autorzy nie umieją wydobyć nowej, pięknej siły moralnej tych ludzi, prostych ludzi, którzy budują dzisiejszą Polskę.

Trzeba powiedzieć, że poza brakiem konkretnej wiedzy stoi tu na przeszkodzie swego rodzaju niewolnicze hołdowanie jakiemuś abstrakcyjnemu humanizmowi. Nasz klasowy, socjalistyczny humanizm, najwyższy przez swoją treść internacjonalistyczną, a przez to najbardziej humanistyczny, najbardziej ludzki, dociera do świadomości pisarzy w sposób abstrakcyjny, a nie w całym bogactwie nowych, żywych, konkretnych treści.

Na przeszkodzie stoi tu abstrakcyjny humanizm — te zakorzenione przesądy, że dusza ludzka, jej piękno, jest swego rodzaju metafizyką daleką od planu sześcioletniego, od walki o pokój, od codziennych trosk naszego życia. Otóż ten przesąd wyczuwa się w twórczości nie tylko tych pisarzy bezpartyjnych, którzy świadomie i uporczywie bronią dziś tej ułudnej, chimerycznej metafizyki wartości duchowej w oderwaniu od budownictwa socjalistycznego, ale daje się on odczuć również i w twórczości pisarzy partyjnych, którzy, że tak powiem, teoretycznie, rozumowo stoją na stanowisku klasowego, socjalistycznego humanizmu, którzy ustosunkowali się krytycznie do humanizmu abstrakcyjnego, do tej jałowej metafizyki dusz ludzkich, a jednak w twórczości swojej nie mogą jeszcze tej granicy przebyć.

RYSZARD MATUSZEWSKI:

Wydaje mi się, że jeśli chodzi o stosunek krytyki do zjawisk literackich, to przyjąwszy metodę realizmu socjalistycznego, należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, co nowe i twórcze. Jest to wielki obowiązek krytyki literackiej. Głównym błędem da-

wnej „Kuźnicy", a błąd ten pokutuje i dziś jeszcze, było niedostrzeganie tych zjawisk nowych, rodzących się dopiero, tych pozycji, które wytyczają nowy kierunek i nowe perspektywy literatury.

Niewątpliwie słusznie i często dyskutowana jest u nas ta sprawa, że nie umiemy dostatecznie rozpracować i przeprowadzić analogii między rozwojem naszej literatury, a tym, co się dzieje w Związku Radzieckim, że niedostatecznie pokazujemy pewne twórcze pozycje literatury radzieckiej. Zostało u nas jeszcze wiele spraw nie przezwyciężonych. Musimy dokonać tych przezwyciężeń, chociaż to nie jest sprawa łatwa. Czeka nas zmiana tonu, sposobu argumentacji, czeka nas zlikwidowanie zdawkowości i poszerzanie perspektyw kluczowych zadań, które przed nami stoją.

Sprawa oceny Gałczyńskiego. Ważyk wspomniał o tym autorze i chociaż całkowicie zgadzam się z tą oceną poezji Gałczyńskiego, jaką dał Ważyk, oceną ideologiczną, to jednak przesunięty jakoś akcent sprawił, że może niedostatecznie podkreślono skomplikowaną sprawę tego poety w naszej dzisiejszej rzeczywistości. Nie dano dotąd zasadniczej oceny twórczości tego poety, natomiast uprawiano krytykę jego poezji przy pomocy uwag marginesowych, dowcipów, przypinania łatek. Sam nie jestem bez winy, bo byłem jednym z pierwszych, który przypiął łatkę Gałczyńskiemu. Te łatki posypały się jedna za drugą. Jest błędem politycznym naszych redakcji, że nie było o tym poecie, który wydał kilka tomów wierszy po wojnie, żadnej pracy krytycznej, że sprawa ta nie została szerzej rozpracowana. W każdym razie wniosek ostateczny nie powinien być taki, jaki wynikł z cytaty Majakowskiego, którym Ważyk ukoronował swój sąd. Trzeba pamiętać, że Gałczyński przebył trudną drogę do nas, do ideologii Polski Ludowej, z pozycji bardzo dalekiej, że rezonans jego poezji ma duże znaczenie.

Chodzi mi tu o ostateczny akcent, a nie o znaczenie ideologicznej oceny, która, jak podkreśliłem, w referacie Ważyka była trafna.

JERZY PUTRAMENT:

Jest pewne złudzenie, które możemy wyczytać u literatów, którzy przyjęli nasz światopogląd. Boją się oni, że realizm socjalistyczny, o którym tyle mówimy, a który może nie wszyscy rozumiemy, oznacza artystyczną degradację ich twórczości. Nie można powiedzieć, aby to złudzenie nie miało pewnych podstaw. Przy tym przełomie, jakiego dokonujemy, niewątpliwie pierwsze próby muszą wypaść blado. Chyba, że wyłoni się niezwykły talent. Ale nie wolno mówić, że realizm socjalistyczny oznacza degradację artystyczną. Tak nie jest, nie mówiąc już o względności pojęcia wartości artystycznej. W każdej kategorii wartości artystycznej realizm socjalistyczny daje pełne możliwości pełnego artystycznego wyrazu. Jest takie rosyjskie przysłowie: „Nie trzeba się skarżyć na zwierciadło, kiedy buzia jest krzywa". Tu nie realizm socjalistyczny jest winien. To może talent tego czy innego pisarza zawiódł. Kicze są w każdej twórczości. I jeżeli realizm socjalistyczny oznacza między innymi przedstawianie seryjnej produkcji w naszych fabrykach, to nie oznacza on seryjnej produkcji jakichś kiczów.

O drugim zahamowaniu indywidualnym, które u naszych pisarzy daje się wyczuć, mówiła bardzo trafnie kol. Siekierska. Jest pewna grupa pisarzy, którzy przed wojną byli może, jak na ową epokę, bardzo postępowi, którzy nie stali na rewolucyjnych marksistow-

skich pozycjach, ale stali na pozycjach liberalnej czy radykalnej inteligencji.

Mówią oni mniej więcej tak: komuniści — owszem, oni mają rację, ci komuniści, dobrze że tak o tego szarego człowieka walczą, ale ich humanizm jest ograniczony, oni są humanistami w 90%, a my jesteśmy 100% humaniści, bo my bronimy człowieka również w tym kułaku, w tym ekshrabim, eksmieszczuchu, który teraz jest nędzarzem, sprzedaje papierosy, my jego też bronimy.

Naiwne złudzenia. Aby kochać ludzkość, trzeba nienawidzić jej wrogów — stara to prawda. Dziwne, że czasem u bardzo skądinąd inteligentnych ludzi dają się wyczuć tego rodzaju zahamowania.

Trzecim zahamowaniem — ubiegł mnie tu zresztą nasz przyjaciel Surkow — jest kwestia wolności twórczej. O tym też w paru słowach.

Ustalmy — koledzy i towarzysze — jedno zjawisko. Kultura na Zachodzie podzieliła się na dwa nurty. Jeden nurt to sztuka dla wybranych, drugi nurt to masowa produkcja literatury kryminalnej, pornograficznej itp. W obu tych nurtach wolność jest bardzo ograniczona. Nie dość na tym. W krajach kapitalistycznych nastąpiło zjawisko niesłychanej koncentracji technicznych środków produkcji, literatury, filmu, malarstwa. Wolność twórcza sprowadza się tam właściwie do wyboru pomiędzy pisaniem dla wybranych, tzn. dla nikogo, pisaniem brukowej literatury, zdychaniem z głodu albo losem Nazim Hikmeta. Wybór, jak widzimy, nie bardzo jest wielki.

Nasza wolność jest inna. Chciałbym podkreślić, że wolność naszego ustroju polega na tym, że tylko u nas człowiek ma szanse znalezienia dla siebie swego własnego miejsca na ziemi. Wolność burżuazyjna to wolność dla ludzi o silnych kłach, wolność nasza to wolność dla każdego człowieka.

Mamy ustrój, który zapewnia kulturze należytą opiekę, mamy pomoc państwa, o której przed wojną nie mogliśmy marzyć, mamy najważniejsze— mamy odbiorcę, który zmusi nas do tego, żebyśmy wyrośli.

Jeżeli w naszym pojęciu kulturalni są ludzie, którzy zezują tęsknie do upadającej kultury upadającego Paryża, to niech ci ludzie stwierdzą i zauważą jedną niesłychanie ważną rzecz w malarstwie, dajmy na to, Paryża, stolicy abstracyjnego formalistycznego malarstwa. W malarstwie paryskim zaszła rewolucja. Najsilniejszy kierunek w chwili obecnej to nowy realizm francuski, który niewątpliwie zrodził się pod wpływem kultury realizmu socjalistycznego Związku Radzieckiego i nowych demokracji ludowych. To my jesteśmy w ofensywie, to na nas patrzą wszyscy twórczy i zdrowi autorzy, malarze, kompozytorzy Zachodu. Nie tylko komuniści. Dlatego, towarzysze i koledzy, możemy zakończyć tę dyskusję akcentem optymistycznym. Mamy wszelkie dane, ażeby nasza literatura, literatura naszego pokolenia, literatura największego zwrotu w historii naszego narodu, stała się literaturą prawdziwie wielką, prawdziwie piękną, godną wielkich tradycji literatury polskiej. Możemy tym tradycjom dorównać — to tylko od nas zależy.

W trzecim dniu obrad przemawiali: J. Andrzejewski, L. Kruczkowski, S. Otwinowski, W. Kubacki, H. Mortkowicz-Olczakowa, L. Dmiterko, E. Szelburg-Zarembina, K. Wyka, J. Brzoza, T. Breza, K. Brandys, W. Natanson, Ed. Fiszer, M. Jarochowska, J. Wilczek, Ed. Ligocki, L. Pasternak, J. Zagórski, A. Wat, J. Baumgarten, K. Koźniewski, M. Grabowska, J. Karst, W. Wirpsza,

T. Kwiatkowski, J. Miller i J. Broniewska.

JERZY ANDRZEJEWSKI:

Przypomnijmy sobie, w jakiej atmosferze przebiegały nasze obrady w tej samej sali Rady Państwa, przed pół rokiem. Poprzedziła je namiętna polemika prasowa o poezji, przeszła fala pierwszych prób ocen samokrytycznych własnej działalności i własnych dróg rozwoju ideowego. Niewątpliwie pomimo wszystkich błędów, które zostały w tej dyskusji popełnione, u podłoża jej była walka nowego ze starym. Myśmy to dobrze czuli w czasie obrad ówczesnych. Przez nasze życie literackie, przez naszą twórczość, przez nasze myślenie o życiu rzeczywiście przeszedł powiew świeżego, i jeśli jeszcze było dla nas sztywne pojęcie realizmu socjalistycznego wtedy, gdy było postulowane na Zjeździe Szczecińskim — to pojęcie to już w lutym bieżącego roku było dla nas czymś nieporównanie żywszym i prawdziwym. I na tej konferencji zostało wówczas stwierdzone, że napięcie naszej twórczości jest nieporównanie słabsze, jest nieporównanie wątlejsze od napięcia przemian ideowo-społecznych i od napięcia pracy w Polsce powojennej. Zostały wówczas ustalone dwie zasadnicze przyczyny. Nasze braki ideowe i nasza nieznajomość realiów wielkich przemian społecznych w Polsce.

Chciałbym poruszyć kilka momentów, które niewątpliwie, jak mi się wydaje, są elementami właśnie walki klasowej, która toczy się w tym, czy innym pisarzu. Mam na myśli lęk przed tym, żeby nie wypowiadać, przynajmniej usiłować nie wypowiadać żadnego zdania i żadnej myśli w taki sposób, w jaki wypowiadał i precyzował je ktoś inny. Źródła tego lęku są, jak mi się wydaje, zupełnie jasne. Gdy zbliżyłem się do ideologii marksistowskiej, muszę wyznać, raziło mnie to, że przemawiając czy pisząc artykuł publicystyczny, będę musiał formułować pewne sądy w taki sposób, w jaki czyniono to wielokrotnie przede mną i w jaki współcześni czynią to ode mnie lepiej.

To był złudny mit oryginalności pisarskiej. I ten mit rozwiał mi się całkowicie z chwilą, gdy zetknąłem się z pewnym konkretnym zadaniem, gdy jeszcze rok temu musiałem wygłosić mowę na dużym zebraniu o znanych wam wszystkim uchwałach watykańskich. Było to jedno z moich wystąpień czysto politycznych. Wówczas stwierdziłem, że nie mogę pisać i czytać inaczej, jak tylko w języku marksistowskim, że tylko w tym języku 2 razy 2 jest zawsze 4.

To nie jest zdeprecjonowanie mojej oryginalności pisarza, ale to jest potwierdzenie mojej wartości jako pisarza. Wiemy wszyscy, jak w wielu przemówieniach sprawy ideowe, które są prawdziwe i słuszne, w ustach mówców są zdeprecjonowane, i jak wkrada się frazes. To nie jest wina prawdy obiektywnej i sądu politycznego, czy społecznego, ale zawsze jest to wina mówcy.

Przed miesiącem, gdy byłem w Związku Radzieckim, rozmawiałem w Leningradzie z tow. Bortkiewiczem, który jest jednym z najbardziej znanych ludzi w Związku Radzieckim: tokarzem jednego z zakładów leningradzkich, racjonalizatorem, a poza tym laureatem Nagrody Stalinowskiej.

Ten młody człowiek w wieku lat 26 mówił rzeczy, które w ustach człowieka, który nie przejmuje się całkowicie tym co mówi, który nie jest zespolony całym sobą, całym życiem swoim z tym co mówi, brzmiałyby oczywiście jak frazes. W ustach towarzysza Bortkiewicza te same prawdy, te same oceny

były samym życiem. Myślę, że należałoby demaskować ten nasz fałszywy, zły lęk przed frazesem. Nie ma frazesu tam, gdzie jest nasza solidarność z prawdą o życiu, tam, gdzie w sposób pełny wyrażamy stanowisko polityczne.

Wydaje mi się, że my mamy, albo mieliśmy niewłaściwy stosunek do tej sprawy. Mówię my, nie ogarniając wszystkich pisarzy, ale niewątpliwie wielu z nas posiada i nadal niewłaściwy stosunek do oceny politycznej naszych utworów. To się czuje często, że przystępując do pisania jesteśmy jakby w gorsecie, że myślimy bojąc się.

Ocena polityczna musi być dla nas ważna. Powinniśmy wyzbyć się tego zalęknienia, tego usztywnienia, które bynajmniej nie wypływają ze stosunku polityków do nas. Ale z tego, że będąc niezupełnie dojrzali ideowo posiadamy wiele skaz, których nie chcemy często ujawnić wobec polityków, i postępujemy tak jak uczniacy, którzy przez cały rok wagarowali, a potem mają zdawać egzamin. Oczywiście element strachu jest wówczas bardzo ważny.

I jeszcze jedna sprawa. Wczoraj bardzo pięknie kol. Putrament mówił o naszym niewłaściwym stosunku do nas samych.

Ze względu na niedoskonałość naszej krytyki dzieje się niewątpliwie pewna krzywda Gałczyńskiemu.

Zdajemy sobie sprawę, jakie są błędy całej jego poezji, ale nikt z krytyków nie próbował w ciągu ostatnich pięciu lat wytłumaczyć Gałczyńskiemu, że nie wystarczy samo przestawienie się ideowe. Że musi przestawić cały swój warsztat poetycki, musi wyrzucić rekwizyty mieszczańskie. A tymczasem przeciwnie, z Gałczyńskiego robiono barda poezji ludowej.

LUBOMIR DMITERKO:

Będę mówił o formach organizacyjnych naszego Związku. Tak jak forma nierozdzielna jest od treści i treść od formy, tak samo i forma twórcza Związku Radzieckiego jest nierozdzielna od jego form organizacyjnych. Jest nierozdzielna od politycznych i społecznych form pracy. Najbardziej elastyczna i najbardziej bliska forma organizacyjna ma dla mnie bardzo ważne znaczenie.

Pisarz powinien przede wszystkim pisać. Związek Pisarzy powinien pomagać pisarzom pisać, pisać tak, jak tego wymaga naród i tak, jak wymaga nasz wielki czytelnik.

Znam Polskę, znam historię Polski, widziałem straszny obraz cierpiącego narodu polskiego w roku 1944, widziałem miasta i wsie polskie, widziałem Oświęcim wtedy, kiedy byłem w armii radzieckiej. Widziałem Polskę jeszcze raz wtedy, kiedy razem z tow. Surkowem byliśmy w Polsce z okazji 5-lecia jej wyzwolenia.

Widziałem rzeczywiście wspaniałe obrazy tego podnoszenia się Polski, która w niesłychanie krótkim przeciągu czasu przechodzi wielką historyczną drogę do socjalizmu. Podziwialiśmy wysoki stopień wyrobienia społecznego i postępu na drodze do socjalizmu. Podziwialiśmy postawę i kulturę polskiej klasy robotniczej, polskiego ludu pracującego i polskich chłopów. Od czasu ostatniego mojego pobytu aż do tej chwili zaszły kolosalne zmiany w Warszawie. W przerwach pomiędzy posiedzeniami chodzimy i podziwiamy te olbrzymie zdobycze, jakie przez ten czas zostały osiągnięte. Spacerujemy po mieście i rozkoszujemy się tą symfonią młotów. Podczas jednego z naszych nocnych spacerów weszliśmy do zaułka, który się znajdował między ruinami i zwaliskami i usłyszeliśmy,

jak przeraźliwie krzyczała sowa. Sowa wyleciała z pustego okna i ślepym lotem przeleciała koło nas. Jestem przekonany, że większość literatów i poetów Warszawy opisuje Warszawę właśnie wśród dźwięków młotów i bohaterskiej symfonii pracy. Są jednak jeszcze ludzie, drobna grupka, którzy ze swojego zacisznego gabinetu widzą pustą ulicę i chcą widzieć ten zaułek, i opisywać pusty krzyk sowy.

Praca jest jednym z podstawowych elementów naszej socjalistycznej estetyki. Maksym Gorki mówił, że nigdzie i nigdy w historii rozwoju ludzkości praca nie była tak swobodna i tak twórcza jak w naszym kraju. Zarazem my, idący teraz ku socjalizmowi, powinniśmy rozumieć, że następuje dzień, gdy zatrą się granice między pracą fizyczną i umysłową. Praca staje się coraz bardziej i bardziej skomplikowana. I dlatego życia należy uczyć się wszechstronnie. Łatwo jest na kilku przykładach poznać pracę robotnika niewykwalifikowanego. Praca takiego niewykwalifikowanego robotnika jest taka sama, jak praca setek i tysięcy innych robotników. Ale u nas praca wysoko wykwalifikowanych robotników i wybitnych specjalistów waha się w granicach pomiędzy nowatorem przemysłowym a inżynierem, między rolnikiem a agronomem, między robotnikiem a przedstawicielem niezwykle i wysoce intelektualnej pracy, jaką jest medycyna, nauki humanistyczne itd. I dlatego pisarz opisujący życie winien głęboko studiować tryb życia swoich ludzi.

Jeśli my nie będziemy popierali młodych sił i nie będziemy starali się ich podnieść, co stanie się z literaturą polską i ukraińską za 100 lat? Upadnie ona wtedy zupełnie, lub zniknie zupełnie. My jako patrioci nie możemy do tego stanu rzeczy dopuścić. Musimy postępować tak, jak to robili starzy klasycy, którzy zakładali swoje szkoły. Gorki mówił o sobie: „Starałem się napisać jakąś sztukę i nic z tego nie wychodziło. Przyjechał Czechow i dał mi w rozmowie kilka wskazówek i wtedy dopiero udało mi się". (Gorki był wtedy młodym pisarzem).

Przypuszczam, że ten, któremu leży na sercu sprawa literatury polskiej, nie będzie stawiał przeszkód, lecz będzie aktywnie pracował, aby wychować młode pokolenie. Praca z młodymi ma swój specyficzny charakter i nawet tutaj już minister Sokorski i inni koledzy mówili, że należy wychowywać talenty i znajdować talenty.

Jednak trzeba w tych sprawach postępować bardzo ostrożnie, bo jeśli się okaże, że młody pisarz pozbawiony jest talentu, możecie zepsuć mu całe życie. Wtedy zamiast prawdziwym literatem, stanie się on rzemieślnikiem literatury, których jest niestety tak dużo. Tacy ludzie są wiecznie niezadowoleni. Sprawa ta jest bardzo delikatna i bardzo odpowiedzialna i trzeba do tego zagadnienia podchodzić z wielkim poczuciem odpowiedzialności i z wielką ostrożnością. Lepiej niech będzie dobrym kominiarzem niż złym literatem.

Jest u nas specjalne pismo zajmujące się tymi młodymi. To wydawnictwo bardzo gorliwie pracuje i w ostatnim okresie wydało 65 książek młodych literatów. Urządzane są seminaria i zebrania młodych talentów, gdzie ciągle się ich uczy.

JAN BRZOZA:

Chciałem nawiązać do tego punktu przemówienia kol. Kruczkowskiego, w którym jest mowa o pracy społecznej w Związku Literatów. Chciałem mówić wprost o konkretnych faktach, które dzieją się na terenie Śląska. Jak wiadomo, Śląsk jest największym ośrodkiem przemysłowym. Śląsk ze swoją mi-

lionową masą najczystszego jak złoto proletariatu, z masą najsilniejszą, która jest zdolna do niesłychanych czynów, ten Śląsk ma tradycje kulturalne. Wiemy o tym bardzo dobrze, że na Śląsku co jakiś czas obchodzimy czterdziestoczy pięćdziesięcio-, czy nawet stulecie istnienia jakiegoś chóru górniczego, orkiestry czy kółka amatorskiego przy kopalniach. Robotnik, górnik i hutnik jest przyzwyczajony do czytania i jest przyzwyczajony chodzić na koncerty, nie mówiąc już o zainteresowaniach sportowych.

To wszystko stworzyło dla nas, pisarzy mieszkających na Śląsku, sytuację, jaka gdzie indziej w Polsce nie istnieje. Mianowicie tam nie może być mowy o jakimś oderwaniu się od klasy robotniczej i życia tej klasy. To jest po prostu fizyczną niemożliwością. Tam klasa robotnicza przyszła do nas ze swoimi konkretnymi wymaganiami i musieliśmy tym wymaganiom sprostać. To były konkretne zamówienia na wiersze, jednoaktówki. Otrzymywaliśmy telefony i listy, kierownicy świetlic i górnicy przychodzili do nas z prośbą, abyśmy zebrali im w ciągu dwóch dni materiał potrzebny na taką a taką akademię. To wszystko spowodowało niesłychane obciążenie nas tymi sprawami, ale jednocześnie wytworzyło zbliżenie do klasy robotniczej i zapoznanie się ze wszystkimi jej żądaniami i pragnieniami na polu kulturalnym.

TADEUSZ BREZA:

Przygniatająca większość książek wydawanych przed wojną, to były książki chaotyczne pod względem sensu i—jak się dzisiaj orientujemy—były chaotyczne pod względem sensu celowo. Jeżeli się mówi o religii jako o opium dla narodu, to można w ten sam sposób mówić o literaturze tego typu. Obojętne, czy to będzie Mniszkówna, czy to będą utwory, które zachwycały wielu z nas w młodości. To wszystko była literatura, którą można by nazwać opium dla inteligencji, dla drobnomieszczaństwa. Łatwo było ją fabrykować z tego względu, że świat ówczesny posiadał dla pisarza określone typy i wzory, i określone sytuacje. Można tylko było modelować, zmieniać nastrój, sos, formę, przy czym kiedy się raz chwyciło swój krok w literaturze, swój sos, to można było te książki mnożyć jak naleśniki na patelni. Z łyżki na patelnię i naleśnik gotów: jeden, drugi, trzeci.

Dzisiaj już tak „dobrze" nie ma. Do każdej książki z osobna musimy się przygotowywać. Jest to może jeden z najbardziej porywających i imponujących momentów dla dzisiejszego pisarza. Że on niejako kilkakrotnie staje się z powrotem młodym.

Musimy zacząć dyskutować. W nowym życiu Związku musimy cały nasz wysiłek — a raczej nie my, a Zarząd Główny, który będzie pracował, a my będziemy jego, że się tak wyrażę, siłą napędową — otóż trzeba będzie cały wysiłek zużyć, żeby sprawa książek nieudanych nie była sprawą wyłącznie autora i wydawnictwa. To jest nasza wspólna sprawa i ona winna stać się naczelną troską Zarządu Głównego. Wtedy kiedy odpadną od Zarządu takie troski, jak np. opieka lekarska, troski mieszkaniowe etc., wówczas będzie on mógł dyskutować nad błędami i potknięciami każdego z nas.

KAZIMIERZ BRANDYS:

Niedawno, w czasie tygodnia oświaty i książki zetknąłem się z pewnym młodzieńcem i z tego zetknięcia wyniosłem zdumienie w najlepszym sensie. Młodzież nie tylko interesuje się naszymi książkami, nie tylko je czyta, nie tylko potrafi je oceniać, ale potrafi w ramach ich kompozycji budować własny

obraz. Miałem przykład tego, gdy po odczycie w jednym z ośrodków młodzieżowych wystąpił młody człowiek i powiedział parę słów o książkach, które napisałem. Podobała mu się jedna z nich, stwierdził jednak, że ma zarzuty co do postaci bohatera, że mój bohater jest zbyt słaby, zbyt bezradny. Mówił dalej, że razem z kolegami zastanawiali się jakby napisać lepiej jedną scenę. Była to scena, w której bohater załamuje się i ogarnia go strach. Powiedział mi, że nie podoba mu się to, że wolałby, żeby bohater okazał się silny, żeby przeszedł wśród swoich prześladowców zwycięsko. Dlatego, że ci prześladowcy byli tchórzami i powinni byli się zlęknąć, gdyby zdradził on tylko zamiar aktywnego postępowania. Musiałem mu przyznać rację, mimo że za moim rozwiązaniem przemawiały pewne okoliczności, gdyż mój bohater był postacią historyczną.

Te dyskusje dały mi wiele; dowiedziałem się, czego żąda dziś od nas młodzież.

Na wyobrażenie naszej młodzieży o literaturze w wielkiej mierze wpłynęła lektura książek radzieckich. I zastanawia mnie, że postulaty tych najmłodszych czytelników w stosunku do nas są zbieżne z postulatami realizmu socjalistycznego. Młodzież oczekuje od nas bohaterów czynnych, zwycięskich, działających, przełamujących trudności, a nie bohaterów bezradnych i słabych. Szereg razy w rozmowach padało nazwisko Korczagina i innych bohaterów książek radzieckich. To jest ich wymarzony wzór i tego żądają od nas. Sądzę, że z tymi pisarzami, którzy wychodzą z ośrodków młodzieży, przejdziemy wspólną drogę i będziemy tworzyć literaturę socjalistyczną, o której mówi Fadiejew, że dopiero w świecie socjalizmu może się ona stać prawdziwie piękna.

MARIA JAROCHOWSKA:

Chcę mówić o spółdzielniach produkcyjnych jako o temacie pracy pisarzy. To znaczy nie chodzi mi o trudności, które ma pisarz wyjeżdżający w teren, bo to nie jest ważne, w każdym razie mniej ważne, ale chcę mówić o tym bardzo bogatym, różnym surowcu pisarskim, który obecnie na wsi istnieje, który się przełamuje w kierunku socjalizmu. Mieszkam w spółdzielni produkcyjnej Belno pow. Gostynin — tam wyjechałam w ramach akcji wyjazdów pisarzy w teren. Trzy miesiące to jednak za krótko. Tam trzeba by zostać kilkanaście miesięcy. Spółdzielnia, w której jestem, jest szczególnie ciekawa. Otoczona jest starymi wsiami, a więc można obserwować oddziaływanie spółdzielni na wieś. Początki tej spółdzielni były dość niefortunne, ponieważ był zły sekretarz powiatowy naszej partii, który zmuszał chłopów do wstępowania do spółdzielni. Zlekceważył najważniejszą zasadę teorii Lenina-Stalina co do spółdzielczości— o dobrowolności przystępowania do spółdzielni. Czynił w ten sposób, że opornych chłopów zapraszał na konferencje i przetrzymywał ich przez kilka dni. Nie robił im nic złego, ale nie puszczał chłopów do domu. Ten błąd teraz mści się. Kiedy wyszło to na jaw w kwietniu 1950 r., sekretarz ów został na konferencji przedstawicieli spółdzielni produkcyjnych w KC ostro skrytykowany przez tow. Zambrowskiego i usunięty z tego stanowiska. Ale oczywiście długo jeszcze potrwa, zanim się te błędy odrobi, zwłaszcza że są one wodą na młyn wrogów klasowych.

Chcę powiedzieć o różnych formach walki klasowej, które można było zaobserwować. Podam tylko kilka przykładów, choć takich przykładów są tysiące.

Pierwszy przykład: W okresie rekolekcji przed Wielkanocą pojawiły się na tym terenie listy od Pana Boga. Tych listów nikt nie widział, ale wszyscy oczekiwali, że nadejdą, bo było ogłoszone, że nadejdą listy przeciwko spółdzielniom produkcyjnym i ten, kto dostanie taki list, ma go przepisać 10 razy i rozesłać. Ludzie nie bardzo wierzyli, ale w spółdzielni zaczęli gorzej pracować i to wywoływało zamęt.

Inny przykład. Wola Trąbska. Tam nie było spółdzielni i jeden z chłopów domagał się jej założenia; pojechał do komitetu powiatowego ZSCh, z prośbą, żeby przyjechali przedstawiciele, zrobili zebranie, ponieważ ludzie są gotowi, żeby zorganizować spółdzielnię. Po jakimś czasie rzeczywiście przyjechali i zwołali zebranie. Wtedy ten sam, ob. Mróz, z którego inicjatywy odbyło się zebranie, zaczął wywoływać ludzi z zebrania i tłumaczyć im, odwodzić ich, żeby nie zapisywali się do spółdzielni, że gdy będzie spółdzielnia, to będą spać pod wspólną pierzyną itp. bzdury. Gdy doszło do głosownia, czy spółdzielnia produkcyjna ma być założona czy nie, chłopi pod wpływem tej wrogiej agitacji przeciwstawili się spółdzielni. Przez pół roku sprawa stała na martwym punkcie. Po pół roku zwołano znowu zebranie, zdemaskowano tego Mroza. Jaki to miało cel? Otóż ów Mróz uważał, że teren jest jeszcze nie przygotowany, więc chciał sprowokować założycielskie zebranie spółdzielni, na którym chłopi się przeciwstawią i będą mieli później święty spokój.

W każdym razie na wsi dzieją się cuda, akty dywersji, sieje się zamieszanie. Tysiące takich przykładów można by przytoczyć i każdy z nich po prostu prosi się o opisanie. Mimo bardzo zaostrzonej walki klasowej, a raczej dzięki niej, spółdzielnie jednak rozwijają się w tym powiecie. Ogromnie interesującą rzeczą jest obserwować, jak narasta świadomość u chłopów, jak oni zwalczają w sobie tę drugą duszę.

Przedstawiam tu gołe fakty. Jest zupełnie jasne, że szalenie ponętną sprawą dla pisarza jest pisać o takich rzeczach i dociekać, jakimi drogami idzie człowiek w kierunku zespołowej gospodarki i lepszego życia.

Na zakończenie mam luźną uwagę co do wczorajszej dyskusji. Przysłuchując się tej dyskusji przypomniałam sobie inną dyskusję toczącą sie w Paryżu między partyjnym towarzyszem, drukarzem, Hiszpanem, a polskim literatem. Literat ten mówił, że boi się zaangażowania politycznego, bo to ograniczy jego indywidualność. Wtedy Hiszpan powiedział: „Nienawidzę ludzi bezstronnych — to są oszuści".

Myślę, że epoka, w której żyjemy, jest właśnie taką epoką, w której tworzeniu my pisarze mamy zaszczyt brać udział. My nie jesteśmy bezstronni wobec tej wielkiej, najpiękniejszej sprawy, jaką jest taka przebudowa świata, aby człowiek nie był wyzyskiwany przez człowieka, i za tę przebudowę my także jesteśmy odpowiedzialni.

JAN WILCZEK:

Napisałem moją książkę również dzięki kontaktowi z terenem. Moje doświadczenie, które w pracy nad tą książką zdobyłem, mój stosunek do niej, jakoś łączą się bardzo z problemami akcji wyjazdów w teren i twórczości, która z tej akcji ma wypłynąć.

Ja, proszę kolegów, nie wyjeżdżałem w teren. Pracowałem w przemyśle. Napisałem tę książkę dlatego, że po prostu przeżyłem kilka pięknych lat. To były pierwsze lata po 1945 r., lata uruchomiania i organizowania państwowego przemysłu. Najpiękniejsze w tych latach było to, że i ja rosłem, i ludzie rośli. I to chciałem opisać.

Chciałem w swej książce pokazać, jak ludzie rosną i w jakich warunkach rosną. Chciałem to pokazać w sposób marksistowski. Wziąłem — jeżeli mi koledzy pozwolą na przypomnienie fabuły — uczciwego zwyczajnego człowieka, i w nowych warunkach otoczyłem go nowym życiem, nowymi instytucjami, zetknąłem go z organizacją partyjną, z organizacją przemysłową... Chciałem pokazać, jak to już w nowych warunkach, dzięki elementom nowego ustroju kształtuje się i zmienia psychika ludzka oraz nastawienie do życia. Uważałem, że to jest marksistowskie, słuszne założenie ideologiczne, bo marksizm mówi, że byt określa świadomość. Chciałem napisać, jak w takiej nawet małej fabryce cukierków, tylko dlatego że ta fabryka stała się państwowa i już socjalistyczna, warunki określają świadomość ludzi.

Znacie koledzy wszystkie zarzuty, jakie wytoczono przeciwko mojej książce. Jednym z głównych zarzutów było to, że nie pogłębiłem postaci, że dałem płaski, papierowy rysunek. Teraz z perspektywy lat wydaje mi się, że to spłaszczenie postaci i fabuły wynikło z pewnego płaskiego założenia ideologicznego.

Chcąc działać w sposób właściwy powieścią, pisząc ją świadomie, nie wolno mi było wychodzić z założenia, że wezmę bohatera, że otoczę go zaobserwowanymi czy zapamiętanymi elementami ustroju i że będę mógł w tej książce i w tej historii pokazać wszystko, co jest istotne w nowej tworzącej się rzeczywistości. Tym bardziej że miałem jasne — jeszcze raz to podkreślam — poczucie tego, że ja tę książkę chcę napisać i że tą książką chcę zadziałać.

Wydaje mi się, że to płaskie, nie do końca pogłębione ideologicznie założenie książki, nie tylko spłyciło mi jej formę ale skrzywiło jej adres.

Słuchając krytyków, zarzutów mówiących o tych wszystkich niedociągnięciach, spłaszczeniach, nie pogłębionej psychologii bohaterów, nie mogłem ich zrozumieć. Bo czułem się trochę tak, jakby mi proponowano wstawić jakieś inne, kolorowe łaty w dzieło, które ma przecież pewną logikę.

Tę książkę napisałem z dużą pasją w ciągu paru miesięcy 1947 r. Nie odrywałem się od niej. Ataku krytyki nie bardzo mogłem zrozumieć. Oczywiście mówię o tych zarzutach, które wydawały mi się propozycją korektury dzieła, na którą ja, mając poczucie logiki tej książki, nie mogłem się zgodzić.

Dopiero znacznie później, przy innej okazji, przy innej pracy, dzięki dyskusji, podczas której atakowano mój scenariusz filmowy, dojrzałem ten sam błąd, jaki dziś czuję w swojej powieści. Mówię ciężko — proszę mi wybaczyć — bo mówię o sobie, o swojej książce, mówię o trudnym problemie, o którym pierwszy raz mam możność mówić publicznie.

Przy drugim dziele, pisząc scenariusz, spotkałem się z merytoryczną krytyką ze strony moich towarzyszy partyjnych i kolegów i dzięki tej krytyce potrafiłem wiele poprzednich błędów zrozumieć. Zdałem sobie sprawę, że są książki, które albo walczą z postępem, albo intensyfikują proces postępu. Założenia ideologiczne mojej książki sprawiły, że znalazłem się w takiej sytuacji, iż chcąc być postępowym, zaledwie rozbroiłem obóz reakcji. W każdym razie

spotkałem się z takimi głosami, z taką reakcją. Inteligencji technicznej, moim kolegom z przemysłu ta książka się podobała. Podobała się inteligencji, ale nie mam niestety z terenu głosów robotników, nie wiem, czy ta książka im się podobała.

Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że ci koledzy, którzy dziś są w terenie, przywiozą tutaj do Warszawy, do swoich domów masę materiałów, takich wspaniałych, urzekających spraw. Z tym zespołem, który przedstawiłem rozmawiałem przez długi czas, przez wiele godzin, broniłem się wtedy i w tej dyskusji dopiero zrozumiałem swoje błędy i mogę teraz spokojnie powiedzieć, że pisząc drugą książkę mam szanse napisania jej lepiej. Widzimy, jak niesłychanie ważne jest uświadomienie sobie, że akcja wyjazdów w teren i plon tej akcji muszą być przez Związek przyjęte i muszą być początkiem nowej funkcji Związku. Niech to, co w tej chwili mówię, będzie dodatkiem do mego krytycznego refleksu.

Wszystkie krytyki dotyczące mojej książki wyrywałem, czytałem, analizowałem i starałem się je do końca przetrawić. Wiecie dobrze, że kilka dyskusji na temat mojej książki doprowadziło do dyskusji w kole partyjnym Związku Literatów. Byłem na tej dyskusji, przyszedłem. Niech mi dwaj moi serdeczni przyjaciele, Sandauer i Brandys, wybaczą, kiedy im powiem, że podczas tej dyskusji miałem wrażenie, jakby się mną trochę, jak kotem trzymanym za ogon, bili, mimo że nie jestem kotem, a Wilczkiem... Sama dyskusja, ton tej dyskusji, merytoryczny ładunek tej dyskusji zmusił mnie do tego, że przyszedłem na to zebranie po długim namyśle, przygotowany do wystąpienia. To była jedna z najpoważniejszych dla mnie chwil, dyskusja zaś biegła tak, że nie mogłem przemówić i czułem, że moje przemówienie byłoby albo niewłaściwe, albo nic by mi nie dało.

Do czego zmierzam? Dziś ex post, zdaję sobie sprawę z wielu rzeczy, wiem wiele o mojej książce, znam jej błędy. Sandauer, Żółkiewski, gdyby mogli mnie spotkać, gdyby mogli ze mną mówić na temat mojej książki, to powiedzieliby więcej, jaśniej i prościej, przekonaliby mnie. A wtedy artykułami przekonać mnie nie mogli. Wierzę głęboko w to, że jeżeli my walczymy o pogłębienie, o inne nastawienie krytyki w ogóle, to musimy myśleć równocześnie o tym, żeby powstały w Związku sekcje, żeby została stworzona możliwość publicznej, koleżeńskiej dyskusji nad wątpliwościami autorskimi. Kiedy słyszałem, jak nam radzieccy goście mówili o pracy w ich związku, to zazdrościłem wszystkim piszącym tam. Wydaje mi się, że należy jak najszybciej te formy pracy przenieść na nasz teren.

EDWARD LIGOCKI:

Nie chcę tu mówić za dużo pro domo sua, ale koledzy domagają się szczerości, a mnie chodzi o przykład przeobrażeń myślowych, ideowych i uczuciowych. Każdy z nas popełniał błędy. Ja może więcej niż inni — było i „outsiderstwo" człowieka, który nigdy nie należał do żadnej partii, była wieża z kości słoniowej, było szukanie sprzymierzeńców w walce przeciwko piłsudczyźnie wśród najnieodpowiedniejszych ludzi, którzy ostatecznie wykazali brak charakteru i zeszli na manowce.

Po 20 długich latach emigracji, po latach zniechęcenia we Francji, gdzie jako pisarz milczałem, bo byłem na indeksie sanacyjnym i u wydawców, i u dyrekcji Polskiego Radia, po latach pozytywnej pracy w Anglii na odcinku szkolnictwa i publicystyki historycznej, wróciłem do kraju nie jako reemigrant,

rzucony falą, a po prostu dlatego, że w Polsce było miejsce Polaka. A mogłem przesiedzieć jeszcze kilka lat na katedrze uniwersyteckiej w Szkocji, mogłem wyjechać do Kanady, gdzie trzeba było polonistów na tamtejszych uniwersytetach. To jest rzecz naturalna i prosta, że wróciłem, widząc, że buduje się jakaś nowa Polska, potężna, energiczna i młoda, i na pewno lepsza od dawnej.

Otóż wytłumaczenie tego — „po co pan wrócił?" — wytłumaczenie ewolucji, która odbyła się i w mózgu, i w sercu, naświetlenie ciągłości ewolucyjnej, uważam za jedno z zadań pisarza. Należy się to czytelnikowi.

W międzyczasie jeden z redaktorów pism warszawskich oblał mnie zimną wodą, mówiąc: „Kto by chciał grzebać się w emigracyjnym gnoju? To nic nikogo nie obchodzi, bo tematem dla pisarza jest teraźniejszość i przyszłość." Gdyby tak było, to nie byłoby ani „Drogi przez mękę", ani tej noweli ze zbioru Erenburga, gdzie carski pułkownik czeka wciąż na zwycięstwo denikinowców.

Chodzi także i o listy, którymi zasypują pisarza, i anonimy, i groźby, z których jednak czasem przebija nuta poważna: „Niech pan nam wytłumaczy tę ewolucję. Obracał się pan długo w sferze katolicko-mistycznej. Pisał pan długo na emigracji. Dlaczego pan pisze przeciwko Watykanowi? Dlaczego pan już od roku nawołuje do układów z rządem? Kto pana do tego zmusza?" Nikt nie zmusza, przecież to takie proste. Chodzi o ewolucję wewnętrzną. Chodzi o postawę pisarza, który przez długie lata patrzył na błędne drogi, którymi prowadzili nasz naród ci, którzy dorwali się do władzy, którzy wzdragają się wrócić do kraju, budować w Polsce nowe życie.

Sądzę, że po 20 latach nieobecności w kraju, należało się ode mnie Związkowi kilka szczerych słów.

ROMAN KARST:

Wydaje mi się, że wyjazdy naszych pisarzy w teren powinny objąć również i krytyków. Jeśli chodzi o ocenę rzeczy dawnych, jeśli chodzi o ocenę klasyków czy też rzeczy, które powstały w minionych epokach, to naszym terenem jest biblioteka. W tym wypadku warsztat badawczy jest na miejscu. Ale jeżeli chodzi o rzeczy nowe, które składają się na obraz współczesnego życia, to tutaj krytyk nie może się zamknąć sam na sam w gabinecie z książką, o której ma pisać, nie może się odosobnić, nie może interpretować ani analizować tej książki na podstawie swojej własnej wrażliwości, czy lepszego lub też gorszego wyczucia pisarskiego. Musi on skonfrontować tę treść, którą znajduje w książce z życiem. Nie będzie mógł tego nigdy zrobić, jeżeli rzeczywiście nie przyjrzy się terenowi, gdzie powstaje nowe życie.

Dlatego uważam, że wyjazdy w teren powinny objąć także i krytyków.

Czwarty dzień obrad wypełniła dyskusja nad statutem i sprawami organizacyjnymi. W sprawach ideologicznych wypowiadali się: K. A. Jaworski, J. Iwaszkiewicz, J. Putrament i K. Wyka.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ:

Chciałem się trochę przeciwstawić pewnym nastrojom Zjazdu.

Optymizm optymizmem, ale zbytni optymizm jest rzeczą nieco niebezpieczną.

Mówiliśmy często i czytaliśmy napis w tamtej sali o inżynierstwie dusz ludzkich. Jednak kto chce budować cudze dusze, musi zbudować własną duszę, a

używanie, wstawianie do swego ciała dusz koncepcyjnych czy przefabrykowanych jest bardzo groźnym niebezpieczeństwem, prowadzącym do bardzo ciężkich konsekwencji. Budowanie swojej duszy jest rzeczą trudną, ciężką i tragiczną, bo czyż nie tragiczne w swym wydźwięku optymistycznym jest budowanie duszy pisarza, który tutaj wyznał nam, iż pierwszą swoją mowę zwrócił przeciwko Watykanowi, a był pisarzem katolickim i mówił, nie słuchając piania Piotrowych kogutów. To, co przeżywa starsze pokolenie, jest ciężkie i trudne, i młodzi zdają się tego nie rozumieć.

Tutaj na Zjeździe było jak gdyby zawiązywanie pewnej walki, którą młodzi prowadzą przeciwko starszym. Starsi nie są bez winy w tej całej historii. Nie trzeba było tego zamazywać, trzeba było pokazać: nieufność, jaką młode pokolenie żywi do pokolenia starszego i jednocześnie niechęć starszych do młodych. Te fakty istnieją i należało je podkreślić.

Także uprzedzałbym przed zbytnim optymizmem statutowo-organizacyjnym. Z zazdrością słuchaliśmy tutaj sprawozdania kol. Dmiterki, który mówił o organizacji 350-osobowej, gdzie potrafiono stworzyć komisje i sekcje 15-osobowe i każdy z członków związku pracuje.

U nas brak jest ludzi działających i to bym chciał podkreślić. Wydaje mi się konieczne, jak najbardziej rozszerzyć nasz Związek organizacyjnie i wciągnąć wszystkich członków Związku do pracy.

JERZY PUTRAMENT:

Usłyszeliśmy wystąpienie kol. Iwaszkiewicza. Uważam, że wystąpienie to nie powinno pozostać bez odpowiedzi.

Myślę, że w dotychczasowej naszej działalności było dużo braków, ale nie jest prawdą, że była u nas walka między starymi a młodymi. Nie może w nas absolutnie pozostać wrażenie walki między młodymi i starymi. Było w tej dyskusji dużo nieporozumień, krzywdy. Przykładem jest krzywda wyrządzona koledze Iwaszkiewiczowi. Ale w tej dyskusji były pewne momenty zdrowe. Jeśli w przyszłości będziemy jak najostrzej tępić wszelkie próby rozgrywek osobistych, to będziemy popierać najbardziej ostre dyskusje ideologiczne.

Wydaje mi się, że kol. Iwaszkiewicz zbyt czarno przedstawił nasz ogólny stan obecny. Wydaje mi się, że jednak ogólna ocena stanu naszej literatury i naszego Zjazdu powinna być mniej więcej taka: zaczynamy rozumieć przyczyny naszej słabości. Zaczęliśmy je dopiero rozumieć i do końca jeszcze nie zrozumieliśmy. Ale to już bardzo dużo — uświadomić sobie własne bolączki.

W tej sali, na tym kongresie niemożliwe było, aby takie utwory jak „Pałeczka" znalazły obrońcę. Dlaczego? Bo zajmujemy w tej chwili, mimo różnic, które nas dzielą, pewną wspólną postawę moralno-estetyczną. Jest to wielkie osiągnięcie i nie wiem czy byłoby ono możliwe przed trzema miesiącami.

Chciałbym, aby po wystąpieniu kol. Iwaszkiewicza nie pozostało w naszym Związku fałszywe wrażenie, że młodych się wysuwa, a starych odtrąca. Tak nie jest. Cały sens naszego Zjazdu polega na tym, że próbujemy organizacyjnie i ideologicznie wytworzyć taką formę naszego wspólnego życia, w której dla każdego znajdzie się miejsce. Jest to sens naszego ustroju i naszego stosunku do jednostki. Dla każdego z zebranych w tej sali jest miejsce u nas. I nie znaczy to, że jeżeli wysuwamy młodych, to jednocześnie komukolwiek zabieramy jego miejsce. Nic podobnego. Nie może tego być w naszym

ustroju. Nie ma rywalizacji osobistej o jakieś stanowisko.

Wydaje mi się, że gdybym starał się znaleźć hasło dla naszego Zjazdu, to brzmiałoby ono tak: Zjazd odbył się pod znakiem awansu społecznego pisarzy w nowej socjalistycznej Polsce. Jest to hasło dosyć ograniczające, bo nazywając w ten sposób Zjazd podkreślamy, że cały szereg rzeczy został niedomówiony, że jest u nas jeszcze wiele rzeczy słabych. Ale na tym odcinku ten Zjazd jest niewątpliwie dla nas, dla naszego życia związkowego pewnego rodzaju epoką.

KAZIMIERZ WYKA:

Dyskusja zjazdowa jest bardzo pouczająca. Sprawy ideologiczne, którym miały być poświęcone pierwsze dwa dni Zjazdu, rozrosły się tutaj, na tej sali i pochłonęły sprawy statutowe i organizacyjne.

Przez pierwsze dwa dni Zjazdu omijaliśmy wiele problemów. Stwierdzić jednak należy, że już podczas obrad dojrzeliśmy, pogłębiliśmy nasz własny stosunek do wielu zagadnień.

Gdyby Zjazd rozpoczął się dzisiaj, to wyglądałby on zupełnie inaczej niż przed czterema dniami i myślę, że po przyjeździe do domów, po przemyśleniu spraw tutaj omawianych, jeszcze głębiej wnikniemy w sens oczekujących nas zadań.

Jeżeli chodzi o plusy Zjazdu to omówił je już kol. Putrament. Chciałbym tylko jedno dodać: wytworzyła się tu zbiorowa, kolektywna opinia Związku. I to jest wielkie osiągnięcie.

Ale słyszeliśmy wielokrotnie ataki i słuszne zarzuty. Słyszeliśmy wielokrotnie ataki i słuszne zarzuty przeciwko kol. Rudnickiemu i przeciwko kol. Gałczyńskiemu, a tymczasem nie widzieliśmy w naszym zespole tych dwóch kolegów.

To nie było dobre.

Tu nie chodzi o to, że nieobecny nie ma racji, ale chodzi o to, że nieobecny nie przyjmuje do wiadomości tego rodzaju opinii.

A mieliśmy przecież inny przykład. Kol. Breza nie był na pozycji kol. Rudnickiego i kol. Gałczyńskiego, ale kol. Breza ze strony kolektywnej opinii otrzymał przede wszystkim pomocną dłoń i ta kolektywna opinia, jak podkreślił kol. Putrament, może pomóc piszącym w rozwoju, w usunięciu trudności, na które napotykają. Opinia ta może ich ustawić na tych pozycjach, na jakich mogą być pożyteczni i konieczni. Jeżeli idzie o dalszą sprawę, która stąd wynika i wiąże się z dynamiką Zjazdu, to byłoby błędem i naprawdę niesłusznym wnioskiem kończyć nasz Zjazd akcentem pesymizmu czy akcentem niewiary. Jeżeli ktoś z tymi wnioskami chciałby wychodzić z sali, to sam przebieg Zjazdu jest dlań odpowiedzią, że nie ma racji. Podkreślam to jako niewątpliwy wniosek. Z tego wynika, że jeżeli problemy na obecnym etapie Zjazdu przerosły nasze oczekiwania, to nie wolno dopuścić do tego, żeby one przerastały nas nadal, żeby te zagadnienia, które rozpatrywaliśmy, żeby te sposoby pracy wszechstronnej, odpowiedzialnej i twardej dyskusji ideologicznej — skończyły się na naszym Zjeździe. To są rzeczy, które od tego Zjazdu począwszy powinny i muszą być brane pod uwagę i wtedy ten Zjazd nie zakończy się uchwaleniem deklaracji statutowej, ale będzie istotnym początkiem przełomu w naszym życiu ideologicznym i literackim.

Po V Zjeździe Literatów Polskich

W walce o postawę twórczą pisarza

Słusznie powiedział w jednym ze swych przemówień zjazdowych Kazimierz Wyka, że coraz dotkliwiej odczuwa się dziś potrzebę dokonania bilansu dotychczasowego procesu rozwojowego literatury Polski Ludowej. Konieczność sporządzenia takiego bilansu, konieczność wyrysowania krzywej rozwojowej, obrazującej zwłaszcza proces kształtowania się świadomości pisarskiej naszego środowiska literackiego daje się odczuć szczególnie, gdy chodzi o ocenę zjawiska tak doniosłego w życiu literatury, a może i w szerszej skali społecznej, jak czerwcowy V Zjazd Literatów Polskich.

Nie podobna w zwięzłym artykule poświęconym omówieniu Zjazdu kusić się o pogłębiony czy obszerniejszy zarys procesu rozwojowego naszej literatury i znajdującej w niej wyraz postawy pisarskiej na przestrzeni ubiegłych lat sześciu.

Próba pewnych stwierdzeń wydaje się jednak konieczna, jeżeli chcemy V Zjazd ZLP należycie ocenić. Już sam fakt zresztą, że potrzeba taka daje się odczuć, nie jest czymś przypadkowym, potrzeby bowiem zjawiają się wówczas, gdy dojrzały warunki obiektywne ich realizacji. W tym wypadku znaczy to, że jakiś etap rozwojowy aktualnych dziejów naszej literatury został zamknięty i że wchodzimy w etap nowy— stąd właśnie potrzeba rozgraniczenia tych etapów, uświadomienia sobie ich treści.

Momentem pierwszego wielkiego przełomu od chwili wyzwolenia naszego kraju, od chwili powstania Polski Ludowej było plenum lipcowo-sierpniowe KC PPR i zjednoczenie klasy robotniczej. Wtedy to w walce z nacjonalistycznym oportunizmem w szeregach klasy robotniczej i jej partii po raz pierwszy wyraźnie zarysowana została perspektywa drogi rozwojowej Polski Ludowej do socjalizmu, obalona została miła poniektórym „humanistom" i „liberałom" spośród inteligencji legenda, że dyktatura proletariatu to była droga radziecka, a my mamy swoją polską a swojską drogę, łagodną a pokojową, drogę wygasania walki klasowej i zgodnego wrastania mas ludowych wraz z burżuazją w jakiś mityczny socjalizm. Jednocząca się pod sztandarem marksizmu - leninizmu klasa robotnicza i jej czołowy oddział — Partia — zdemaskowała odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne, będące transmisją wpływów burżuazji na klasę robotniczą. Jasne się stało dla milionowych mas pracujących Polski Ludowej, że drogą ich jest droga do socjalizmu i że droga do socjalizmu jest tylko jedna: droga, której przykład wspaniały dał nam Związek Radziecki, droga dyktatury proletariatu. Jasne się stało wówczas, że wbrew pragnieniom nacjonalistycznym oportu-

nistów demokracja ludowa to nie forma pośrednia pomiędzy państwem burżuazyjnym a państwem proletariackim, w której współżyłyby sobie zgodnie socjalizm i kapitalizm, burżuazja i lud pracujący. Demokracja ludowa to właśnie forma dyktatury proletariatu, którą klasa robotnicza Polski wywalczyła sobie dzięki zwycięstwu i bratniej pomocy Związku Radzieckiego.

Historyczny przełom, jaki dokonał się w Polsce Ludowej w drugiej połowie 1948 r., nie od razu znalazł swój wyraz w literaturze ani też w środowisku pisarskim. A przecież, jeśli spojrzeć wstecz, nie trudno będzie zdać sobie sprawę, że na naszym życiu literackim ideologia odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego, mit „polskiej drogi", z gruntu odmiennej od drogi radzieckiej, i oportunistyczna koncepcja demokracji ludowej zaciążyły szczególnie, i to właśnie na środowisku pisarzy postępowych.

Trzeba pamiętać, że nasze środowisko literackie, nie wyłączając awangardy rewolucyjnej, wyrosło z literatury burżuazyjnej, oddychało powietrzem tej literatury, w atmosferze tej literatury zdobywało ostrogi pisarskie. Oportunistyczna koncepcja demokracji ludowej jako jakiejś symbiozy burżuazyjno-proletariackiej mogła odpowiadać kołom literackim, tak obciążonym całą tradycją burżuazyjną. Obiecywała przecież drogę ułatwioną, nie wymagającą jakiegoś zasadniczego przewartościowania, łamania się z sobą, oczyszczania się z burżuazyjnych nawarstwień. Koncepcja ta ukazywała literaturze drogę tradycyjną, „wypróbowaną", drogę najlepszych wzorów burżuazyjnego realizmu krytycznego. Stawiała za wzór Balzaka czy z tradycji polskiej — Prusa, Orzeszkową — pozytywizm. Słowem — dopuszczała możność rozwijania się w Polsce Ludowej jako normy literatury z istoty swej, z pojmowania „konstrukcji losu ludzkiego" burżuazyjnej, tylko że w zamierzeniach i intencjach jej twórców „bardzo postępowej" i „demokratycznej", tak „postępowej" i „demokratycznej", że niejako automatycznie wrastającej w legendarny socjalizm.

Wspomnieliśmy już, że przełom w tej postawie dokonał się nie od razu. Zjawiska literackie z reguły są opóźnione wobec zjawisk rzeczywistości. Zwłaszcza w społeczeństwach socjalistycznych lub budujących socjalizm. Społeczność pisarska, właśnie ta postępowa, właśnie ta stojąca na gruncie Polski Ludowej (pomijam tu, rzecz prosta, odłam burżuazyjny naszego środowiska literackiego) nie potrafiła dotrzymać kroku tempu przemian w świadomości klasy robotniczej. Przełom w świadomości pisarskiej musiał dojrzewać dłużej, wymagał doświadczeń, jakie wniósł rozwój Polski Ludowej, uwolniony od hamującego oddziaływania nacjonalistycznego oportunizmu. Ale dojrzewał.

Już Zjazd Szczeciński wyraźnie i dobitnie postawił przed naszą literaturą perspektywę realizmu socjalistycznego jako tej drogi rozwojowej, której wymaga od pisarza klasa robotnicza i masy chłopskie, dokonujące największej w dziejach narodu polskiego rewolucji kulturalnej. Prawda, że Zjazd Szczeciński był tylko zapowiedzią „rewolucji literackiej", był tylko deklaracją na rzecz realizmu socjalistycznego, ale sam przez się, rzecz oczywista, rewolucji tej nie dokonał i dokonać nie mógł. Wyraźniejsze objawy przełomu zaczęły się zarysowywać w końcu roku 1949 i na przełomie roku 1950. Zaczęły się pojawiać, głównie na terenie poezji, ale również i prozy, i dramatu, pierwsze zwiastuny nowej postawy, pierwsze pędy nowego widzenia nowej rzeczywistości. Wyraźniej dokonujące

się lub może raczej przygotowujące się w naszej literaturze przemiany objawiły się w wyznaniach samokrytycznych szeregu pisarzy oraz w żywej a chwilami nawet gwałtownej dyskusji o poezji, rozpoczętej u schyłku ubiegłego roku, a jeszcze mocniejszym akordem zagrały na wielkiej lutowej konferencji pisarzy w Radzie Państwa, na której, w atmosferze swobodnej dyskusji pomiędzy pisarzami a wybitnymi działaczami politycznymi, powiało rzeczywiście nowym duchem. „Pisarze frontem do klasy robotniczej, do mas ludowych!" „Postawą pisarza nie może być bierna obserwacja życia, musi nią być aktywne współtworzenie tego życia!" W tych hasłach można było zawrzeć sens owej konferencji, która zainaugurowała masowe wyjazdy pisarzy w teren, do fabryk i wsi.

Na tej fali zarysowującego się przełomu obradował w czerwcu V Zjazd ZLP.

Co było celem, zadaniem Zjazdu? Ocena naszego dorobku literackiego na przestrzeni ostatniego okresu, przede wszystkim zaś zbadanie trudności i oporów, które hamują dojrzewanie przełomu, które tarasują drogę naszej literatury do realizmu socjalistycznego, wskazanie dróg pokonywania tych trudności i oporów, zmobilizowanie pisarzy do walki z przeszkodami hamującymi ich rozwój twórczy. Zjazdem walki o zdrową, aktywną, płodną postawę twórczą pisarza, zjazdem walki o zwycięstwo nowego nad starym można by nazwać V Zjazd ZLP.

Już w ocenie najnowszego dorobku naszej literatury starło się owo nowe ze starym. Niewątpliwie, nie da się zaprzeczyć, że mimo bezspornych objawów przełomu stan naszej twórczości literackiej nie może być uznany za zadowalający. Nie podobna zaprzeczyć, że napięcie naszej twórczości jest w dalszym ciągu „nieporównanie słabsze od napięcia przemian ideowo-społecznych i od napięcia pracy w Polsce Ludowej" (Andrzejewski). Że istnieje duża rozpiętość pomiędzy obrazem naszej rzeczywistości w literaturze a samą rzeczywistością, jakże burzliwą, jakże pełną patosu wielkich przeobrażeń. Znamienna też jest i niepokojąca więcej niż skromna ilość nowych pozycji wydawniczych w naszej literaturze pięknej, świadcząca dowodnie o niewątpliwym zahamowaniu twórczym naszych pisarzy.

Niewątpliwie literatura nasza przeżywa kryzys. Ale kryzysy bywają różne. Bywają kryzysy chorobowe, kryzysy stagnacji i upadku, i bywają kryzysy wzrostu, kryzysy twórcze, w których rodzi się nowe. Trzeba umieć dostrzegać tę zasadniczą różnicę. Są jednak ludzie — znaleźli się tacy również na Zjeździe — którzy różnicy tej dostrzec nie potrafią. Widać że zbyt długo nie sprawdzali i nie korygowali swoich kryteriów. Ci ludzie w kryzysie widzą tylko kryzys— i biadają. Nie rozumieją, że przełom z natury rzeczy jest równoznaczny z kryzysem, kryzysem narodzin nowych treści i nowych wartości, które, z natury rzeczy, są zrazu wątłe, nieporadne i kruche. Bo przecież te nowe treści wtargnęły już do naszej literatury, wtargnęły w postaci nowej tematyki, wtargnęły w postaci robotnika i chłopa, przodownika pracy, działacza, który spędza z kart książek dotychczasowe tradycyjne postaci literackie spośród klas dawniej panujących czy świata lumpów. Bo jest już w tych nielicznych wprawdzie i wprawdzie bardzo niedoskonałych jeszcze książkach, w tych 40 sztukach starszych i młodszych autorów, uczestników konkursu teatralnego, widzenie nowych konfliktów naszej rzeczywistości, nowatorskie spoj-

rzenie na kształtowanie się nowego człowieka, na jego przemiany — może nieporadne jeszcze, niewątpliwie schematyczne, niewątpliwie nie oddające jeszcze całej ich konkretnej, żywej pełni. „Ale — pisał Lenin — musimy starannie badać nowe pędy... wszelkimi sposobami dopomagać ich rozwojowi i te słabe pędy „pielęgnować". „Taniutki sceptycyzm inteligencki", „naigrawanie się ze słabości nowych pędów" demaskował Lenin jako chwyty walki klasowej burżuazji przeciw proletariatowi. Słusznie też ze stanowczym sprzeciwem większości mówców spotykały się nieliczne głosy, dopatrujące się „niepokojących objawów kryzysowych" w naszej literaturze, a już ostre potępienie ściągnęły na siebie lekceważące akcenty pod adresem nowej literatury, przebijające z przemówienia Jana Kotta, odosobnionego zresztą w swojej wypowiedzi.

Czy może nas jednak zadowolić stwierdzenie, że oto pojawiły się już pierwsze pędy nowego, czy możemy przyglądać się biernie, aż z tego przełomu rozkwitnie żywiołowo nowa literatura? Nie, na żywioł zdawać się nie wolno! Nie wolno zamykać oczu na to, że większość naszych pisarzy dotąd wciąż jeszcze zmaga się z trudnościami uchwycenia naszej rzeczywistości i nie dostarcza owych powieści, sztuk teatralnych, poematów i liryk, których tak oczekują rosnące rzesze czytelników, coraz bardziej żądne literatury godnej naszej epoki. Świadome zbadanie źródeł zahamowania twórczego, świadome określenie dróg przezwyciężenia trudności musi wesprzeć i zorganizować żywiołowy nurt przemian, dokonujących się w postawie twórczej naszego pisarstwa. I nie ulega wątpliwości, że Zjazd Warszawski wprowadził ten nieodzowny czynnik świadomości i że rola jego w przyśpieszeniu dokonującego się przełomu będzie niepoślednia.

Z górą trzydziestu mówców brało udział w dyskusji. Sprawa pokonywania oporów i zahamowań stanowiła dominantę ogromnej większości przemówień. Niejeden z pisarzy dzielił się z audytorium konkretnymi kłopotami i trudnościami własnego warsztatu. Co szczególnie podkreślić należy, to niemal powszechne już zrozumienie, że „decydujący wpływ na warsztat pisarza wywiera jego postawa wobec rzeczywistości... ale że postawa pisarza nie jest pojęciem biernym, za jakie często w środowisku pisarskim uchodzi, że nie można sprowadzać postawy pisarza do postawy życzliwego obserwatora, że bez uczuciowego zainteresowania historycznymi procesami, które rozwijają się w kraju, bez żywego w nich udziału, bez zbliżenia się do praktyki społecznej, bez zacieśnienia więzi z postępowym nurtem życia jego sumienie pisarskie może się okazać bezpłodne, jego postawa — skamieliną" (Adam Ważyk). Ale świadomość potrzeby tej aktywnej postawy to jeszcze nie aktywna postawa. Aby tę aktywną postawę osiągnąć, musi się pisarz stać tym, do czego z samej istoty swego pisarstwa jest powołany, musi się stać aktywnym bojownikiem w walce o realizację wielkich idei socjalizmu, w walce o pokój, wyrazicielem i organizatorem myśli, uczuć i pragnień mas ludowych — budowniczych socjalizmu.

Bo tędy też prowadzi droga do przestawienia „warsztatu" twórczego. Bo warsztat to nie zwyczajnie sprawa formy czy jakichś abstrakcyjnych poszukiwań nowych form dla nowych treści. Bo sprawa „warsztatu" to sprawa widzenia tego nowego, co z dniem każdym wyrasta w mieście i na wsi, w fabryce czy spółdzielni produkcyjnej w walce ze starym.

A dostrzec „nowe" zdoła tylko ten, kto uzbrojony jest w naukowy, a więc marksistowsko - leninowski pogląd na świat, kto widzi przeto historyczne perspektywy rozwojowe, bez których nie podobna odróżnić tego co nowe od tego co stare. Dostrzec nowe potrafi tylko ten, kto chce je dostrzec, kto nowe ukochał, kto o to nowe sam czynnie, z całą pasją walczy. Bo nie ma biernego, „obserwacyjnego" poznawania świata. Rzeczywistość poznaje tylko ten, kto sam ją działaniem swoim, walką swoją zmienia. Tędy i tylko tędy prowadzi droga do przełamywania zahamowań, wynikających z niedostatecznej znajomości nowego życia i jego „realiów". I na tej tylko drodze płonne okażą się obawy przed załamaniem czy obniżeniem „profilu twórczego".

Bo jest to droga prymatu świadomości, prymatu świadomej woli twórcy nad żywiołowością, nad intuicją, która przeważała w dziejach literatury dotychczasowych społeczeństw klasowych. A że jest to droga zwycięska, świadczą osiągnięcia literatury radzieckiej, o której doświadczeniach i wzorach wiele się mówiło na Zjeździe.

Jeżeli Zjazd Szczeciński, jak już wspomnieliśmy, postulował tylko realizm socjalistyczny jako metodę twórczą, to Zjazd Warszawski wykazał, że pojęcie realizmu socjalistycznego przestaje już być dla znacznej liczby naszych pisarzy abstrakcją, lecz nabiera żywej, konkretnej treści. Pogłębiona zaś analiza zasadniczej, jakościowej różnicy, jaka zachodzi między realizmem socjalistycznym a realizmem krytycznym (referaty Ważyka i Żółkiewskiego, przemówienie Kierczyńskiej) stanowić będzie niewątpliwie cenny wkład Zjazdu Warszawskiego na drodze przemian postawy twórczej pisarzy polskich.

A nie jest to droga łatwa. Wymaga ona uporczywej, świadomej walki z obciążeniami tradycyjnych nawyków, tradycyjnych odruchów, pokutujących wciąż jeszcze w umysłach i sercach pisarzy, tych również, którzy z głębi przekonania i szczerze chcą tworzyć dla narodu, dla ludu.

Sfałszowalibyśmy jednak prawdziwy obraz Zjazdu, gdybyśmy zagadnienie walki starego z nowym, zagadnienie walki klas w sali zjazdowej sprowadzali jedynie do zmagań wewnętrznych w postawie twórczej pisarzy postępowych. Była na tej sali linia podziału. Linia ta nie przebiegała bynajmniej pomiędzy pisarzami partyjnymi a bezpartyjnymi. Pisarzy świadomych swej roli w służbie narodu budującego socjalizm nie dzielił fakt posiadania czy nie posiadania legitymacji partyjnej. Linia ta nie przebiegała też — mimo wielu w tej sprawie nieporozumień — między starymi a młodymi. Linia podziału przebiegała między tymi, którzy z najgłębszą troską radzili o najżywotniejszych sprawach naszej literatury, a nieliczną zresztą grupą tych, którzy swe uczestnictwo w Zjeździe objawiali manifestacyjnym milczeniem. Są wśród nich tacy, którzy obcy są i wrodzy wysiłkom i walce mas ludowych zakładających podwaliny socjalizmu. Ale są też i tacy, którym w znalezieniu wspólnego języka z przodującą klasą narodu i w zjednoczeniu się z postępowymi pisarzami przeszkadzają owe „pokusy" szatana starego świata, o których tak wnikliwie i sugestywnie mówił delegat Związku Pisarzy Radzieckich, Aleksy Surkow. Owa fikcja nieograniczonej wolności twórczej pisarza, jakoby niezależnej od społeczeństwa, fikcja, która pisarzom tym nie pozwala zrozumieć, że żyć w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa nie można, fikcja owej

„wolności", za którą kryje się nieświadoma zależność od tych ciemnych sił, wrogich ludzkości, które chciałyby zawrócić wstecz koło historii. To fikcja „czystej sztuki", kształtującej się jakoby niezależnie i poza obrębem konfliktów społecznych tego świata, operującej konfliktami rzekomo odwiecznych, ogólnoludzkich, abstrakcyjnych ideałów.

Prowadzi tych pisarzy na manowce fałszywie pojmowany humanitaryzm, który nie pozwala „krzywdzić" wyzyskiwacza, a który w konsekwencji prowadzi do tolerowania zbrodniczych poczynań tych, którzy dla ratowania ginącego ustroju i ginącej klasy gotowi są podpalić cały świat.

Jakże odbiegało to bierne milczenie tej grupy pisarzy od głębokiej troski o naszą literaturę i jej rozwój, jaka przebijała z przemówień partyjnych i bezpartyjnych pisarzy postępowych. Ta troska, to poczucie głębokiej współodpowiedzialności za losy naszej literatury było może dla czerwcowego Zjazdu momentem najbardziej znamiennym. Poczucie, że właśnie społeczność pisarska powołana jest do tego, by być kolektywnym gospodarzem życia literackiego. I jeśli mówimy o nowym, socjalistycznym stosunku do pracy robotnika, to w tym poczuciu zbiorowej odpowiedzialności za literaturę, współodpowiedzialności wzajemnej za siebie i innych znajduje wyraz głęboka przemiana w postawie naszych pisarzy, znajduje wyraz nowy, socjalistyczny stosunek do twórczości — pisarza. Bo jeżeli środowisko literackie, tak jak całe społeczeństwo burżuazyjne, cechowała dawniej postawa konkurencyjna, zawiść, złośliwe zadowolenie z czyjegoś niepowodzenia i uśmiech ironicznej wzgardy wobec czyichś sukcesów, to w sali Warszawskiego Domu Literatury wyczuwało się atmosferę zgoła inną — potrzebę zbliżenia wzajemnego, pomocy wzajemnej w torowaniu nowych dróg twórczych. I jeżeli jeden z mówców być może trafnie zauważył, że w oklaskach, które się rozległy, gdy referent Zjazdu „przejechał się" po jednym z naszych poetów, było więcej złośliwej satysfakcji niż uznania dla słuszności tez referenta, to był to wypadek raczej odosobniony. Pisał przed dwudziestu przeszło laty Józef Stalin w liście do Feliksa Kona, charakteryzując środowisko literackie, o zawiści, która nie przeobraziła się jeszcze we współzawodnictwo. Atmosfera obrad zjazdowych zdaje się świadczyć, że w naszym świecie literackim zawiść zaczyna ustępować miejsca poczuciu solidarności, bez której nie ma zdrowego współzawodnictwa. Ta potrzeba współpracy przebijała zarówno ze słów mówców, gdy mówili o bolesnych trudnościach swego warsztatu, jak i z napiętej uwagi, z jaką słuchała ich sala. Poczuciem głębokiej odpowiedzialności za rozwój naszej literatury tchnęły liczne głosy o potrzebie organizowania opieki nad młodym pokoleniem pisarskim, o wydobywaniu i szkoleniu nowych talentów spośród mas robotniczych i chłopskich.

Ta właśnie postawa „odpowiedzialności kolektywnej pisarzy za wszystkie zjawiska, zachodzące w środowisku literackim", że powtórzymy za Leonem Kruczkowskim słowa Gorkiego, cechująca obrady Zjazdu Warszawskiego, jest najwymowniejszym dowodem, że dojrzała całkowicie zasadnicza i gruntowna reorganizacja Związku Literatów Polskich, który powinien stać się istotnym gospodarzem naszego życia literackiego, „żywym i twórczym, zdolnym do samodzielnych działań ośrodkiem kształtowania świadomości ideologicznej pisarzy w duchu walki o postęp społeczny oraz rozwijania jak naj-

pomyślniejszych warunków moralnych i materialnych dla ich pracy, pojętej nie tylko jako zawód, ale i jako wysoka funkcja społeczna" (Leon Kruczkowski).

Zjazd nie poprzestał też na dyskusji ideologicznej, lecz wyprowadził z niej czynne, organizacyjne wnioski, które niewątpliwie przyspieszą i ułatwią dojrzewanie przełomu w naszej literaturze. ZLP, który był dotąd raczej tylko zawodową reprezentacją pisarzy, stanie się odtąd rzeczywistym ośrodkiem krystalizacyjnym naszego pisarstwa. Istotne znaczenie będą tu miały sekcje i komisje robocze, które scementują nasz kolektyw pisarski, pozwolą na omawianie w atmosferze życzliwej koleżeńskiej krytyki utworów zarówno wydanych, jak i, co ważniejsza, będących jeszcze na warsztacie, stworzą przeto ramy organizacyjne dla współpracy i pomocy wzajemnej, o którą słusznie dopominało się tylu mówców z trybuny zjazdowej.

Nowe formy organizacyjne, wzorowane zresztą na doświadczeniu pracy Związku Pisarzy Radzieckich, pozwolą też na należyte ustawienie szkolenia nowych kadr pisarskich, zwłaszcza spośród bezpośrednich współtwórców naszej socjalistycznej rzeczywistości, twórczych ludzi od warsztatu i pługa, spośród działaczy robotniczych i chłopskich, spośród uczącej się i pracującej młodzieży.

A zagadnienie nowych kadr pisarskich, które odnowią naszą literaturę, to zagadnienie dla naszej twórczości równie palące jak zagadnienie nowych kadr dla naszego przemysłu, dla realizacji potężnego planu sześcioletniego budowy podstaw socjalizmu w naszym kraju.

Pomiędzy imponującymi zadaniami planu sześcioletniego a zadaniami naszej literatury istnieje związek bezpośredni i ścisły. Tak samo jak między walką o pokój a zadaniami literatury. Zarówno walka o plan, jak i walka o pokój wymaga mobilizacji, uruchomienia niewyczerpanych, lecz utajonych zasobów energii moralnej, tkwiących w naszej wspaniałej klasie robotniczej, w masach naszego ludu i naszej inteligencji pracującej.

Mobilizować te utajone pokłady energii moralnej, pokazując w obrazach naszej heroicznej rzeczywistości potęgę człowieka, potęgę świadomego kolektywu ludzkiego, przed którą nie ostoją się żadne trudności, żadne przeciwności, oto wielkie, szlachetne zadanie, które w całej rozciągłości staje teraz przed naszą socjalistyczną literaturą.

Zjazd Warszawski, jego atmosfera, postawa postępowych pisarzy polskich, na tym Zjeździe zadokumentowana, pozwala wierzyć, że literatura polska okaże się godna swych wielkich tradycji i nie zawiedzie nadziei, jakie pokłada w niej naród polski, budujący podwaliny socjalizmu i walczący o pokój w szrankach potężnego obozu antyimperialistycznego.

Tadeusz Zabłudowski

Książki nadesłane

PROZA LITERACKA

Jorge Amado — Jubiada. Biblioteka w Prenumeracie, IV 1950. Autoryzowany przekł. z portug. Małgorzaty Hołyńskiej i Eugeniusza Grudy. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 350 + 2 nlb.

Emilia Bronte — Wichrowe wzgórza. Przekł. z ang. Janiny Sujkowskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. VI + 391 + 2 nlb.

Andriej Kalinczenko — Paschale. Opowiadania kamczackie. Przekł. autoryzowany Marii Aszer. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 239.

Jules de la Madelène — Pan na Piaskowym Zamku. Przedmowa L. Aragona. Przekł. autoryzowany Jadwigi Dmochowskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 358.

Lucjan Rudnicki — Stare i nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Tom I — wyd. VI, tom II — wyd. I. Str. 579 + 1 nlb.

Narcyza Żmichowska (Gabriella) — Poganka. Oprac. Tadeusz Żeleński (Boy). Wyd. II, przejrzane. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. XL + 184 + 5 nlb.

NAUKA O LITERATURZE

Paweł Hertz — Portret Słowackiego. Wyd. II. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 274 + 1 portret.

Mieczysław Jastrun — Mickiewicz. III. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Tom I — str. 259 + 1 nlb. + 1 portret, tom II — str. 303 + 1 nlb. + 1 portret.

Henryk Markiewicz — Materializm historyczny a nauka o literaturze. Szkic informacyjny. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. 24.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Józef Ignacy Kraszewski — Za Sasów. (August II), Tom I i II. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 258.

PUBLICYSTYKA

Kazimierz Popiołek — Radykalni przywódcy chłopów śląskich (Marcin Gorzołka i Krystian Minkus). Ludowa Spółdz. Wydawn., Warszawa, 1950. Str. 70 + 1 nlb.

REPORTAŻE

Grzegorz Jaszuński — Szkice amerykańskie. Reportaże. Państw. Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 226 + 1 nlb.

BIOGRAFIE

M. Morozow — Szekspir. Przekł. z rosyjskiego Władysława L. Ewerta, popr. i uzupełn. przez Stanisława Helsztyńskiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 222 + 1 portret.

PAMIĘTNIKI

Fryderyk Hechel — Kraków i ziemia krakowska w okresie Wiosny Ludów. Pamiętniki. Wstępem i przypisami opatrzył Henryk Barycz. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. XVII + 410.

SATYRA

Antoni Marianowicz — Na wpół drwiąco. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 106.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Paweł Bażow — Konik polny. Przekł. z rosyjsk. Marii Jezierskiej, ilustr. W. Bajuskina. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 90 + 1 nlb. z ilustracjami.

G. Borowikow — W kaspijskich dżunglach. Przekł. z rosyjsk. Stanisława Niewiadomskiego. Ilustr. B. Jezikiejewa. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950. Sr. 102 + 1 nlb.

Karol Czapek — Daszeńka czyli żywot szczeniaka. Przekł. z czeskiego Jadwigi Bułakowskiej. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950. Str. 79 z ilustracjami i fotografiami.

Julia Duszyńska — Szarusia. Wyd. II. Ilustr. Stanisław Rozwadowski. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950. Str. 32 z ilustracjami.

Teodor Goździkiewicz — Fryckowe czasy. Legenda. Ilustr. Stefana Styczyńskiego. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1949. Str. 94.

Jan Grabowski — Finek. Opowiadanie o psie. Wyd. VIII. Ilustr. Ksawerego Koźmińskiego. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950. Str. 128.

Łąka — Rysowała Eugenia Różańska. Album rysunkowy. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950.

Jadwiga Korczakowska — W ogródku Kasi. Ilustr. Bogdana Zielińca. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950. Str. 30 + 1 nlb.

Lew Tołstoj — Jeniec kaukaski. Przekł. z rosyjsk. Kazimierza Truchanowskiego. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950. Str. 56 z ilustracjami.

Borys Żytkow — O słoniu. Przekł. z rosyjsk. N. i K. I. Gałczyńskich. Ilustr. A. Łaptiewa. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950. Str. 15 + 1 nlb.

TREŚĆ NUMERU

KOMUNIKATY 3

Józef Stalin: Przyczynek do niektórych zagadnień językoznawstwa . 7

Leopold Staff: Pokój 12

Mieczysław Jastrun: Własność. List Anny Żywioł 13

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz: Powrót 15

Stanisław Zieliński: Początek drogi 20

Jan Rojewski: Załoga 46

V ZJAZD LITERATÓW POLSKICH

Józef Cyrankiewicz: Przemówienie na Zjeździe Literatów 74

Z przemówień powitalnych pisarzy zagranicznych przybyłych na Zjazd Literatów Polskich 78

Adam Ważyk: Perspektywy rozwojowe literatury polskiej 81

Stefan Żółkiewski: Aktualne zadania: stan nauki o literaturze w Polsce 98

Leon Kruczkowski: O roli i zadaniach Związku Literatów Polskich . 107

DYSKUSJA 119

Tadeusz Zabłudowski: Po Zjeździe Literatów Polskich. W walce o postawę twórczą pisarza 159

KSIĄŻKI NADESŁANE 166

Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: **Adam Ważyk**
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65 centr. 401-80/90 wewn. 22
Administracja: Wiejska 12
Cena zeszytu 120 zł. Prenumerata kwartalna 360 zł, półroczna 720 zł.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

0520603

CENA 120 zł.

51411/2077C

CZY
TEL
NIK